11501

III

Bibl. Jag.

Maryla Wiolska

„Quod libet"

kopia maszyn.

AP 169

Bibl. Jag.

Maryla Wolska

QUOD LIBET

" Ecce infantia mea olim mortua est
et ego vivo... "

św. Augustyn

SKOROWIDZ TRESCI

Chrzciny - chrzestni rodzice - notatki z kalendarzy 1 do 5 str.

Początek własnych wspomnień - mieszkanie przy ul.Kazimierzowskiej -"Dziadzio Brajer - domowe psy -Smyk i Mucha 6 "

Dyniska po raz I i II - Matka Dora,-panpan" Żana Drobczyńska,Róża Ziętkiewiczówna Staś Niewiadomski 7 -9

Śmierć Joczki 10

Dyniska po raz III - Magdalenka - "Józio Skólimowski- piękny Staś i sto= krótki 9 do 11

Mieszkanie przy ul.Sykstuskiej 12

Kręcidło - st: 12, 17, 25/6 - 95/6 i inne 12

Kraków - wujostwo Korczyńscy, -Matejko w pra= cowni - Grunwald - owa nerka! - Adolf Korczyński 13 do 16

Przyjazd Buni z Czerniowiec, 16

(1876) Urodziny Adasia 17

PP.Jezierscy - Wujostwo Pawłowscy,-wuj Edmund - Piaseccy -Tyńcia 17 do 20

Dom PP. Maszkowskich 20 i 117

Stella Sawicki - Pan Bełza - Tepa 20 do 23

Służąca Józia - Wincusia 23 do 25

Żurawno - PP.Chajęccy - ich wnuczki -panna Taborska - opis pałacu - goście- Procesja Bożego Ciała - Bal - " Uściskajmy się" 26 do 32 (i 37)

Daszawa - Stryj 32 (i 114)

Pierwsza wzmianka o Storożce (venzowski napisał ...) 33

Kruszelnica - Skólimowscy - Dola ich trojga dzieci 33 do 35

Rożniatów - Maryańscy 35 do 36

Żurawno w zimie 36

Żurawno po raz III (lato) 37

Bereżnica 37

SPIS TREŚCI

Mieszkanie przy Zimorowicza - PP. Izdebscy, Grelińscy - 38 do 39

Nauka i jej początki 39 do 40

" Rok z metra " Urodziny - imieniny -Lolo i Anielka Maszkowscy -Zosia i Jadzia Trzemeskie - August, Cezar i Józio Hallerowie 40

Jarmark na Jura 41 do 43

Zadusski -Przygoda z Syngalezką 43 do 45

Julek Markowski i przygoda z kozą 46

Ciocia Terenia - Quodlibet -wzmianka o zawaleniu się ratusza na str 49) [illegible] 46 do 48

Historia rodziny Wentzów - Siostry Buni. Przygoda pradziadka w Linzu - Hr. Moszyńska -rządca Kroff - Pobyt Buni u niej 48 do 55

Historia rodziny Monné - Józef Monné - Karol Monné - Dzieciństwo Bau - Rozejście się jej rodziców - "czerwony hrabia" -bracia dziadka: Albin, Michał i Ludwik - 55 do 60

Jakaś Makryna Mieczysławska ...Szkło - - kapelusze Hrabiny. Księdzowa ruska 61 do 62

Powstanie - Zosia Suska - Zabójca Kuczyńskiego - Zdrajca Leon Krzemieniecki 63 do 65

"Rok z metra" - Sw. Andrzej - św. Mikołaj - Boże Narodzenie -Sawczyńscy 65 do 69

Żulińscy - Niedziele u nich. Dziadzio Darowski, Rettel, Giller, Janowski, Amborski, Maliński Skotnicki, Stokowski, Platon Kostecki - Śmierć pana Tadeusza 69- 72

Żulińscy c.d. - Gry -zabawy, Młodzież - Bartosówna, Zielonczanka, Kazia Winnicka - Konopka -recytator 72 do 76

Grzywińscy - Maniusia Donimirska (79) 76 do 80

Lekcje tańca - PP Bilińscy, -Bronek Maryański - Zapalenie płuc (1880) 80 do 81

Kraków -Dziadziowie Korczyńscy - Wiedeń Gleichenberg 81 do 83

Rodzina Spahr z Ameryki - Monachium - Zell am see - Aussee -Helbrun - Salzburg 83 do 88

Rodzina Reverterów - ciocia Charlotta v. Jordan 88 do 94
wzmianka o kupnie Sokolnik (w r. 1882)

Mieszkanie przy Zimorowicza - PP. Izdebscy, Grelińscy - 38 do 39

Nauka i jej początki 39 do 40

" Rok z metra " Urodziny - imieniny - Lolo i Anielka Kaszkowscy - Zosia i Jadzia Tczemeskie - August, Cezar i Józio Hallerowie 40 xx

Jarmark na Jura 41 do 43

Zaduszki - Przygoda z Syngależką 43 do 45

Julek Markowski i przygoda z kozą 46

Ciocia Terenia - Quodlibet - wzmianka o zawaleniu się ratusza na str 49) 46 do 48

Historia rodziny Wenzów - Siostry Buni. Przygoda pradziadka w Linzu - Hr. Koszyńska - rzędca Kroft - Pobyt Buni u niej 48 do 55

Historia rodziny Monné - Józef Monné - Karol Monné - Dzieciństwo Bau - Rozejście się jej rodziców - "czerwony hrabia" - bracia dziadka: Alpin, Michał i Ludwik 55 do 60

Jakaś Makryna Mieczysławka ... Szkło - kapelusze Hrabiny. Księdzowa ruska 61 do 62

Powstanie - Zosia Suska Zabójca Kuczyńskiego - Zdrajca Leon Krzemieniecki 63 do 65

"Rok z metra" - Św. Andrzej - św. Mikołaj - Boże Narodzenie - Sawczyńscy 65 do 69

Żulińscy - Niedziele u nich. Dziadzio Darowski, Rettel, Giller, xxxxxxxxx xxxx Janowski, Amborski, Maliński Skotnicki, Stokowski, Platon Kostecki - śmierć pana Tadeusza 69 - 72

Żulińscy c.d. - Gry - zabawy, Młodzież - Bartosówna, Zielonczanka, Zosia Winnicka - Monopka - recytator 72 do 76

Grzywińscy - Maniusia Donimirska (49) 76 do 80

Lekcje tańca - PP Bilińscy. - Bronek Maryański - Zapalenie płuc 80 do 81

Kraków - Dziadziowie Korczyńscy - Wiedeń Gleichenberg 81 do 83

Rodzina Spanr z Ameryki - Monachium - Zell am See - Wasse - Weibrun - Salzburg 83 do 88

Rodzina Keverterów - ciocia Charlotta v. Jordan 88 do 94

Zimorowicza " z metra " Moje soboty - Gry - teatrzyk - Lolo Maszkowski - " tylko Zosia" - Saga o Kukurydzowiczach- - o Szczypiańskim - bajka o Alfie i Marynku - opis zimy przez Żanę Drop= czyńską - Ordery kotylionowe 94 -do 98

Nauka - P Brulard - p. Lachner - Jej straszydelne opowieści -Dr. Feigl - jego córka Helenka (później Ottawowa) Darowana mi gwiazda - Wesele panny Lachner 99 do 106

(1881) Wakacje w Mikuliczynie - "Szczęśliwa kaczka - Kataryna 107 do 112

Zimorowicza " z metra" Opis mieszkania 113 do 114

Młodość Ojca - Daszawa - Lubieńce - Stryj - Skole -Bereźnica 114 do 117

Marcel Maszkowski - Monachium -Jakubo= wicze - Lipsk- Drezno -Listy Marcela 117 do 133

Grottger - Kult Ojca dla jego pamięci 133 do 135

Typy lwowskie -Pani Brunlowa - Lwów artystyczny - Bełzowie - Kazio Ostrowski - "Bajarz Polski" (st 143)

Bełzowie - 135 do 138

Ossolineum - Małeccy - Kętrzyńscy - Pawłowicz, Gawalewicz - nieco o Paderewskim i pani Helenie 136 do 143

Znowu Bełzowie - Luk - Kazio 114 do 145

"Prowizoryczne" zakończenie 146

.....

" Ów "Quod libet " to była jakby płytka szuflada,nie duża,wieszana na gwoździu,jak obraz, pokryta szkłem, podobna do tych,w jakich się zamyka zbiór motyli. Dno jej wyścielone podwatowanym,białym atłasem,pełne było poprzyszpilanych drobiazgów,najprzeróżniejszych pamiątek, za każdą zaś z nich ciągnęła się lotna smużka wspomnień....(-) Pamiątki to czasem nic innego,tylko te rozbiegające się obręcze na wodzie w którą wpadł kamyk...Póki drży owa najsłabsza,najdalsza - jeszcze się wie,że to ślad istnienia jakiejś rzeczy,czy duszy, co znikła... "

(-str. 47)

Pamiętam w domu jedno miejsce na ścianie, na które w zimie padała zwykle czerwona plama zachodzącego słońca.

Nad moją wąską, białą szafką z dziecinnymi książkami, na popielaty deseń ściany w mroczne popołudnie, gdy szyby zaczynały marznąć a w pokoju robiło się coraz chłodnie...

Cedzić się musiał ten ostatni promień przez jakieś dalekie drzewa, bo drgało w nim coś niby splątany rysunek gałęzi i cienie ptaków, gromadzących się już wcześnie na sen.

I zawsze patrząc na tę od lat znajomą, świecącą plamę, czułam jedno - nie wiadomo dlaczego właśnie to ? - że tak dobrze w domu i bezpiecznie i że takie jeszcze mnóstwo, niesłychane mnóstwo czasu na wszystko...

I myślałam o tym, że mróz bierze i że gdzieś, nad wielkimi drzewami krążą pewno gromady zmarzniętych wron i kawek a niebo za nimi staje się coraz czerwieńsze i złocistsze...

Nie przyśniło mi się nigdy, że te wielkie drzewa rosną w ogrodzie, który kiedyś nazwę sama - Zaświeciem.

A wśród stygnącej szarzyzny kątów pąsowa plama blasku drgała i mieniła się jakimś odległym, nie swoim życiem...

Trwało to zawsze tylko krótką chwilę.

Promień słońca obsuwał się ze ściany na dużą mapę Europy nad starą kanapą i gasł - na Islandii.

Wtedy w mrocznym pokoju robiło się odrazu bardzo chłodno i późno...

.....

A dziś, po latach, o wczesnym zachodzie zimowego dnia, chciałabym móc przywrzeć dojrzałymi ustami do owej ściany i pocałować - zanim by zgasło na Islandii - tamto dawne, kochane, domowe słońce...

Urodziłam się 13-go marca 1873 r, we Lwowie, w słoneczne południe, w domu na którego miejscu stanął później gmach Kasyna Narodowego. Okna parterowego mieszkania patrzyły w Ogród Jezuicki a ulica nosiła już wtedy nazwę ulicy Mickiewicza.

Pierwsze kwiatki w życiu, pierwsze śniegowiczki położyła mi na powiciu Matka Dora, pani Skólimowska z Tynisk. Następnego roku w jesieni już nie żyła, ale jej dobrotliwe ręce zdążyły jeszcze ofiarować mnie moc ilość ślicznych stroików, jak zaś zdążyłam nauczyć się jej imienia i wołać na nią : matka Dola". Haftowała i szyła dla mnie pelerynki, katanki, kapturki... Jeden z misternych ubiorków jej roboty, amarantowy z czarnym, sukienny, wisi w Quodlibecie Cioci Tereni.

Dzięki stosowi starych kalendarzy, w których rodzice przez dłuższy szereg lat zapisywali ważniejsze wydarzenia, mogłam i ja, wertując je - już samotna na Zaświeciu- przyjrzeć się zwilska początkom własnym, przekonać się, jak nic jeszcze sama o sobie nie wiedząc, wiedna już byłam w domu, ważna i kochana od pierwszej chwili, aż do tej żałosnej ostatniej, gdym po latach, z dawnego zespołu, została na świecie sama.

Nowy Rok w tych kalendarzach zaczynał zwykle Tatko słowami : W Imię Ojca i Syna i Ducha św. - amen." Pod datą 6 kwietnia r.1873 pierwsza dłuższa o mnie relacja :

" W Palmową Niedzielę odbyły się chrzciny naszej córeczki. Około pierwszej godziny w południe przyjechałem z ks.Kanonikiem Skibińskim od św. Magdaleny i zastałem już bardzo wiele zaproszonych gości. Zaraz przystąpiono do ceremonii. Jako chrzestni rodzice byli w pierwszej parze Henryk Rodakowski i panna Leonia Blumdorn (Rodakowskiego pasierbica a moja uczennica) w drugiej parze stanął Fornel Ujejski i Leonia Sawczyńska. Dziecina dostała imiona: Maria Wanda.

O drugiej, po skończonej ceremonii chrzcin i wyjściu matki, przeszli wszyscy goście do drugiego pokoju i zasiedli do suto zastawionego śniadania.

Z gości oprócz wyżej wymienionych chrzestnych rodziców, była następujące osoby: PP. Sawczyńscy, Tatomirowie, Pawłowscy, Józef Waśkiewicz, stary żołnierz, kapitan 4-go pułku ułanów w 1831 r., wł. Zawadzki, literat, F. Richter, księgarz i wydawca "Strzechy"

xxxxxxxxxxx, p. Mieczysław Darowski *), Jan Arborski literat, Dr. Adam Ożyewicz, Józef Ekielski i Bolesław Skólimowski.

Usposobienie było bardzo ożywione. Wznoszono rozmaite toasty. K. Ujejski z przemową do nowonarodzonej, Darowski dla rodziców chrzestnych, Rodakowski dla rodziców nowochrzczonej. Dalej szły inne toasty, nareszcie z piękną przemową Sawczyński wniósł toast na cześć Poezji i Sztuki i jej tu reprezentantów. Około czwartej skończyła się ta uroczystość i goście się zaczęli rozchodzić.

Jako chrzyżmo dostała dziecina od chrzestnej matki pani Blündorn, na pamiątkę srebrny serwis do herbaty t.j. czajnik, dzbanuszek i cukierniczkę a wszystko xxxxxxx na takiejże tacy, na której już były wyryte jej litery w monogramie i dzień i rok chrzcin. Od drugiej chrzestnej matki dostała srebrną łyżeczkę, także z literami.

Wszystko odbyło się tak pięknie iż z największym zadowoleniem i przyjemnością będziemy sobie ten dzień w naszym domu -do teraz pewnie najświetniejszy i najweselszy - przypominać. "

Wracam i ja do tego dnia myślą wdzięczną i mimowoli wierzyć muszę we wróżebne jego xxxxxx uroki. Wielki poeta polski i wielki malarz przekazali mu kult Piękna dośmiertny -dwaj historycy i dwaj weterani, na których piersiach błyszczały owego dnia na wstędze czarnobłękitnej stare, żałobne Krzyże Virtuti Militari, byli jakgdyby zwiastunami tej doby, na którą oni z wiarą czekali, a która oczy moje miały patrzeć po latach.

Pierwszy raz wyniesiono mnie z domu na świat w dzień św. Feliksa 18 maja, strojną niechybnie w misterne konfekcje Matki Dory i - jak to Mamazapisała w kalendarzu - pierwszym na co się natknął mój wózeczek na ulicy, było jakieś wesele.

W grudniu 1874, gdym już miała bez mała 21 miesięcy, znowu notatka Ojcowa :

" Nasza kochana Maryla dobrze się chowa, zdrowa, bardzo pięknie się rozwija, szczególnie zadziwia dokładną wymową, wielką pamięcią i szczególniejszym pociągiem do rysowania. Ołówek tak dobrze trzyma w palcach, jakgdyby już dawno z tym oswojona. Rysuje nawet figurki, które istotnie mają podobieństwo do ludzkich, domki itd. Umie nazwać

---

*) Mieczysław Darowski, opiekun młodych lat mego ojca, jedna z najszlachetniejszych, przyjacielskich postaci z domem naszym związanych, jeden z najlepszych i najmilszych ludzi, którzy wywierali wpływ na moje dzieciństwo i młodość, człowiek, którego całe życie było wierną służbą ojczyźnie, ofiarną miłością bliźniego, wysokim wzorem dla drugich. Cały ogromny majątek poświęcił sprawie narodowej, z ostatków dzielił się jeszcze z biedniejszymi. Umarł ubogi w Krakowie w r. 1889.

dokładnie wszystkich malarzy, których obrazy w naszym pokoju sypialnym wiszą, jako to Murillo Correggio, Holbein, Palma i Grottger. "

Raz po raz jawi się w kalendarzu jakiś zapisek związany z moją maleńką osobą, bądź z towarzyską kroniką domu.

Pierwsze nabożeństwo w życiu na jakie byłam wzięta to ruska Msza św., w dyniskiej cerkiewce. Jest też notatka o wizycie rodziców w pracowni Rodakowskiego, gdzie widniały na sztalugach właśnie ukończone portrety pułkownika, brata jego Maksa i pani Zofii z Bobrów Juliuszowej Dzieduszyckiej. Jest zapisek o bytności Matejki i obiedzie danym dla niego przez PP. Rodakowskich na Centnerówce pod Lwowem, na którym byli i moi rodzice, - o wieczorze, który spędził u nas Daniel Penther, malarz, kolega Tatka z monachijskich czasów, rzadko jawiący się z Wiednia w rodzinnym Lwowie... Poter śmierć Goszczyńskiego. Pierwszy umarły jakiego widziałam i moje pytanie : Czy ten dziadzio to święty? "

Z dwu par chrzestnych rodziców, główną rolę grał w moim dzieciństwie Henryk Rodakowski. Dziś dopiero widzę, jak chyba cenił moich ~~rodziców~~ własnych, skoro miał dla ich dziecka tyle uporu, tyle drobiazgowej pamięci, skoro przez lata całe nie opuścił żadnej gwiazdki, żadnych urodzin, czy imienin, aby malutkiej, a potem większej - nie sprawić jakiejś wybrednej, radosnej niespodzianki. Najpiękniejsze lalki, najkunsztowniejsze pajace, meble lalczyne, zwierzątka, jak żywe - miałam od niego. Zawsze albo przybywał z takimi darami sam, albo gdy bawił za granicą, towarzyszył posyłce zabawek czuły bilet z serdecznościami " Dla Lili ". Ukochana moja lalka, Karolcia, paryżanka, przysłana z całą barwną wyprawą na któreś imieniny, była także jednym z darów Rodakowskiego. Kochałam go i byłam ~~na~~ niego wcześnie dumna. Wiedziałam, że jest wielkim, polskim malarzem i że dostał od Francuzów złoty medal. Dziwiłam się, że go nie nosi i bardzo byłam tego medala ciekawa. Lubiłam słyszeć jego bardzo niski, szczególnie dźwięczny głos, nie tylko, że często towarzyszyła mu nowa radość opakowana w pudła i szeleszczące papiery, ale dla jakiejś solenności, którą mnie przejmowało jego pobliże. Nie byłabym umiała tego wytłumaczyć wówczas, ale dzięki pochwytanym strzępom domowych rozmów o nim, czułam poza jego osobą świetny, daleki świat, z którego przybywał. Zaciekawiała mnie, jak wszystko dla dziecka niezrozumiałe, jeszcze ni wówczas obca francuszczyzna, którą chętnie przeplatał rozmowę, pociągał ów głos strojny głęboki, sam w sobie jakby odświętny, który po latach poznałabym wśród tysiąca.

Nie podobny był do żadnego z artystów, którzy u nas bywali. Jeden inny był n.p. Grabowski, ze swoją zmiętą fizjognomią chorego psa, zmiętym ubraniem i wiśniowym fezem, dobywanym zawsze z kieszeni

gdy do nas przychodził na dłużej. Wkładał go na głowę, siadał po turecku na dywanie i umiał nie odezwać się godzinami. A gdy zaczął mówić, najczęściej kazali mi rodzice iść zaraz do drugiego pokoju. Nazywałam go " mój Tureczek " i lubiłam mimo wszystko... Jak inny był Adam Chmielowski - mówiący cicho i łagodnie (którego obecność pozna wałam zdaleka po stukocie drewnianej kuli, bo nogę utracił w powstaniu i który robił studium z głowy naszej służącej Józi do obrazu jakiejś świętej). Stary pan Raczyński, młody Wyczółkowski - swojski, zawsze jakoy trochę niesmiały pan Tepa - to byli całkiem, całkiem inni ludzie. Czuło się, że Rodakowski czymś osobnym od nich odbija. Był dworny, wytworny, bogaty... Dziś wiem, że po za całą sztuką artysty i pięknością umysłu, jedną z głównych tajemnic jego uroku było to, że był niezmiernie w życiu szczęśliwy. Że potrafił być przy tym równie dobrym, - to zjawisko jeszcze rzadsze od szczęścia!

Drugi mój ojciec chrzestny wcale się zrazu mną nie troszczył. Wiedziałam, że istnieje, jak się nazywa, kim jest, ale bywał u nas rzadko. Przeżywał okres zbyt pochłaniający jego serce, aby myśleć o czym innym, prócz o tej, którą kochał a utracić miał niebawem. Przyjrzałam mu się uważniej dopiero wtedy, gdy przyszedł się pożegnać z rodzicami wyjeżdżając na stałe ze Lwowa. Było to po śmierci pani Wildowej. Nie miałam o niczym pojęcia, ale zastanowiły mnie jego nieduże, zmrużone oczy, pełne łez gdy mnie podniósł na ręce na odchodnym. Uściskał mnie i ucałował bardzo czule, ja zaś nie oswojona z nim wcale, nie zdobyłam się i wtedy na serdeczność wzajemną. Nierychło dowiedziałam się o właściwej przyczynie tych łez. Stanęły one w oczach poety nie z żalu za nami, ale nad sobą samym. Zostały mi w pamięci jednak te mokre oczy, kręte, falujące włosy i duża poplęta perła w krawacie. *)

Dopiero po wielu latach, w r. 1887, gdy Kornel Ujejski przyjechał do nas na Storożkę, w jesieni, zawarłam z moim chrzestnym ojcem sojusz mocny, dożywotni.

Starsza z moich dwu chrzestnych matek, panna Leonia Blumdorn

---

*) W liście mojej Mamy do K Ujejskiego z d.12.XII 1884 r, znalazłam wzmiankę o tej jego bytności pożegnalnej u nas. Było to w parę miesięcy po śmierci P. Wildowej, jak z relacji Mamy wynikało, a zatem w r.1878. To że Mama nie wspomina o mojej obecności wtedy jest o tyle zrozumiałe, że szczegół ten, dla samego momentu, był bez znaczenia. Musiałam się nawinąć samorzutnie, w ostatniej chwili i zapamiętałam lepiej od Mamy ten uścisk pożegnalny, dla mnie pamiętny, a w jej wspomnieniu zatarty. Miałam już piąty rok i migawka ta stoi mi w oczach bardzo wyraźnie.

późniejsza Wicehrabina de Romanet pozostała dla mnie pojęciem całkiem sferycznym. Wyjechała zagranicę zanim zdążyłam ją spostrzec, wyszła zamąż i umarła nim zaczęłam rozumieć. Ale pamiętała o mnie równie tkliwie jak wielki malarz, jej ojczym. Do dziś zachowuję kilka ładnych drobiazgów jakimi obdarzała mnie corocznie, zanim zgasła. Poznałam ją dopiero w r. 1894, podczas wystawy Kossaka we Lwowie, czarnowłosą, o ciężkich warkoczach i złotawej cerze, z przeźlicznymi rękami, odzianą w czarny aksamit, koronki i futro, w Pałacu Sztuki - na wspaniałym, florenckim portrecie Rodakowskiego.

Ostatnia z czworga moich chrzestnych rodziców, jedenastoletnia wówczas Leonia Sawczyńska - dziś owdowiała Leonowa Paszkowska - jedna jedyna żyje dotychczas we Lwowie. Doznałam od niej również wiele dobra, wiele pamięci, wiernej przyjaźni i wspomnienia o niej snują się przez całe moje życie znaczone mnóstwem niezatartych śladów. Zrazu obdarzała mnie różnymi pięknymi strojami, wychodzącymi z pod jej przedziwnie zręcznych rąk, później uczyła mnie równocześnie zresztą matka Panią Zygruntowa Sawczyńska wiele rzeczy, które dzięki ich dostojnemu wykładowi siedzą mi w głowie mocno i na swoim miejscu do dziś... Jedna z tych istot które daleko łatwiej szanować, nawet kochać - niż lubieć. Twarda dla siebie i dla drugich, zasadna w cnocie i wierna w przyjaźni. Mimo obcowania ze Sztuką, jako pedagog odnosi się do niej jak do gramatyki - trzeźwo, bez cienia sentymentu. Wie mnóstwo, ale zdaje się nie czuć nic. Zawdzięczam jej ogromnie wiele ładu w głowie i porządnie tam rozmieszczonych wiadomości, z którymi już sama wiem co zrobić.

Młodociany profilek Leonii Sawczyńskiej namalował Matejko w " Dziewicy Orleańskiej", tuż za grupą króla i Agnès Sorel.*)

*) O tym mam relacje nietylko od samej Leonii ale stwierdziła ten fakt panna Emilia Witoslawska, kuzynka Matejków, długoletnia opiekunka panien Heleny i Beaty dobra znajoma moich rodziców.

Najwczesniejszym moim własnym wspomnieniem są krople rosy błyszczące jak paciorki na hamaku pajęczyny, przyczepionym do ciemnej zieleni czegoś, o czym dopiero znacznie później dowiedziałam się, że ma na imię - sawina. Cudując się, a nie całkiem jeszcze myśląc, czułam do niczego innego niepodobny smak - zachwytu.

Działo się to w ogrodzie " dziadzia" Brajera, jak nazywałam uprzejmego staruszka, w którego domu - przy ul. Kazimierzowskiej nr 37 -- odnajmowali moi rodzice mieszkanie i przy którym to mieszkaniu ~~xxxx~~ był ogród, z ową sawiną i pajęczyną. Mogłam mieć rok drugi albo trzeci najwyżej. Pamiętam dobrze wysokopienne, ciemnoczerwone róże, koło których spotykało się zwykle staruszka gospodarza, odzianego w białe, letnie ubranie i słomkowy kapelusz z krezami. Róże niedosiężne dla mojego nosa, wąchane ~~xxxxxx~~ jednak nieraz dzięki właśnie " dziadziowi" który je ścinał błyskając wysoko nademną krzywym nożykiem. Spadały wtedy w trawę i nie wolno było ich tykać, bo kłuły.

Twarzy rodziców z tego okresu nie pamiętam zupełnie. Byli zbyt codzienni i rozumiejący się sami przez się. Róże i krople na pajęczynie to było coś nowego, czego nie widywało się codzień... Przypominam sobie natomiast dwa nasze pieski. Charcik nazywał się Smyk, a mała pinczerka Mucha. Z tą Muchą i pajacem od chrzestnego ojca Rodakowskiego, namalował mnie Tatko na olejnym, owalnym portrecie, który wszakże nie miał być udany. Smyk zaś uwieczniony został na również olejnym widoczku dyniskiego ogrodu, razem ze mną malutką i Mamą. Obrazek ten darowany Leli, jest w Medyce. Mucha miała być nadzwyczaj mądra, ale zadzierzysta i zginęła okropną śmiercią rozdarta przez dwie suki sąsiadów, duże i zazdrosne. Jak przez sen pamiętam tę katastrofę. Smyk - jak to wiem z tradycji - był o tyle szykowny, o ile głupi i lekkomyślny. Ze względu na cienkość w pasie, nie można go było bić więc gdy coś zbroił, prawił mu Tatko długie perory, których pies musiał wysłuchiwać pokornie, wijąc się z nudów i upokorzenia. Morały te, wygłaszane umyślnie ~~xxxxxxxx~~ monotonnym głosem, kruszyły widać psie sumienie, bo pamiętam Smyka, jak wydając nerwowe okrzyki, cofał się coraz ~~xxxxxxx~~ bliżej ściany, a wreszcie wpykał nos w szparę za kanapą. Pochodził z Dynisk i wywodził ród swój z gniazda chartów, które wydało takie znakomitości, jak Jenny pani Skolimowskiej i piękny i podziwiany przez Grottgera Lelio.

Trzykrotnie, dzieckiem, byłam z rodzicami w Dyniskach. Pierwszy raz w r. 1874, gdy była jeszcze matka Dora, ukochana, macierzyńska przyjaciółka i dobra wróżka naszej młodości. Jej samej nie było wprawdzie w domu, gdyż chora bawiła w Szczawnicy, ale był w Dyniskach pan Julian, jej mąż, siostra pani: Feliksa z Kłopotowskich I-o voto Tadeuszowa Skólimowska, II-o Maurycowa Brezanyi, z córkami z pierwszego związku Aniefcią i Bronią i synkiem Tadziem. Tadzio, wyrostek, strzelał dla mnie wróbelki na pieczyste, a Raz zabił wspaniałego orła. Tatko narysował go opartego na fuzji, z pysznym ptakiem u stóp. Mara darowała później ten rysunek jego żonie. Bawili tam przez lato stary pan Parylowski, major Wojsk Polskich, pan Brezanyi, panna Róża Ziętkiewiczówna, brat jej cioteczny Staś Niewiadomski, panna Żana Drobczyńska... Są to oczywiście wspomnienia z lat następnych, gdyż dopiero podczas trzecich wakacji dyniskich, w r 1876 - w dwa lata po śmierci pani Izydory - nos mój sięgał z trudem brzegu stołu w jadalni.

Ponieważ okna wychodziły na ganek obrosły dzikim winem, zawsze tu było chłodno i ciemnawo. Zawsze pachniał melon, zawsze syczał samowar, -bodajże wyższy odemnie -, stojący koło drzwi, na marmurowym, w kwiaty wykładanym stoliku. Nad nim wisiał pyszny portret jenerała Gadomskiego, ożenionego z panną Pokutyńską, obraz który po ostatecznej rozsypce Dynisk, znalazł się na Zaświeciu.

Pan Julian, nazywany żartobliwie " panpan" ile że bardzo mocno w domu panował, znajdował się już wówczas w fazie życia zmierzchowej, mniej groźnej niż ją przekazała tradycja.

Bo straszny był to pan ! Gdy młodziutka, bogata prześliczna panna Izydora Kłopotowska, chowana sierotą u babki, po krótkim okresie narzeczeństwa, sztywnego i oszańcowanego ówczesną etykietą o tyle własnie, aby się dotyczący wcale znać nie mogli -- przyjechała z mężem po ślubie do Dynisk, oznajmił jej pan Julian, że jej nie kocha i nie będzie kochać nigdy, że się z nią ożenił na złość kobiecie, która go nie chciała, odtrąciła i za innego wyszła. Grać komedii nie myśli i rzecz stawia jasno.

Dwór był duży, pusty. W jednym skrzydle mieściły się pokoje młodych państwa, w przeciwległym, przedzielonym amfiladą wielkich, niskich pokojów, salonami, jadalnią i palarnią - garderoba, locum miejscowej, świadomej stosunków, -służby. Pan Julian często i długo przebywał za domem, a młoda kobieta, przymierająca po strasznym wyroku, półżywa z dziecinnej trwogi przed samotnością i ciszą, wymyślała sobie wieczorami umyślne pretekst, aby - przebiegłszy pędem ciemne, puste pokoje - wpaść bodaj na chwilę do garderoby i z pokojową zamienić parę słów. A potem znów mężny powrot przez ciemne,

wielkie przestrzenie, popod ciemne, belkowane sufity, samej jednej, wylękłej zarówno przed życiem, jak przed własną rozpaczą.

Rychło - malgré tout - zaniosło się na przybytek. Urodziło się z czasem dwóch synów Władysław i Józef, najmłodszym, ostatnim dzieckiem była Zosia. Pan Julian tymczasem, ongiś świetny porucznik Wojsk Polskich z 31 r., kawaler Krzyża Virtuti Military - acz wysoko ukształcony i pełny - do gości! - poloru, zapadał powoli w nałóg haniebny i - o ile nie gnębił w stanie trzeźwym otoczenia - stawał się na całe godziny martwą naturą, którą jedynie lokaj-zausznik zawiadował. Pani Dora natomiast, z równowagą zupełnej świętej, oddała się dzieciom, gospodarstwu i pogłębianiu bardzo niezwykłego umysłu. Potrafiła z czasem, mimo własnej i jakże przewlekłej, życiowej klęski, uczynić zatruty od korzenia dom przybytkiem błogim dla innych, których kochała, garnęła, tuliła.. Jej też zawdzięczają oboje - Mama i Grottger - najlepsze tygodnie życia. Nazwisko jej, wspominane zawsze z uniesieniem wdzięcznej adoracji, jawi się w jego listach do Mamy - nazwisko, któremu po latach, danym mi było położyć epitafium w medyckim wydaniu tej korespondencji.

Pani Skólimowska umarła o tyle zapóźno, że dożyła świadomości o odziedziczonym przez starszego syna ojcowskim nałogu i o nieuleczalnej chorobie płuc jedynej, ukochanej córki -- o tyle dość wcześnie, że nie dowiedziała się nigdy o zagładzie Dynisk, własną wyłącznie pracą ratowanych latami, ani o tym, że wskutek nieprzytomnej gospodarki spadkobierców szło niejedno cudne drzewo z parku na opał - aż w końcu główny wierzyciel, żyd Reiss, sprowadził się - jako właściciel - do dworu.

Mama kochała matkę Dorę może bardziej nawet niż własne "matki", jak nazywała babcię i siostrę jej, ciocię Terenię. Wdzięczna jej była całe życie i do końca wspominała jej rozum przenikliwy a słodki, jej nieporównaną wytworność i hart. Pamiątki po tej jedynej ukochanej przyjaciółce nie opuszczały Mamy do ostatka. (Wszak że to) Matka Dora przywiozła z dyniskiej oranżerii mirt do Mamy ślubnego wianka, a włosy jej, wraz z włosami Grottgera, włożyłam - wedle zlecenia - do Mamnej trumny.

Takie tedy były dzieje " pana pana" Matki Dory i Dynisk. Ale wtedy - malutka - nie czułam żadnej grozy. Owszem, lubiłam tego słusznego, starszego pana, którego wielkie chustki do nosa pachniały zawsze czymś prześlicznym i który nieraz brał mnie ze sobą na przechadzkę po pokojach, w których zresztą nie miałam racji bytu i które dlatego właśnie bardzo mnie zaciekawiały. Stały tam piękne, ciemne meble, o połyskujących, jak złote ozdobach, jakich na naszych domowych sprzętach nie było, wisiały piękne obrazy, wszędzie moc świeżych kwiatów i złoconych książek. Osobliwie zachwycała mnie haftowana

ścianka w drewnianej ramie, ekran stojący przed piecem, na którym jakaś cierpliwa, radzinna nieboszczka wyścibała bukiet niebywałych kwiatów, - bajecznych róż, wielkości mojej własnej twarzy. Jedną z nich wielbiłam i kochałam namiętnie... Była żółta i miała poziomkowe cienie. Obok niej widniał błękitny kielich powoju, o skręconym zalotnie wąsie.

Głównie żyłam wtedy oczami. Mam dotąd w pamięci zatrzęsienie jakby kolorowych klisz z tego czasu, ostrych i nie pełznących z latami... Wnętrze powoju zerwanego przez Mamę w pobliżu oranżerii, gdzieś koło zielono malowanej ławki, - amarantowe brzegami, a na dnie kieliszka pełne jakby światła, które się może wylać za przechyleniem... Szarą siatkę na melonie, czarno aksamitną ciemność sadzawki, z której Jaćko, ogrodnik czerpał wodę do podlewania grządek, ogromne kaczki z pierzastymi czapeczkami na głowach, biały, zawiły deseń na granatowej spódnicy babiny, która była moją nianią w Dyniskach...

W roku 1876, przed wyjazdem naszym na te trzecie dyniskie wakacje, umarła we Lwowie moja młodsza siostrzyczka, Wandzia, nazywana Sroczką, a przezemnie Joczką. Nie zajmowałam się nią wcale, gdy żyła. Raz przypominam ją sobie jak siedziała na foteliku mojej lalki, Paryżanki (jedno i drugie zabawki od H. Podakowskiego z Paryża). Była już bardzo chora, pewno miała gorączkę i było koło niej jakieś zamieszanie nie zwyczajne... Zastanowiły mnie wtedy silne kolory na małej buzi i ogromność błyszczących, ciemnoniebieskich oczu. Interesowało mnie, że już się mieści w ten fotelik i jest aż taka ładna. Ładność spostrzegałam przedziwnie wcześnie. Gdym patrzyła w lustro podobałam się sobie, ale czyniłam to naprawdę bez niczego podobnego do próżności. Poprostu jak się widzi, że coś jest czerwone albo niebieskie. Jedni są ładni, drudzy nie. Lepiej jeżeli są ładni.

Dobrze i uważnie przyjrzałam się dopiero Joczce gdy umarła. Nic - ale to haniebnie nic nie pamiętam szczegółów, które tę śmierć maleńką poprzedziły. Zaczęłam spostrzegać inny wygląd domu i domowych dopiero w jakimś momencie, kiedy mnie Mama poprowadziła do zaciemnionego pokoju, w którym paliły się wysoko postawione świece..

Podniesiona przez Mamę zobaczyłam malutką niebiesko ubraną dziewczynkę. Była zupełnie biała na buzi, oczka jej były zamknięte, rączki, o zaplecionych paluszkach, leżały nieruchome, cała była zasypana gałązkami geranium. Dziewczynka ta miała być naszą umarłą Joczką. Wydała mi się czymś całkiem innym, komu się wydarzyło coś niezmiernie osobliwego. Byłam onieśmielona jej widokiem, ale nic a nic smutna... Parę miesięcy wcześniej widziałam już zresztą kogoś kto umarł i leżał między świecami w trumnie. Był to Goszczyński. Myliło mnie też czyjeś zasłyszane powiedzenie, że Joczka jest teraz

aniołkiem, co mi się wydawało bardzo dla niej korzystnym a zaszczytnym dla nas... Tylko Mamy płacz martwił mnie i dziwił. Wydała mi się także jakby mniej znajoma, z obcym wyrazem twarzy, którego nie pojmowałam. Jakże nierównocześnie wysuwa życie szufladki człowieczych pojęć! Stworzenie, które umiało już widzieć obrazy, czuć urodę natury i ludzkich twarzy, było zupełnie tępe nie tylko na śmierć ale na smutek najbliższych. Gorzej... bo gdym następnie w Dyniskach zobaczyła nad łóżkiem Mamy przywiezioną ze Lwowa fotografię Joczki w trumience, oprawną w modry aksamit i owiniętą krepą przed muchami - uczułam szkaradne ściśnięcie serca o to, że widocznie nie ja tylko mam do Mamy prawo, i że mojej fotografii wcale ze sobą na lato nie wzięła... Doskonale pamiętam ucisk i niesmak zazdrości. Było to tym głupsze, że rysunek Tatka, przedstawiający Bolcia, mojego starszego o rok braciszka, także w trumience, wiszący od lat w lwowskiej sypialni rodziców, niczym mi nie dolegał.

W kalendarzu z r. 1876, pod datą 2. lipca zapisał Tatko :

" Dziś, popołudniu, o 6-tej wieczór, odbył się pogrzeb naszego Aniołka. Chociaż deszcz padał, zgromadzili się dość licznie nasi najlepsi przyjaciele. Cudnie wyglądała dziecina ułożona jakby śpiąca, ustrojona w błękitną sukienkę, którą właśnie tydzień przed śmiercią chrzestne matki Skólimowskie na imieniny jej zrobiły. Stół na którym leżała, obstawiony wszystkimi kwiatami matki i wszystko to matka sama ułożyła. Trumienka była z białej blachy, srebrna. Wieko przyłożyłem sam i z Henrykiem Rodakowskim wynieśliśmy trumienkę do powozu. Powieźli ją na kolanach: Panny Skólimowskie, Józef Żuliński i Stefan Grzywiński. Pochowana obok prababki swojej a babki Wandzi. Przy tej sposobności doznaliśmy wiele dowodów przyjaźni. Maryla przy całym tym wypadku zachowywała się dość dziecinnie i tylko smutek matki robił na niej wielkie wrażenie. "

A zaraz poniżej, pod datą 16 lipca, krótki zapisek :

" Wyjechaliśmy do Dyniska na usilne zaproszenie pana Juliana Skólimowskiego. "

Bywała w Dyniskach często muzyka. Grywał - o ile nadjechał - pan Władysław, starszy syn domu (uczeń ongiś Liszta) którego przypominają mi zawsze wizerunki Jana Kazimierza, - grał Staś Niewiadomski, panna Róża i Mama śpiewały.

Głos Mamy dogadzał mi jak najpiękniejszy zapach, jak jakaś najśliczniejsza rzecz widziana. Sam dźwięk urzekał mnie, jak gwizdanie urzeka jaszczurkę bo ani słowa ani kompozycja nie były jeszcze dla mnie zrozumiałe. Umiałam siedzieć cicho i nie ruszać się a gdy były przerwy, czekać na jeszcze. Akompaniował zwykle Staś. Miał wtedy może lat szesnaście, może trochę więcej... Nosił długie włosy, były jasne i układały się pięknie.. Ubrany chadzał ówczes-

ną modą letnią prawie zawsze całkiem biało. Wydawał mi się przejmu=
jąco piękny, podobny do różnych " głównych " twarzy na obrazach i
to podobieństwo kłopotało mnie w jego obecności. W sposób przyjemna=
wo przykry. Lubiłam kiedy grał przypatrywać się jego podniesionej
głowie, której rysy niepokoiły mnie i pociągały dziwnie. Raz - ~~pxxę~~
pamiętam - narwałam garść stokrótek - same główki bez ogonków ~~pxx~~
~~dxxxxxxxxxx~~ tak po dziecinnemu - i nasypałam tę skubankę na klawi=
sze, aby go uczcić. Nie domyślił się jednak owacji i bez ceremonii
strzepnął wszystkie pod fortepian.

W Magdalence, koło Dyniska, mieszkał i gospodarował, jeszcze
wówczas nie żonaty, młodszy syn PP. Stolimowskich, Józef. Ponieważ
bawili w Dyniskach przeważnie krewni lub sami bardzo bliscy, a
wszyscy ogromnie go szanowali i ~~xxxxxxx~~ kochali, mówiło się o nim
poprostu : Józio. Czułam ten ogólny szacunek nawet w moich trzech=
letnich nizinach.

Zostałam raz wzięta na Magdalenkę dokąd się pojechało po
wiejsku, wozami. Niezmiernie podobała mi się trzęsąca jazda w słoń=
cu, obłoki pyłu, konie nie zasłonięte wysokim kozłem - a potem cała
wizyta u Józia. Gdy uszczęśliwiona z ciepłej, gwałtownej ulewy, pła=
wiłam się radośnie w lejących strumieniach deszczu, nie mogłam pojąć
dlaczego starsi tacy temu nie radzi. Przebierano się potem w jakieś
odzieże płócienno- piekarniane, gdyż damskiej, pod kawalerskim dachem,
nie było. Przy podwieczorku Żana, z nabożnym naciskiem pokazała mi
zniekształconą prawą rękę Józia, mówiąc cicho, że gdy się bił za Pol-
skę w powstaniu, Moskale przerąbali mu te dwa palce. Była to pierw=
sza wiadomość tej powagi o kimś znajomym i pierwsze takie wrażenie,
które zapamiętałam mocno. Nigdy odtąd nie zdołałam patrzeć na Jó=
zia inaczej, jak z myślą, że się bił za Polskę i że mu za to Moskale
palce porąbali. Rozmiar jego znaczenia stał się odtąd w moich oczach
dwa razy naturalnej wielkości.

W Dyniskach Tatko zawsze dużo rysował, czemu we Lwowie - ile
że ~~xxxxxxx~~ to było w jego osobnym pokoju, lub wysoko przy stole,
- trudniej mi było asystować. Tu odbywało się to najczęściej na
dworze, na ganku, lub w ogrodzie. Rysował Tatko babę z piekarni, Daćka
ogrodnika, spędzającego życie pośród kwiatów i jarzyn, w zazdrości
godny sposób spoufalonego z lasem kukurudzy, za którą przepadałam.
Stawałam cicho przy Tatkowym łokciu i widok spiczastego ołówka,
z pod którego sypały się szybkie, szare kreski, potrzebne wszystkie
aby baba była podobna i taka sama, jak żywa, siedząca przed nami -
przejmował mnie ~~xxxxxxxxxx~~ nabożnym uszanowaniem dla Tatkowych
palców i zagarniał nawet babę w obręb jakiegoś czarodziejstwa.
Puszyło się coś we mnie, że Tatko tak umie, alem go jeszcze samego
wcale nie znała, choć czułam, że mnie kocha. Trzy lata to jest jednak
wiek bardzo mizerny...

Niebawem wyprowadziliśmy się od " dziadzia" Brajera, którego ogrody i domy zniknąć miały z czasem bez śladu pod kamienicami ulicy Brajerowskiej — i zamieszkali przy ul. Sykstuskiej pod Nr. 33. Mieszkanie to miało długi ganek od podwórza i okna wschodnich pokojów wychodzące na jakieś niskie oficyny, ponad którymi widać było czuby drzew w ogrodzie Potockich. Dalekie - ale zawsze drzewa, a nad nimi dużo nieba... Strasznie lubiłam te okna. W zimie wymarzały w najwspanialsze bodiaki lub różane pręty i oglądane poprzez nie gromady kawek, latających nad dalekimi drzewami, były moim codziennym zimowym teatrem. W tym samym domu mieszkała pani Fela Brezaniowa, siostra Matki Dory, z córkami Anielką i Bronią do których nieraz chadzałam w odwiedziny. Pamiętam wnętrze mahoniowych szkatułek, w których wolno mi było grzebać, zapach tych skrzynek, dotyk jedwabnych motków o delikatnych kolorach i kryształy na tualecie pani Feli.

Nie uczyłam się oczywiście jeszcze wcale, prócz liter w zabawie z Mamą, alem rysowała zapalczywie na wszystkim co się nadarzyło. Bodaj-że już wtedy także pewien lekki haczyk z pieca, dał mi poznać tajemniczą władzę wydoskonalonego z czasem " kręcidła", zaczarowanej różdżki mojej młodości. Brałam go w prawę rękę, gramoliłam się na jakiś podnóżek lub paczkę, (krzesło było na ten cel za wysokie a na podłodze szło gorzej...) i zaczynało mi się myśleć. Myśleć tak płynnie, jak leci woda pod kurka, a co najdziwniejsze, prawie bez udziału mojej woli, jakby coś myślało mną - nie jakbym ja coś wymyśliwała. Stałam jakby pod jakimś płynącym strumieniem, sama ciekawa co nadniesie.

Zaczęło się to - jak moc o wiele ważniejszych odkryć - przypadkiem. Ścisnąwszy mocno w prawej ręce zakrzywiony haczyk, odczuwałam doraźnie jakby napływ czegoś z poza mnie i równocześnie myśli zaczynały się układać w kalejdoskop scen, zrazu oderwanych, jak obrazki, potem spojonych konsekwentnie w długie opowieści. Z początku nie umiałam tego tak analizować jak dziś, dość mi było świadomości, że ścisnąwszy haczyk w garści, wpatrzywszy się przytym w jego zakrzywiony koniec, naopowiadam sobie różności, o których mi się przed momentem nie śniło ...Trzeba tylko było wykonać mocno ściśniętym haczykiem ruch w powietrzu, jakgdyby się je wierciło i to w tym kierunku, jak kluczem w otwieranym zamku. O swobodzie i obfitości z jaką mi się wymyślały i sypały słowa w takich transach, nikomu nie mogę dać pojęcia.

Zrazu zdawało mi się, że każdy tak potrafi i wcale się z moim obrzędem nie kryłam. Stawałam całkiem jawnie na podnóżku i z haczykiem w ręce, wyplatałam głośno niestworzone historie. Mama protegowała to dziwadło, Tatko bał się go trochę, sługi się

xxxxxxxx wyśmiewały i jedynie Adaś, brat mój wystąpił z czasem jako zdecydowany przeciwnik " Kręcidła". Nie było w tym głębszych przyczyn nad pospolity braterski program robienia na złość. Na razie, w mem opowiadaniu Adaś ma się dopiero urodzić.

W jesieni 1877 wzięli mnie ze sobą rodzice pierwszy raz do Krakowa. Miałam piąty rok, umiałam nazwać już wielu królów polskich, z obrazu Cynka znałam królowę Jadwigę, która kochała Wilhelma... Wiedziałam że to on leży na obrazie w rozpaczy u jej stóp. Umiałam krakowiaka o Wandzie, co nie chciała Niemca, posiadałam książkę o Panu Twardowskim, w której był śliczny obrazek, na którym czarodziej jedzie karetą po krakowskim rynku i tłucze żonie garnki - słowem zupełnie dość, aby stworzenie tak rozbudzone i egzaltowane wprawić w szał radości, gdym do Krakowa dojeżdżała. Naturalnie że i na Kopiec Kościuszki byłam przygotowana ! Gdy mi Mama pokazała Krzemionki, wiedziałam już, że się tam Twardowski z diabłem zmawiał, nie miałam wątpliwości, kto był dziś największym xxxxxxxx polskim malarzem -- znałam jego fotografię, na której napisał własnoręcznie : Karolowi Młodnickiemu, przyjacielowi od serca - Jan Matejko ". Tego Matejkę żywego miałam także zobaczyć.

Wujostwa Korczyńskich nie znałam jeszcze ale wiedziałam od Mamy jacy są kochani i jaka ciocia piękna. Istotnie ciocia była wspaniała, jednak dla moich krótkowzrocznych oczu jej biała, poważna twarz była o wiele za wysoko... Mama miała wzrost bardzo okazały, ale była niższa od cioci Edziowej. Wuj za to, znakomity lekarz i profesor Jagiellońskiego Uniwersytetu, od razu przypadł mi do serca. Brał mnie na ręce, nosił i miałam tuż przed sobą jego śmiejące oczy, zielonkowate, w ciemnej oprawie, jak oczy Dziodzi, mówił głosem który się musiało lubieć i czułam, że się mną naprawdę cieszy. Bardzo, bardzo pokochałam z czasem moich wujostwa. Narazie byłam jak półprzytomna, podniecona nowością wszystkiego co -(..brzmieć to musi komuś nieprawdopodobnie, a jednak jest prawdą uczciwą..) przepełniało już wtedy odrobinę mego serca w sposób dziwnie swałtowny. Polscy królowie Wisła Twardowski i Matejko, którego miałam zobaczyć! Był we mnie zawsze głód piękności, wzniosłości, głód zachwytu, ekscytowany pewno i otoczeniem dorosłych, xxxxxxx entuzjastów - i dziwacznym nałogiem, który przyśpieszał rozwój moich pojęć w sposób anormalny. Kręcidło!

Gdym się znalazła z rodzicami w pracowni Matejki całą ścianę nawprost wejścia zapełniało olbrzymie płótno " Grunwaldu". Przed nim stało coś, jak przeźroczysta ambona z galeryjką i schodkami. Matejko witał się z rodzicami, potem wziął mnie xxxxxxx na ręce i ucałował.

- No cóż tam widzisz? - zagadnął obracając ku obrazowi.

- Nic nie widzę... Same kolory...

- A ludzi nie widzisz ? - dziwił się.

- Nie.

- Jak to może być? Musisz zobaczyć...- i wyniósł mnie po schodkach na ambonę,czyli podium,na którym stojąc malował wyższe partie obrazu. - Teraz lepiej? Widzisz już ?

Zobaczyłam teraz za dużo. Ogromne,wytrzeszczone oczyma,brodate twarze,zawierucnę ludzi,koni,wszystko za bliskie,za wielkie...

- Tak. Teraz widzę...- przyznałam ale musiał dostrzec że mi nieswojo,bo mnie zniósł po schodkach i poprowadził brzegiem wzdłuż obrazu.

- Popatrz! - mowił - Wszyscy na górze to Polacy,a ci na dole to Niemcy. Musisz powiedzieć co ci się tu najlepiej podoba?

- Ten biedny Niemiec... - powiedziałam, wskazując Lichtensteina. Błębitno biała suknia i złota czupryna rycerza walącego się wstecz z konia na widza,zachwyciła mnie.

- A bój-że się Boga, Niemiec ! " - zgorszył się Matejko,a potem dodał żartem : Otóż to ! Znowu gust niewieści! Nie godzi się z polityką..."

Całę tę rozmowę zanotowała Mama pokrótce w ówczesnym kalendarzu,ale i mnie samej wrażenie i słowa - prócz ostatniej refleksji o kobiecym guście utkwiły dziwnie wyraźnie w pamięci. W liście do Ujejskiego z dn. 17,10 r.1886,wraca Mama szerzej do tej scenki dobrze mi pamiętnej,ale i wtedy opuszcza ów żartobliwy okrzyk : A bój-że się Boga -Niemiec !".

Wrócił mi on wspomnieniem po latach,na rozstajnej drodze życia,wobec dziwnie podobnej,zwichrzonej,złotej czupryny Niemczyka... Mój Lichtenstein nazywał się inaczej,ale przegrał tak samo.

Nauczona przez Mamę odchodząc, pocałowałam Matejkę w rękę. Znowu mnie podniósł i uściskał,a potem stawiając na ziemi,odkarnął mi grzywkę i musnął palcem po czole. Pierwszy to raz nakreślił mi krzyżyk,co czynił potem zawsze ilekroć później odwiedzałyśmy go z Mamą w pracowni,albo gościli u nas we Lwowie. Zawsze wracało mi w jego obecności poczucie,że to są właśnie te momenty,dla których żyć warto,że po takim krzyżyku muśniętym ręką Matejki na czole, człowiek sam jest jakby wyświęcony,czy pasowany na lepszego,sam sobie więcej odtąd warty i winien...Ale wtedy,byłam jeszcze za mała aby to tak wyrazić,czułam jednak wielkie podniecenie i napuszenie myślą,żem poznała sławnego Matejkę.

Pobyt ów wszakże krakowski nie z samymi zaszczytami dla mnie się łączy. Niestety - nie piękne rzeczy wyznać mi trzeba !

W Krakowie bawili wówczas tylko obaj wujowie -Edward i Adolf - oraz dziadziowie Korczyńscy. Ciocia z Edziem byli w Kobierzynie na letnisku. Byliśmy tam także,aby ich zobaczyć. Edzio chodził jeszcze w sukience jak dziewczynka,był bladawy,bardzo ładny,ale mało mówił

i. nie był wcale mną przejęty.

Raz, podczas naszego pobytu w Krakowie przyjechała ciocia z Edziem i byliśmy na obiedzie u Dziadziów. Przyszłam do stołu w złym humorze, a skwasiłam się jeszcze bardziej, widząc, że Edzio dostał dziecinne, wygodne krzesełko, ja zaś siedzieć miałam na zwykłym, wypiętrzonym poduszkami i albumami. Buntując się i wiercąc, bardzo trudno było na tym usiedzieć.

Mimo moich egzaltacji i estetycznych uniesień, byłam bardzo łakoma. Podano pieczeń. Zobaczyłam, że Babcia położyła Edziowi na talerzu kawałeczek nerki. Resztę wzięli inni... I jego obojętność dla mnie i niewygodne krzesło i jawna krzywda z nerką (w domu ja zawsze dostawałam połowę...) dopełniły miary mego rozżalenia. Postanowiłam, że pójdę i nie wrócę. Odczekałam przezornie legominy, a potem, gdy się przy wstawaniu zrobiło zamieszanie, wzięłam z przedpokoju moją nową parasolkę w bukieciki bratków z liliowymi fenendzelkami, obróciłam bez trudu klucz w drzwiach i pędem, bez kapelusza, zleciałam schodami ku bramie.

Szłam ulicami, pełna głuchej zemsty i zadowolenia ze siebie. Był ciepły, letni dzień i niczyjej uwagi nie zwróciła dziewczynka idąca z niewinną miną wprost niedużego nosa. Pamiętam - naprawdę pamiętam ! - jak się napawałam satysfakcją, jak doskonale wiedziałam, co będzie za popłoch, gdy mój brak spostrzegą... Stawałam na palcach przed sklepowymi wystawami, słońce świeciło, zasłaniałam się parasolką, ludzie mnie mijali... Nie wiem jak długo to trwało... Tymczasem Tatko, Wuj, malarz Cynk, obecny także na tym obiedzie - wszyscy rozpierzchli się po ulicach... Wreszcie, gdym stała przed wystawą i przeglądałam się w pękatym brzuchu mosiężnego samowara - złapał mnie ktoś pod pachy i porwał w powietrze... To Cynk poczciwy, ten sam który malował Wilhelma u stóp Jadwigi, dopadł mnie pierwszy i bojąc się zdrady, porwał na ręce i nie puszczał. Zła byłam jak furia, miałam ochotę wąsy mu oberwać, krzyczeć na całe miasto - ale ambicja mnie wstrzymywała. W milczeniu dałam się nieść razem z otwartą parasolką w bratki...

Nikt nie dowiedział się o powodzie owej ucieczki. Nie było zwyczaju dawania mi w skórę. Wuj i Mama wymyślili inny genialny sposób. Odtąd zawsze, w dość częstych napadach złości, dostawałam zimny kompres na żołądek, oznajmiano mi, że jestem bardzo chora i kładziono do łóżka. Czasem dopiero nazajutrz wolno mi było wstać. To działało świetnie. Okład, przymusowa kontemplacja, groza choroby - wszystko to kruszyło moje sumienie i miękłam na czas dłuższy.

Dziadziów Koryczyńskich wspominam jak niewyraźne, miłe sny. Babcia - siostra mojej rodzonej - oraz cioci Tereni i Celiny w Czerniowcach,

zwana ciocią Lizia, bardzo mi pono sprzyjała, a dziadzio łączy mi się z pierwszym pojęciem o skrzypcach. Grał pono pięknie i Mama bardzo go kochała.

Procz nich mieszkał też w Krakowie drugi syn Dziadziów Adolf, adwokat. Odwiedziliśmy go. Był nieżonaty, miał duże mieszkanie z którego zapamiętałam czarne rzeźbione meble, obite błękitnym jedwabiem i szereg szaf oszklonych z książkami. Na brzegu jednej z półek za szkłem, leżało kilka czerwonych kamieni. Powiedziała mi Mama, że przywiezione są z Ziemi Świętej i bardzo możliwe, że któregoś z nich dotknęła stopa Pana Jezusa. Nie pamiętam aby kiedykolwiek później jakaś religijna czy historyczna relikwia, wywarły na mnie wrażenie równie wstrząsające, jak tych kilka kamyków po owych maminych słowach. Wcześnie byłam obznajomiona z Boskimi sprawami, znałam wiele obrazów, pieśni, lubiłam oglądać procesje, ale wolałam, że Pana Jezusa, ani nikogo z nieba, nie można zobaczyć. Połową duszy potrzebowałam zawsze rozumieć i wiedzieć - drugą połową wielbiłam tajemniczość i bajkę...

Robiliśmy wtedy z Bujem, Ciocią i Cynkiem wiele okolicznych wycieczek. Do Skał Panieńskich, Mogiły Wandy, Łobzowa... Mnie najżywiej utkwiło w pamięci jedno popołudnie w Krzeszowicach, gdzieśmy zwiedzali park Potockich i gdzie mnie olśnił wodotrysk i rozmarzyły prawdziwe, pływające po stawie łabędzie. Zostało mi też stamtąd wspomnienie pajdy chleba z masłem i miodem, którą - wysuwającą się z niezgrabnych rąk - przycisnęłam z całej siły do serca ! Los zdarzył, że miałam wtedy na sobie ładną, błękitną sukienkę, obszytą falbaneczkami ze strzępionego jedwabiu...Biedna Mama !

Na Wawelu, na moją bajczarską fantazję podziałały najsilniej kości mamucie u drzwi do Katedry. Groby królewskie to był dla mnie tylko kamień.. Jamto były smocze kości ! Nikt nie miał serca odebrać mi wiary, że smocze. Mama zwłaszcza miała cudowną tolerancję dla potrzebnej wyobraźni i jej własna Lust zum fabulieren towarzyszyła mi na wszelkich odkrywczych wędrówkach po lasach i dziuplach, które zaludniałyśmy krasnoludkami i innym dziwem dowoli. Nie było to może pedagogiczne, ale niezapomnianie cudowne ! Nigdy zresztą nie spowodowało żadnej pomyłki w rozeznawaniu dwu światów.

Na Boże Narodzenie tego samego roku przyjechała do nas Babcia z Czerniowiec, gdzie u starszej siostry Augustowej Schally, zwykła była przebywać miesiącami.

Przyjazd jej był dla mnie ważnym wypadkiem i ogromnie barwną porcją wrażeń. Pamiętam rozpakowywanie walizek. Kolorowa inność nieznanego świata zachwyciła moje oczy, gdym ujrzała przepysznie hafowane

Odnosnik do str 17

Nie mogła inaczej dopiesć warkocza do końca,
jak tylko po okręceniu go sobie wokół pasa
tak był długi!

24

szlaki na bukowińskich ręcznikach z tak zwanego czynowatego płótna, lnianych, które w domu Ciotki Celiny przędła i tkała jej mamka, staruszka Katarzyna...Potem rumuńskie jedwabne chustki na głowę, kraciste, błyszczące " testemele" a wreszcie pierwszy oglądany z bliska kilimek, w słomiano żółte płomyki na dnie malinowym i modrym. Klejnot nie kilimek ! Zjadły go mole dopiero na kawalerskiej kwaterze Adasia.

Okropnie mi się udała Babcia! Przyjechały też słoje pigwowej galarety, barwy jasnego karniolu, w której czerwieni bielały z rzadka ziarnka laskowych orzechów, - różany sorbet i chałwa, w drewnianej puszce coś tłustego i słodkiego, co wcale nie było dobre, ale jawiło się zbyt bliskie kilimka i jedwabnych xxxxxxx " testemeli" aby tym gardzić...

Babcia bywa zwykle siwa i pomarszczona...Moja - była dziwnie śliczna, choć niemłoda. Pamiętam ją czeszącą się...Widzę strumień włosów czarno-granatowych, sięgających kolan i rysy które zawsze i później wydawały mi się zbyt paradne na codzień. Oczy miała Babcia wielkie i granatowe, jak Joczka, smutne mimo uśmiechu, o ciężkich, długorzęsych powiekach.

W samą wilię tego roku urodził się Adaś.

Z osób bywających u nas lubiłam panią Eustachową Jezierską, a zwłaszcza jej córkę, Walę. Wesoła była, miała ładne czarne oczy i okazywała wielkie zainteresowanie moim " kręcidłem". Już w tym czasie je zauważyła kiedy mi się jeszcze ani śniło o haczku, tylko zaciskałam piąstki a zwłaszcza prawą w kułak, wiercąc nim powietrze. Nauczyła się robić podobnie, ku mojej wielkiej uciesze i zdaleka już gdy wchodziła, widziałam jej podniesione pięści, robiące znajome półobroty, i jej ładne, czarne, roześmiane oczy... Gdyśmy się po dziesiątkach lat znowu zobaczyły, przypomniała mi moje dziecinne, zaciśnięte kułaczki, wiercące dziury w powietrzu. Wyszła za Bolesława Eulenfelda, zacnego Polaka i autora patriotycznych sztuk popularnych, grywanych jeszcze zawsze. Sama xx także pisała wiele dla scenek.

Z rodziny mieszkali we Lwowie jedynie Wujostwo Pawłowscy. Bardzo lubiłam tę Tatkową siostrę, ciocię Milę i jej męża. Ciocia była elegancka i zabawna, wuj Antoni urodziwy i miły. Dom ich podobał mi się bardziej od naszego, więcej w nim było roślin i kolorów. Ciotka umiała zawsze, choćby na chwilowym popasie, urządzić się przytulnie i ozdobnie. Bukiet, xxxxxxxxx ładna, barwna szmatka, jakiś ciekawy czerep, książki -- w momencie musiało być koło niej ładnie. Długo żadne nakrycie stołu nie mogło się dla mnie równać elegancją z tym,

jakie oglądałam podczas imieninowych czy świątecznych przyjęć u wujostwa Pawłowskich. Obrus był zarzucony zielenią paprotki, rosnącej całą chrurą w ogromnym wazonie na posturencie w salonie, delikatnej, jak śnieżowe płatuszki gwiazdeczki. Na obrusie talerze niebieskie, pozłacane, na dnie każdego malowana gałązka jaśminu. Koszyki porcelanowe, o pozaplatanych, złoconych rączkach, etażerki z purpurowego kryształu, na których winogrona (św. Emilia w listopadzie!) zmieniały się w klejnoty z bajki. Herbata podawana była po staroświecku, w szklankach a każda szklanka siedziała w srebrnym koszyczku z rączką.

Sypialny pokój wujostwa potrafiłabym narysować jeszcze dziś. Na łóżkach ararantowe lapy w ogromne czarne kwadraty z chwastami na rogach. Kanapki i fotele półokrągłe z jasnego drzewa, obite materią w duże piwonie różowe, trumieta na słupkach ze zwierciadłem poprzecznym i róg obfitości wiszący na jednym ze słupków, atłasowy, pełen aksamitnych brzoskwiń i jedwabnych śliwek. Do tych owoców przyszpilała ciocia czereśnie wycinane z gazet. (wiosze, Warszawie na pawiu, ...) szły potem na papiloty. Ciotka bowiem miała sentymentalne gusta i nieraz widziałam ją płaczącą na czułych sztukach. Nie przeszkadzało jej to także czynić do starości nierozsądnie i świetnie.

W domu wujostwa była też jedna półka, na której stały wylepione kunsztownie z tektury i kolorowego papieru kościółek i forteca. Nie prędko pozwolono mi wziąć do ręki te budynki. Tykowane zostały przez wuja Antoniego, gdy po powstaniu długo odsiadywał ciężkie, austryjackie więzienie. Odnosiłam się do nich podobnie, jak do kalekiej ręki Józia Chłędowskiego. Czuło się, że w wesołym mieszkaniu, obok świergotliwych kanarków i mnóstwa zielonych roślin, znajdują się i te przedmioty posępne i uroczyste.

Wujostwo nie miało dzieci, ale dom ich był często gwarny, bo zjeżdżała tu ze wsi druga siostra Tatka ciotka Aniela, jej mąż Walery Wyrzyański i ich chłopcy.

Rzadziej jawił się stryj Edmund Młodnicki z Czerniowiec, najstarszy z rodzeństwa. Skromny, ujmujący dobrocią człowiek, którego główna pasją życia stanowiła muzyka i pszczoły... Że zaś miał dzieci w gołębiej ilości, zawsze zaturbowany o któreś i skłopotany do śmierci. Z Ojcem moim nigdy nie był nadto blisko, ale zawsze na "św. Karola" 4-go listopada i na "św. Edmunda" nieco później posyłali sobie dość jednotonne listy z życzeniami i wiadomościami. Rozeszli się w bardzo młodych latach, i potem łączyły ich już tylko wspomnienia rodzinnego domu. Stryj Edmund na skutek okoliczności stanął dawno w duchowym rozwoju i z braterskiego, który do ostatniego tchu pozostał, wysubtelniał i skostniał -nie wiele miał do mówienia. Stryj, gwoli muzyki i gołębi

nie skończył prawniczych studiów, ożenił się przedwcześnie i mocno niedobrze, z osobą dobrą, ale prostą, po której dzieci wyszły w mocno zgrzebnej edycji. Poczciwe, pracowite, ale nieuleczalnie zgrzebne. Zawsze była między nimi a nami źle zrozumiana odległość, której niepodobna im było bez zadzierki wytłumaczyć, ani też przekonać kiedykolwiek, że to przecie nic innego tylko - inność. Co innego z ciotkami. Te były nam zawsze obie najserdeczniej bliskie, choć mało co od xxxx xxxxxxxxx stryjostwa Edmundów zasobniejsze. Mama i stryj odnosili się do siebie bardzo przychylnie, śpiewali sobie duety Mendelsohna, Schumanna, mama na fortepianie, stryj na skrzypcach, grali wyciągi z dawnych oper, lub sonat Mozarta - ale mówili sobie "pan" i "pani" jak znajomi. Stryj miał ładny, tenorowy głos i grał na skrzypcach doskonale. Siostry obie kochały go bardzo za jego słodycz i przebaczały mu słabą wolę, której skutki sporo zgryzot kosztowały rodziców. Był to człowiek nie zdolny do brania życia na serio, mimo kłopotów dożywotnich, - wieczysty młodzieniec, artysta- cygan, któremu wszystko co go oddalało od gołębi i skrzypiec, zdawało się niecierpliwiącą zawadą. Przychodził zawsze z kieszeniami pełnymi przysmaków dla nas i wycinków z recenzjami o czerniowieckich ostatnich koncertach i nie prędko pojęłam, że ma się mu głównie do zarzucenia te niezdane xxxx egzaminy - i żonę. Wyglądał do końca życia zdumiewająco młodo. Mając lat 80 nie miał siwego włosa i bujna jego blond czupryna miała ten sam rzut co na odwiecznych portrecikach Tatkowych z mikołajowskich czasów. Na dwa lata przed śmiercią przypomniał sobie jakiś piękny widok z Czarnohory i wybrał się jeszcze na tę wycieczkę. Pamiętam z jakim zachwytem opowiadał o niej i jak mu było żałośnie, że nie zastał już zapamiętanego z młodości starodrzewu po drodze. Umarł gdym już była zamężna, i pochowany jest w Szczercu.

Znajomymi, z którymi wówczas żyli rodzice najbliżej, była rodzina państwa Piaseckich. Pani była słuszna, ładna i nosiła krótkie włosy, mąż jej, lekarz, był niski, jak karzełek, miał dużą głowę, nosił włosy długie, po łopatki. Były powstaniec, długoletni, nadaremny wielbiciel cioci Anieli, poza tym hydropata, wegeterianin, przyjaciel znanego ongiś we Lwowie doktora Gromma, przyrodnika i dziwaka - robił wrażenie istoty z bajki, której cokolwiek się bałam. Rodzina ta żywiła się z zasady przeważnie chlebem, mlekiem i owocami i wyjeżdżała co roku na lato do Zakopanego, miejsca, którego adres równał się wówczas temu, na którym rak gwiżdże. PP. Piaseccy mieli tam rozległą posiadłość, nawet kawałek własnego lasu. Z dziećmi ich bardzo się polubiłam. Najstarsza Tańcia, nazwana po ojcu Wenantyną, była mi mimo dużej różnicy wieku, całe życie bliska. Młodszy Genio, chłopak noszący taką

samą blond grzywę jak ojciec, zdolny był, pomysłowy, natomiast najmłodsza Zosia, była dzieckiem ociężałym i zamkniętym, tak, że się nawet i później mało nadawała do zabaw. Pamiętam, jak z Tyńcią, o jakich osiem lat odemnie starszą, odgrywałam scenę zabójstwa Aliny. Balladyną była ona, uzbrojona w ogromny nóż do rozcinania papierów, malinami deseń na stołowej kapie i do dziś słyszę moje serce bijące pod fartuszkiem, jak duży zegarek, w chwili gdy się na mnie rzuciła. Cudowna była emocja czuć jak mnie niby zakopuje potem pod kilimkiem, udającym kwietną łąkę i stawia obok fikus z okna, czyli wróżebną wierzbę, którą potem wszystko wyśpiewa. Bardzośmy się do śmierci kochały z Tyńcią, moją naprawdę najbliższą przyjaciółką młodości. Ona była moją drużką, ona trzymała do chrztu Luka. Rodzicom jej zawdzięczam pierwsze poznanie Tatr w r. 1890, w lipcu, gdyśmy tam obie z Mamą po uroczystościach pogrzebowych Mickiewicza, podążyły z Krakowa.

Domu Maszkowskich nie mogę nazwać znajomymi. Byli to przyjaciele rodziców, bliżsi, niż niejedni krewni. Młodzież domowa, czyli Minia, Staś i Anielka, wszyscy starsi byli znacznie odemnie, ale jakoś tak się to działo, że było mi między nimi w sam raz... Zupełnie się tam czułam, jak w domu - między ludźmi i między obrazami. Wisiały bowiem na ścianach szkice Grottgera, wizerunki koleżeńskie z czasów gdy Tatko był w Monachium, kolegował ze stryjem Mimi Stasia i Lola - Marcelim, tym samym, którego portret grottgerowski, profilowy, w konfederatce, wisiał znowuż u nas nad trymotką w salonie. Lolo i Anielka stanowili zawsze, latami, moje nieodłączne towarzystwo przy wszystkich świątecznych okazjach, których dopełnieniem stałym bywali młodzi Piaseccy. Cioteczne moje rodzeństwo, Maryańscy, nie prędko bowiem przybyli z rodzicami do Lwowa i po latach dopiero, gdy wuj, inspektor skarbkowskich lasów, przeniósł do miasta swe urzędowanie, otwarły się dla mnie niezapomniane adresy, najpierw mieszkania ich przy ul. Zielonej, a potem w Gmachu Skarbkowskiego Teatru. Czasy te godne są osobnego eposu, na który nie wiem, czy mi tchu wystarczy.

Bardzo ważną osobą w mym dzieciństwie był Dr. Stella-Sawicki, lekarz chorób dzieci, pamiętnikarz z czasów powstania, w którym brał znaczny udział, człowiek wielkiej zacności i dobroci, który bardzo blisko żył z moim Ojcem, a potem gdy się rodzice pobrali, przyjaźnił się z naszym domem. Przepadałam za nim i nazywałam go " Stella", tak jak się mówi do kogoś " Kazio" czy "Staś".

Wtedy też kochany, najpoczciwszy pan Bełza obdarzać mnie już począł najładniejszymi książkami, jakie wychodziły w Polsce dla dzieci. Jemu zawdzięczam nieporównaną z żadną inną książką "Złotą Róż=

dżkę " z wierszami Wacława Szymanowskiego i obrazkami doskonałego, niewiadomego mi autora które to poematy wstrząsające o " Pasi i Potach", o " Stasiu straszydle"- o " Grzegorzu i parasolu" i "Michasiu, który nie chciał jeść zupy "...poczem " pięć dni chorował, umarł na szósty " xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx...umiałam jak pacierz.

Z wydawanego przez pana Bełzę "Towarzysza grzecznych dzieci" czerpałam znów moc pierwszych ważnych powiadomień o polskiej historii i świecie.. Żałosne strzępki " Towarzysza dzieci" wpadły mi w ręce na wielkim rozsypisku domowym, podczas przebudowy Zaświecia, wyczytane do szczętu przez xxxxx drugą generację, sponiewierane wprawdzie i ledwie żywe, ale pełne godności starego pedagoga, który spełnił uczciwie swój obowiązek.

Bywało u nas wiele osób. Niektórzy ze znajomych przychodzili częściej, naprzykład kolega Tatka, malarz, Franciszek Tepa. Przychodził zwykle wieczorem i zawsze zatrzymywali go rodzice na kolację. Od czasu do czasu przynosił mi pakiecik biszkoptów i z tej przyczyny - a także i innych - anektowałam go sobie na wyłączną własność, jak rówieśnika.

Mimo wieku było w nim istotnie coś dziecięcego. To zapewne zbliżało go do mnie, a czyniło mniej ciekawym dla rodziców, choć go lubili bardzo. Dla mnie był w sam raz. Słodki ten, uderzająco piękny, delikatny człowiek dał mojemu dzieciństwu dużo radości i pokazał ścieżki do źródeł, z których zaczerpnęłam więcej, niż mógł był kiedykolwiek przypuścić.

W roku 1853 był p. Franciszek zabrany przez rodzinę Potockich w podróż do Egiptu. Towarzyszył im jako nadworny malarz i tam te powstały jego najsłoneczniejsze akwarele, tam odnalazł swój " genre", szerszy, śmielszy, od poprzednich miniatur, stamtąd przywiózł w oczach te kolorowe wspomnienia, których kształtu i blasku starczyło jeszcze i dla mnie - po latach. Opowiadał mi o Egipcie. Jakże dobrze i wdzięcznie pamiętam te wieczory, gdy za oknami, wymarzłymi w lodowe kwiaty, dzwoniły wzdłuż ulicy Zimorowicza saneczki, a w pierwszym pokoju syczał żółty, pękaty samowar, ja zaś siedziałam obok pana Franciszka na zielonej sofie pod lustrem i słuchałam. Tatko rysował zwykle przy jasnej lampie, Mama haftowała krzyżykami - ja zaś brnęłam z Tepą w świecącym, miałkim piasku po kostki i byłam coraz bliżej wielkiego Sfinksa...

Dziwnie dobrze, po malarsku opowiadał. Cieszyło go pewno, że go ktoś jeszcze choć tak mały, słucha. Zaglądaliśmy razem w twarz obalonemu posągowi Ramzesa w jakiejś arabskiej wioszczynie, dławiło mnie gorąco ciosanego korytarza piramidy, czułam jedwabny powiew

nietoperzych skrzydeł u powały, bolały mnie ramiona od chwytów Araba przewodnika, windującego nas na szczyt... Razem z Tepą siedziałam na= koniec w uchu Ramzesowego kolosa w Abu-Simbel i dzwoniłam nogami nad piaszczystą zboczą, sypiącą się miałkim złotem ku Nilowi. Ale przedewszystkim, razem z panem Franciszkiem, współczującym sercem przysz= łego zbieracza, przeżywałam pokusę ułamania pewnej wąskiej, omotanej pasmami płótna rączki dziewczęcej i zabrania jej ze sobą, daleko na północ, na pamiątkę, na dowód że się nie śniło...

Kilka razy musiał mi pan Tepa opowiadać, jak to było... Jakieś właśnie rozkopane podziemia, pokazywane za wielką protekcją wielkie= mu magnatowi i jego świcie - smukła mumia młodej księżniczki, z któ= rejś zamierzchłej dynastii - cyfra porządkowa obojętna była i Tepie i mnie... Natomiast rączka, zdobna zielonym pierścieniem, wąska, o dłu= gich paluszkach, drobna i niepokojąco cienka w kostce, rozpowita już cokolwiek z pasemek - fascynowała nas oboje..." Tylko nieco przy= zostać w tyle, gdy wszyscy pójdą przodem ku wyjściu..." Myślę, że dziś bym już tego nie odczuła, ale wtedy każdym razem oddychałam z rozkoszną ulgą, gdy przychodził moment w opowieści, kiedy pod palca- mi malarza chrupnęło coś, jak sucha gałąź. Potem jeszcze chwila emocji, gdy pasma lniane nie chciały puścić łupu i trzeba je było po ciemku, szybko, przeciąć scyzorykiem...

Rączka egipskiej księżniczki, znajoma mi dobrze z ubogiej pracowni - lodowni raczej! - pana Franciszka (wchodziło się tam wprost z bramy po paru schodkach, w drzwi lewe na parterze, przy ul. Sykstuskiej) leży teraz w gablocie zbiorów Ossolineum i każdy ją może oglądać, razem z zielonym pierścieniem i mumią kota obok.

Nieraz też powtarzać musiał pan Tepa swą niefortunną przygo= dę z hrabią i krokodylem. Kąpali się razem w Nilu z Potockim i po= nieważ Arabowie napomykali, że w tym miejscu, u skalistego wybrzeża Koroska, nie trudno o krokodyla, przyszedł malarzykowi niemądry koncept zabawienia się w tę przykrą reptylię. Nawiasem mówiąc miał Tepa prześliczne ręce o długich, twardych paznokciach, które nawet w starości i biedzie starannie utrzymywał -- zupełnie portretowe ręce! Tymi tedy paznokciami obu rąk, dawszy poprzednio nurka, chwycił na= gle pod wodą, niby w szczęki jaszczura, nogę Potockiego. Potocki -zu= pełnie słusznie - nie tylko nogę wyrwał, ale z całej siły wierzgnął nią w kierunku napaści. Ugodził wszakże nie krokodyla w zęby, ale Tepę w piersi i to tak silnie, że biedak ciężko swą psotę odcierpiał.

Miałam ukochaną wielce, malutką wyżlicę kurlandzką, której było na imię Katula. Córkę Katuli, śliczną Nolkę, podarowałam pani Asz= pergerowej. Gdy z kolei Nolce wydarzyły się piękne psięta, pani Asz= pergerowa ofiarowała Tepie zachwycającą, biało-żółtą Kadurcię. To

była ostatnia pociecha jego biednego, kawalerskiego żywota. Kadurcia " bywała" razem z nim w znajomych domach, brał ją ze sobą do kawiarni Schneidra i cała dzielnica znała pieska i jego pana (noszącego czarny kapelusz z kresami i podczas demi-saison'u drapującego się w pled tabaczkowy z frendziami) . Wschodnim pono obyczajem Tepa nie wołał nigdy swej Kadurci po imieniu, ale gdy się za innymi pieskami, czy między dorożki zapędziła, krzyczał dziwnym, gardłowym głosem : Tulu! Tulu! Tulu!... Kochał tę psią odrobinę resztką czułości, ona zaś dzieliła się ze starym malarzem ciepłem swojego maleńkiego serduszka, grzejąc go dosłownie gdy zastygał w nieopalanej pracowni. Gdy go wreszcie, dosyć przypóźno, zabrano do szpitala, aby się zagrzał przed śmiercią, nie było sposobu rozłączyć psiny z malarzem, ani malarza z psiną. Dopiero gdy umarł, ustąpiła Kadurcia z piersi swego pana, na której leżała zwinięta w kłębuszek. Potem u zacnej pani Aszpergerowej, pieszczona i szanowana, dokonała kosmatego żywota, dużo pewno szczęśliwiej od swego biednego pana.

Pogrzeb Tepy wypadł w zadymkę diablą ! Na wydruchu, koło głównego szpitala, głowy urywało tym kilku wiernym, którzyśmy poszli za jego trumną. Tatko szedł z panią Aszpergerową, ja, omotana szalikami jak cebula, dreptałam u łokcia starego Henryka Skarbka, podowczas prezesa Koła lit. art. czy Twa. Sztuk Pięknych.. Myślę, że jeśli dusza egipskiej księżniczki miała jaką urazę do Tepy, to gdy w tym momencie, przeważywszy na szalkach ozyrysowej sprawiedliwości jego biedną, przemarzłą dolę, porównała ją ze swoją - machnęła niechybnie jedyną ręczką i odpuściła polskiemu malarzynie !

X

X X

Kamienica przy ulicy Sykstuskiej, w której zamieszkaliśmy, należała do żydów Horowitzów. Z galerii naszego drugiego piętra widziałam nieraz na ganku poniżej, służącą gospodarzy, niosącą na srebrnej tacy śniadanie z kuchni, na której obok masła i pieczywa, leżały stosy czosnku i cebulek z długimi, zielonymi ogonami. Córka, czy wnuczka naszego gospodarza, której sama jeszcze pamiętam w jedwabnym hałacie, wyszła później za adwokata, a potem posła Natana Loewensteina.

Służyła u nas wowczas Józia, ta, która pozowała Chmielowskiemu do jakiejś świętej i sama widocznie wyjątkowo zaufania godna, bo wolno mi z nią było chodzić czasem, gdy ulicą "Majerowską (dziś Trzeciego Maja) szła po mleko do " kowalki" Rudolfowej, lub do greislerei Joanny Schlarb, naprzeciw naszej bramy i frontowych okien. Szyld tej Joanny, przyjemnej szwabki o blond warkoczach ,utkwił mi na zawsze w pamięci ponieważ na jego ogromnych oś

biało na czarnym lakierowanych literach uczyłam się czytać. Tam też chadzałam czasem z Józią, aby sobie zmienić cztery drobne centy na duże, nowe czterocentowe miedziaki, które lśniły wspaniale i za które można było kupić w cukierni ciastko z kremem, wielkie, jak złożona we czworo serwetka. Były tam też rocks-dropsy kwaskowate w szklannych słojach, kręcone laski osianego cukru miętowki, cukier lodowaty w kryształach na szpagacie i " lodesy", obrzydliwe, krochmalne tabliczki, które się - niewiedzieć dlaczego - lubiło... Ówczesną ulicę Majerowską tworzyły od strony Jezuickiego Ogrodu dwa szeregi naprzeciw siebie stojących dworków z ogródkami od frontu. Na miejscu gdzieś gdziś Gmach Uniwersytetu, nie było jeszcze nawet późniejszych znacznie łazienek Diany. Jedynie ujście ulicy, dziś Trzeciego Maja, ku Jagiellońskiej, zalegało kilka wielkich kamienic. Tą tedy ulicą dreptałam niejednego wiosennego ranka z Józią na ciepłe mleko do " kowalki". W ogródku, który się mijało, przed cofniętym w głąb dworkiem, w którym przez pewien czas mieszkała pani Feia Skolimowska, pamiętam na kopczyku, osnutym bluszczem, omszały posążek Awora.. Józia tłumaczyła mi, że to jest taka biedna sierotka wygnana przez macochę i skamieniała...

Józia tą dała mi też pośrednio pierwsze pojęcie o znikomości spraw ludzkich...

Był maj, w kuchni u Józi na oknie stał w słoiku bez, w którym wyszukiwałam pięciolistne kwiatki. Miała go zawsze całymi wiechami. Przymawiałam się nieraz o ten bez i marzyłam, aby go sarej móc łamać. Raz, w jakieś niedzielne popołudnie, pozwolono Józi wziąć mnie ze sobą do jej przyjaciółki, która miała ogrod z tymi bzami, i córeczkę w moim wieku, Wincusię. Po drodze opowiedziała mi Józia, że Wincusia jest jedynaczką, prawie tak jak ja, tylko jej rodzice są bogaci. Te słowa dobrze zapamiętałam, bo mi Józia wytłumaczyła, że " bogaci" to są tacy ludzie, którzy nie muszą mieszkać w kamienicy, tylko w swoim domku i mają ogród, do którego nikomu obcemu nie wolno wchodzić. Ja tylko dlatego tam idę, bo mama Wincusi jest Józi przyjaciółką. Opowiadała mi, że wszystko to będzie kiedyś Wincusi, gdy dorośnie.

Ogromnie byłam przejęta niezwykłością losu tej dziewczynki. Domek, do którego-śmy szły, stał gdzieś w okolicy górnej Sykstuskiej, parterowy, jak niemal wszystkie tam wtedy, ze sztachetkami od ulicy, przez które z daleka już zobaczyłam bez.

Wincusia zawiodła moje oczekiwania. Miała czarny, ceratowy fartuszek i wyszarzałe trzewiczki. Matka, w chustce na głowie, jakaś zapewne stolarzowa czy inna majstrowa, siedziała na trawie przy rabatkach i wstała na nasze powitanie. Częstowała nas potem kawą, której mi Józia pić nie dała, musiałam poprzestać na garnuszku mleka i preclach.

Przesadna moja wyobraźnia została ostudzona dotkliwie, bom już sobie namotała całkiem inne rzeczy, gwoli tego " bogactwa". Myślałam że zastanę wspaniałości, złociste i haftowane stroje i takie wysokie, długie okna, jak w obrazkach do bajek... Pomimo zawodu przejęta byłam jednak świadomością, że domek i bzy i narcyzy i serduszka wiszące z białą kroplą u nosa nad grzędką i sztachety i wszystko w pokojach będzie kiedyś Wincusi, tej samej, z mysim ogonkiem... Obdarzona ogromnym pękiem bzu, wróciłam ucieszona, że Wincusia przyjdzie kiedyś także i do mnie. Nie przyszła jednak...

Jakoś niezbyt długo potem, już były liście na drzewach gęste, zobaczyłam Józię rzewnie płaczącą. Opowiedziała mi szlochając, że Wincusia umarła a matka " mało nie oszaleje z żalu ". Mówiła, że pogrzeb będzie " śliczny" i może mi rodzice pozwolą zobaczyć. Struchlałam ! Więc to tak ?! Tak niedawno jeszcze była - i już jej nie będzie ?! Wincusia, która tyle, tyle miała na własność, teraz umarła i leżeć musi w trumience, jak Joczka ! Ale Joczka nie była bogata, mieszkała w kamienicy, nie miała ogródka do którego nikomu wchodzić nie wolno... I cóż się teraz stanie z tym wszystkim ?! I matka, która " szaleje" z żalu... Ginęłam z ciekawości, jak się z żalu szaleje...

Koniecznie się naparłam na ten pogrzeb. Wincusia umarła na zapalenie płuc, więc nie było obawy, abym się jakąś biedą zaraziła, i poszłam z Józią. Było to może pierwsze, tak głębokie wstrząśnięcie, jakiego doznałam... Miałam już szósty rok zaczęty i bardzo przytomnie próbowałam myśleć... Strasznie byłam zniechęcona. Doskonale pamiętam refleksję, że właściwie nie warto cieszyć się niczym skoro to tak...

Józia do wnętrza domku mnie nie wpuściła, przez otwarte okna słychać było jednak, jak matka Wincusi krzyczy. Okropne to było ! Tłum wszakże cisnący się do sztachetek i otaczający błękitną, wynoszoną trumienkę imponował mi. Nawet po śmierci Wincusia górowała nad innymi dziećmi, tym choćby, że umarła. Widziałam, jak wyciągają szyjki, żeby dojrzeć trumienkę i krzyczącą matkę. Nie miałam wątpliwości, że tak krzyczy bo kochała Wincusię bardziej, niż Mama Joczkę.. I to się nazywa, że " matka szaleje..." Patrzyłam i nie budziło to we mnie współczucia bynajmniej. Było takie brzydkie i dla oczu i dla uszu.. Cóż Wincusi po tym ? Co jej po ogrodzie, domu, bzach, które " były" jej własne ?

Od tego czasu w historiach moich bajanych za sprawę haczka, jawiły się bogate, umierające dzieci i moc akcesoriów wspaniałych, które mnie nic nie kosztowały, a jakimi chciałam sobie wynagrodzić zawód doznany wobec żywej Wincusi i jej matki, siedzącej w chustce na głowie koło grzędek. Mnie samej nigdy nie było w tych bajaniach. Zostawałam zawsze na brzegu, byłam widzem i słuchaczem. Coraz bardziej zagospodarowywałam się w tej dziedzinie fantazji, powoli stawała mi się jakgdyby drugim światem i sprawiała, że miała życie rozdzielone na dwie połowy - jedną rzeczywistą, szarą, drugą -

urojoną, pełną barw i wspaniałości...

Nie rozumiem zupełnie czemu nie zwariowałam, lub nie zdziwaczałam doszczętnie, bo dziś nie ulega dla mnie wątpliwości, żem połowę dzieciństwa i młodości spędziła w hipnotycznym transie, na marnotrawstwie nerwów szalonym i bezpożytecznym. Przychodziło mi zbyt łatwo więc nie ~~xxxxxx~~ chciało mi się tego spisywać, siedziało w pamięci płytko jak sny i przepadało bez śladu. Ja sama tylko miałam użycie z niczym nieporównane, użycie i wyżycie się w dziejach zmyślonych, ciekawych, malowniczych, w których roiło się od twarzy, postaci, o imionach i losach narzucanych mej wyobraźni jakby obcą siłą. Losy tych istot i mowa zdawały się nie bardzo zależeć nawet od stopnia mego rozwoju, gdyż dobrze pamiętam, że się zdarzały wypadki w tym świecie i słowa, które były dla mnie niezrozumiałe. Zupełnie tak jakby się dziecko dorwało jakiejś książki o treści zawczesnej.

Rychło zarzuciłam zwyczaj gadania na głos tego, co haczyk przywabił. Potem kryłam się z tym cudactwem coraz skrzętniej, podczas gdy samo narzędzie czaru ustaliło swój kształt ostateczny. Był to drążek z leszczyny, prosty, długi na 22 cm. nieostrugany ze śliskiej kory, do którego przymocowywałam mocną nicią żyłnek sztywnego, białego papieru, szeroki na półtrzecia centymetra, ścięty, jak haczyk węziej ku końcowi i jak haczyk w połowie zagięty. Grubość drążka nie była też obojętna. Był nieco tęższy, niż salonowe świece do kandelabra. Ileż tak wiele moich kręcideł w życiu wytępił, że po wielu latach potrafił sporządzić dla żartu idealne, doskonałe, które jedno zachowało się w perepelnickim kantorku. Moje własne, ostatnie, oddałam już jako narzeczona Wacikowi, gdy powiadomiony o tym dziwie i słusznie o moje zmysły przerażony wziął odemnie słowo, że nigdy w życiu nie tknę już więcej zaczarowanej pałeczki. Dotrzymałam - i już trzydziesty piąty rok minął odkąd złożyłam berło mojej młodości. Żal mi było za nim długo i przeszłam coś podobnego do choroby palaczy, co się wyrzekli narkotyku. Na pociechę zaczęłam wtedy więcej pisać, bo poprzednio z chwilą, gdym z ręki puściła mój drążek, ustawał doraźnie ów tajemniczy prąd, zostawał tylko zawrót głowy i silne drętwienie całego prawego ramienia. Wtedy stawały się normalne i dorzeczne odrazu, zawiste jedynie od przyczyn rzeczywistych rozebrane z tysiąca kostiumów, które przed chwilą miałam na zawołanie. Ale i teraz, po tylu latach, wiem z całą pewnością, że dość by mi było ścisnąć na nowo "Kręcidło", aby stare czarodziejstwo napłynęło mi do głowy z powrotem.

W r. 1878 pojechaliśmy na wakacje do Żurawna. ~~Widziciełkę~~ miejscowa pani Ewelina z ~~Sieriebrowskich~~ (Dorzyńskich) (Siemianowskich)

(I-o voto) Tadeuszowa Żebrowska, II-o voto Tadeuszowa Chajęcka, prababka Ks. Kazimierzowej Czartoryskiej.

Gdy ja miałam rok szósty, ona była starą zbyt pomarszczoną, jak włoski orzech. Drugi jej mąż - jak się dowiedziałam później -- nie miał jeszcze wówczas lat trzydziestu ! Był wszakże niezwykle tuszy i wcale tak młodo nie wyglądał. W pałacu, prócz tych dwóch głównych osób, przebywało stale kilka młodych panien - wnuczki pani domu, panny Skrzyńskie z Włodzimierzec, Anna i Wanda i siostrzenica pana Chajęckiego, panna Maria Taborska. Siostra mojej babki, ciocia Terenia bar. Wentz zu Niederlahnstein, znakomita w swoim czasie nauczycielka i wychowawczyni, długoletnia właścicielka i kierowniczka Zakładu wychowawczego dla panien we Lwowie, pierwszej polskiej pensji tej miary i zasługi w naszym mieście -- po zwinięciu tejże pensji, kształciła kolejno szereg uczennic jak : Klaudia Czaykowska z Kniahynicz, Aleksandra Dzieduszycka z Izydorówki, a obecnie panny Skrzyńskie i pannę Taborską. Ojciec mój przyjaźnił się zdawna z panem Chajęckim i dzięki temu stosunkowi ciocia Terenia objęła naukę w Żurawnie, a my, przez oboje gospodarstwo, zostaliśmy zaproszeni na wakacje. Dla pani Chajęckiej miała mama specjalny pietyzm, jako dla powinowatej Grottgera, w której domu bywał tu jeszcze wyrostkiem i od której pierwszego męża wiele doznał przyjaźni.

Cudowne były te żurawieńskie wakacje ! Pomimo rozdwojonego mego istnienia, straciło mi wrażliwości dla świetów moich obu. Przejmowała się wszystkim namiętnie, umiałam się cieszyć szalenie i zamartwiać na umor, zachwycać się i złościć, po wskutek zdenerwowania nieuniknionego przy fantastycznym nałogu, przesadzałam we wszystkim do nierozumności. Właściwe przyczyny i rozmiary tych przeżyć pozostawały prawie zawsze głęboko we mnie zatajone, tak że wybuchy jawne, które mi się zdarzały, radosne czy desperackie, wprawiać mogły w słuszne zdumienie moich najbliższych. Mimo miłości ku nim, rosnącej razem ze mną, żyłam wewnętrznie w całkowitej samotności, jakby w drugim pokoju, z którego wychodzi się wprawdzie, ale " mieszka się" tylko w nim.

Dawny, przebudowany następnie z gruntu pałac w Żurawnie, był wówczas dużym, piętrowym dworem, o dwu tarasach, z podjazdem opartym na filarach, którego ładną akwarelę zostawił Ojciec w swej żurawieńskiej tece. Pałac otaczał pięknie utrzymany ogród, którego brzeżem płynął Dniestr. Pamiętam na tym pobrzeżu altankę chińską, o dziobatych narożnikach, wyklejoną wewnątrz papierem w figurki z parasolami, dziwaczne rośliny i smoki, pod których ścianami w głębi stały męskie kanapki, obite malinową materią. Dziś - jak słyszę - śladu po niej nie ma nawet w pamięci obecnych właścicieli Żu-

rawna. Opodal pagody, również nad Dniestrem, wznosiła się kamienna kolumna z popiersiem króla Jana z wieńcem laurowym na czole. Znikła już pewnie również, zanotowana na szczęście w tece Tatkowej, podobnie jak krzesło Sobieskiego, odrysowane w żurawieńskiej zakrystji.

Poprzez cieniste zakamarki i aleje szło się do wielkiej woljery z dzikim ptactwem. Stała w cieniu starych drzew, zionąca z daleka zgnilizną. Siedziały w niej kawie i jastrząb, najwyżej i najciszej ciemniał majestatyczny orzeł skalny. W osobnej przegrodzie na dole migał pomarańczowymi ślepiami zaspany puhacz.

Niestety z powodu Dniestru nie było mi wolno chodzić samej po ogrodzie i tylko część słoneczna, między pałacem a oficyną - wcale zresztą niepoślednia i pełna kwiatów - była mi wyznaczona jako mój rewir. Pasterką moją była Ewcia, córka ogrodnika, znająca wszystkie kwiaty po imieniu. Do dziś zachowałam w pamięci woń żółtych, japońskich różyczek, których girlandy wiły się wokół słupków podjazdu.

Tu, na głównym gospodarskim szlaku, miałam sposobność stykania się z Busią, jak za przykładem domowych panien nazywałam panią Chajęcką. Stara dama wyglądała zawsze jak sztych kolorowy z dziennika zamierzchłych mód. Zwłaszcza rano, gdy kładła kapotkę z kwiecistego batystu, głęboką i okrągłą jak tunel, wiązaną pod brodą, jeszcze i teraz, z dawnego nawyku, chroniącą zgrzybiałą twarz przed opaleniem. Na ramionach nosiła Busia szal kolorowy i kilka rzędów dużych pereł, na zawsze odkrytej, pomarszczonej szyi. Staruszka bardzo była na mnie łaskawa i brała mnie nieraz ze sobą do chlewów, urządzonych z niebywałym staraniem. Miała bowiem osobliwsze upodobanie w świnkach, doprowadzone z wiekiem do dziwactwa. Trzeba było w końcu forteli, za pomocą których pan Chajęcki w zmowie z ekonomem, pozbywał się zbytniej załogi w chlewikach. Świnki istotnie były utrzymane jak cacka, żartowano sobie, że każda miała osobną szczoteczkę do zębów, a wskutek wieści zaczytanej w jakimś postępowym podręczniku, jakoby kolor fiołkowy wpływał dodatnio na świńskie nerwy i tuszę, zaraz dostały Busine fioletowe szyby w okienkach. Zdarzyło się raz, że w czasie codziennej wizytacji u świnek, pękł jeden ze sznurów pereł pani Chajęckiej i drogocenne kulki posypały się między prosięta. Istna ilustracjia ewangelicznej przypowieści, z której sporo było dworowania w pałacu.

Mieszkałam nie z rodzicami, ale przy cioci Tereni, w apartamentach panien. Przepadałam za nimi, ponieważ były ładne. Hanka Skrzyńska (późniejsza Kazimierzowa Winnicka z Turad) bawiła się ze mną wesoło, jak rówiesnica. Najlepsza była zabawa w powożenie, gdy Hanka, duża i dorosła, biegła przez słoneczną amfiladę naszych po=

kołkow, a ja za nią, trzymając końce jej ogromnych, złotych warkoczów, uradowana, że takie długie jak lejce.

Panna Taborska - późniejsza Sroczyńska - krucza brunetka, nosiła w osy obcięte niżej karku, humor miała kapryśny, a gust w ubieraniu trochę cygański, jak jej uroda. Do zabawy ze mną się nie nadawała ale ją zawsze wciągała w moje bajania, przebierała w suknie z bajki i długo, czarnowłosa istota z mojego drugiego świata, miała smagłą hardą twarz, krótkie loki i posępne, czarne oczy panny Taborskiej. To pewne, że jej prawdziwa biografia nie była ani trochę podobna do zmiennych losów jakie przeżywała w moim zarządzie. Gdy sobie dziś przypomnę ten niedostępny strumień fantazji i widzeń, jaki mi towarzyszył niemal stale, aż do wyjścia zaraz, mogę go porównać jedynie do nie mającego ani początku ani końca, kolorowego, zawrotnie płynnego filmu nieznanego wówczas jeszcze kina.

W Żurawnie chodziło się w pogodę do kąpieli. Szłyśry - same dary ! - do budki na zboczu ogrodu i kąpały się gromadnie. Szła razem Ewcia ogrodniczka, która mnie pilnowała ilekroć znajdowałam się poza domem, ona też opiekowała się mną w kąpieli. Czasem nie było to łatwe. Dniestr płynął bystro i trzeba było dobrze uważać, żeby nie wpaść w nim razem do Czarnego Morza. Wiedziałam o tym Czarnym Morzu i groza jego zatruwała mi kąpiel. Bałam się tej czarności nieznanej szalenie i tymbardziej nie chciałam się utopić. Wyobrażam sobie, że i tamte panie, wszystkie z Marią na czele, nie z miały ze mną kłopot bom była strasznie żywa. Mimo trwogi, rada jednak chadzałam razem.

Poważny i naturalny sposób w jaki rodzice odnosili się przy mnie do dzieł sztuki, antyków i innych xxxxxxxxxxxxx mitologii, uczynił, że bez nijakiego ambarasu umiałam widzieć wszelką piękność w rzeźbie, obrazie, czy Dniestrze... Hanka Skrzyńska, biało-złota i smukła jak boginka, była w mokrych draperiach kąpielowej białej koszuli takim spłoszonym cudem, że zagapiona w jej ruchy i słońce na xxxxxxxx ogromnych, jasnych włosach, ani mi przez głowę nie przeszło, że jest to poprostu młoda, nieubrana panna. Wcześniej od historii naturalnej znałam bajkę Andersena o " Wodnicy "a jedną z najwcześniejszych bajek, jakich słuchałam była Iliada, poznana dzięki streszczeniom Tatarkiewicza, a potem Odysseja, opowiadana mi przez ciocię Terenię. Miałam najwyżej sześć lat, gdym rysowała homeryckie ilustracje. Jeden taki utwór przedstawiający szlachetnego Eumeja, stojącego przed Penelopą i chowającego za siebie z żenadą patyk - symbol jakoby jego niskiego stanowiska - znalazłam niedawno pośród zewnętrznych jeszcze przez Ojca, moich najdawniejszych smarowideł.

Podczas kąpieli w Dniestrze podniecał mnie też wielce widok nadbrzeżnej widnej z tego miejsca łączki za rzeką, na której rosły okazałe drzewa, a do której przywarło wspomnienie królewskiego obozu

i podpisanego tam ongiś żurawieńskiego pokoju z Turkami. Zawsze bo=
wiem i na każdym miejscu dźwięczały mi w uszach budzicielskie słowa
Mamy, Cioci Tereni, czy Tatka, padające na świeżą, czystą kliszę ma=
leńkiego mózgu, który je chwytał i brał na tajemniczy warsztat wyo=
brażni.

Naprzeciw naszej kąpielowej budki, również za rzeką, widać
było wzgórze Bakocynu, ~~któr~~ w którego wnętrzu spały jeszcze bezpiecz=
nie pokłady żurawieńskiego alabastru.

Po deszczu Dniestr bywał mętny i jeszcze szybciej rwący. Niósł
wtedy na sobie warstwy tpocin z jakiegoś odległego tartaku, niby tar=
tą bułkę i tworzące się na wodzie, także do bułek podobne, okrągłe
kłębki żółtawej piany. Mama i panny kąpały się mimo bułek, ja siedzia=
łam na brzegu i dziwiłam się, że chcą.

Wnętrze pałacu było znowu kopalnią wrażeń innego rodzaju.
Wszystkie frontowe pokoje zostały mi w oczach dziwnie ogromne. Przez
salon szłam i szłam i przestrzeń między dwiema jego serwantkami,
wydawała mi się wycieczką. W jednej z tych ~~xxxxxxxx~~ szafek, oprócz
filiżanek, porcelanowych, ażurowych koszyków, kryształów i zielonawych
kieliszków, mnożących się zawrotnie w jeszcze zieleńszej, zwierciadla-
nej głębi -- znajdowała się kolekcja muszel, koników morskich, gałą=
zek korala --a nade wszystko "morski szatan", nieduży, o krągło roz=
dziawionej, suchej paszczy. Ten szatan w równej mierze przerażał mnie
jak pociągał. Musiałam koniecznie na niego patrzeć i nieraz sama za=
dawałam sobie próbę, czy potrafię minąć go i nie spojrzeć? Rzadko kie=
dy się udawało. Koniki morskie także były niepokojące. Okropnie ba=
łam się, aby się który nagle nie skurczył lub nie wyprostował. O wiele
bardziej działały na mnie straszydła, niż samowita białość malowanych
imbryków i śliczne bukiety na porcelanowych paterach.

Żurawieński salon musiał być istotnie ogromny, bo się w nim
mieściły dwa okazałe garnitury mebli z kanapami, fotelami i gromadą
krzeseł, wokoło stołów. Jeden garnitur miał obicie szmaragdowe zie=
lone, drugi płowo złociste. Fortepian, konsole z lustrami pod sufit,
owe dwie serwantki, których górnych pięter nigdy dojrzeć nie mogłam
i jeszcze w nim było tyle błyszczącej posadzki ! Meble, jak to dziś
mogę osądzić nie były zbyt piękne. Trojgarbne kanapy drugiego ce=
sarstwa, z których na domiar jedna, ta złociście płowa, miała zu=
pełnie cynicznie rozprute wnętrzności, w których głębi zawsze coś
się ruszało i trzęsło. Pani Chajęcka, lubująca się widocznie w pew=
nym typie stowrzeń, chowała całą familję gołych piesków, które ~~xxxx~~
cały boże dzień drżały, jak galareta, miały stroszkane, pomarszczone
twarzyczki jakichś pokutujących widziadeł, na głowach wichrzył się
im kłaczek białego czubka, jakby strachem podwiewanego w górę. Sko=
ra tych istotek była różowa, jak na wędlinie i stale wstrząsana dre=

szczem. Szczurzy ogon, zawsze podkulony ogonek, nóżki stępające ze wstrętem po zimnej podłodze - słowem istni potępieńcy, których socie= ty wszakże serce starej damy potrzebowało widocznie. Dość, że wnętrz= ności złoto-płowej kanapy pełne były stale tych gości nieszczęsnych mających tu prawo obywatelstwa i gniazda rodzinne. Biada gosciowi któremu o zmierzchu usiąść był przypadkiem na tej kanapie ! Nastę= pował w buch utajonej gorliwy, z kłaków i sprężyn wysypywały się rozzłoszczone straszydła i gryzły bez pardonu ! Przyrodnicze zain= teresowania staruszki nie kończyły się wszakże na gołych pieskach i świn= kach ! Na terasie, od strony parku, stała wielka kopulasta klatka z papugą.. Jaskrawa Ara, jakoś zadławiona własnym, grubym językiem, ciągle coś majstrowała w artretycznych łap, kiplała jakąś - raz na zawsze gotową - pasją. Takie stworzenie złe i cierpiące, którego obłąkane wrzaski niosły się daleko w ogród.

Bardzo dużo muzykowało się w Żurawnie. Pani Chajęcka prze= padała za Mamy śpiewem, bywała więc muzyka w kościele. Mama z Panią Michałową Dzieduszycką, najstarszą z trzech wnuczek Busi, śpiewała na chórze podczas sumy duety, - wieczorami po kolacji znowu śpiewa= nie. Przyjeżdżał Leopold Starzeński, nieoceniony pono towarzysz, autor patriotycznych dramatów wierszem, jak " Gwiazdy Syberu" i " Czaple pióro", poza tym doskonały danser, deklamator i muzyk ; zja= wiał się przyjemnie śpiewający " Miśko" Sozański przebywała często córka pani Chajęckiej, a matka pani Dzieduszyckiej i panien, pani Ludwikowa Skrzyńska z Włodzimierzach. Domownikiem niemal był rezydu= jący w Żurawnie-miasteczku nadworny lekarz PP. Chajęckich, dr. Rudnic= ki. Portrety wszystkich tych osób znajdują się w żurawieńskiej tece Ojcowej.

Śnią mi się z tego lata wycieczki na połów ryb i raków w Barbacynie, ale cios mojego sezonu stanowił udział w procesji Bożego Ciała. Ubrana w niebieską sukienkę i wianuszek z mirtu, przewijany stokrotkami, sypałam kwiatki przed Przenajświętszym Sakramentem. Obok jak dwie drużki, szły biało ubrane córeczki sędziostwa Hajwa= nowiczów, a dworskie dziewczęta trzymające się w pobliżu, dosypywały nam wciąż kolorowych płatków w koszyczki. Procesja ta, widok błysz= czącej w słońcu monstrancji, żółty baldachim i zalaf= towany w figurki ornat proboszcza, chorągwie, wianki na głowach dziew= cząt niosących ołtarzyki i własny udział w tym pochodzie, wszystko to dokonało przełomu w moim wnętrzu. Porwały mnie - że tak powiem - motywy duchowne i zaświatowe. Treść moich bajań roiła się od świętych, tłoczyła od chorągwi, ołtarzyków, kaplic, krzyżów, a tematy rysunkowe czerpałam odtąd także z dziedziny religijnej, z niejakim tylko uwzględnieniem królów, królowych i królewien... Pro=

cesje. Msze, jakieś apoteozy, tajemnicze obrzędy, pełne aniołów i dziewczynek w wiankach, urozmaicone tylko czasem motywem świeckim jak państwo młodzi lub (pewnie wspomnienie Joczki..) umarłymi dziećmi, leżącymi płasko na uroczystych posłaniach... Karteluszki z tymi kompozycjami znalazłam pochowane w kartkach kalendarza z owego zamierzchłego roku. Na jednej z nich jest dopisek Tatka, na drugiej Mamy. Rada powitałam te ołówkowe dokumenty, świadectwa współczesne, dowodzące, że nie zmyślam, wiarygodne ślady tego narwaństwa, które brało początek z " kręcidła".

" dzień św Zuzanny odbył się ku czci pani Skrzyńskiej bal dla jej córek. Napatrzyłam się postrojonych pań i panien i od tego wieczora, ilekroć czytała mi Ciocia bajkę z " Tysiąca i jednej nocy " o latającym dywanie, zawsze kojarzyła mi się ta jazda ze wspomnieniem popielatego ogona sukni pani Dzieduszyckiej, na którym po śliskiej posadzce obwoziła mnie ze sobą wokół znajomego salonu. Obniesiona na rękach pana Chajęckiego, obejrzałam wspaniale nakryty stół, pełen kwiatów, etażer, owoców, tortów srebra i kryształów i tego wieczora zobaczyłam -naprawdę pierwszy raz w życiu -wielką urodę Mamy. Oswojenie, codzienność, roztrzepanie sprawiło, żem dopiero wtedy, widząc Mamę w sukni wyciętej z lekko przypudrowanymi włosami, w których różowiły się białe, płaskie muszle, całą w jasno popielatym jedwabiu, podkreślonym gdzie-nie-gdzie smużką różowego aksamitu, stanęłam, jak urzeczona. Mama miała wówczas lat 28 i była niewiarygodnie cudowna ! Mimo woli porównywałam inne twarze kobiece z nią i wracałam do niej jak do zjawiska.

A były na tym balu różne śliczne panie, oprócz domowych. Przyjechała pani Aniela z Wolskich Pawlikowska z Berezinicy Królewskiej, z matką i siostrami Heleną i Zosią. Panna Helena wolska była ubrana całkiem biało i miała u skroni z obu stron białe lilie. Brzmi to dziwacznie, ale miało być śliczne, a ona sama przepiękna. Tatko chciał ją koniecznie narysować do swej teki, ale pani Wolska nie pozwoliła, gdyż znajdowały się w tej samej tece portrety obcych panów... więc.. niewypadało!

Nim się bal zaczął położona spać, z głową pełną wrażeń i kolorów zasnęłam prędko a i potem, budziłam się często. Muzyka huczała, jak pół sny jawiły się przy mnie domowe panny, różowe od tańca, wpadające do naszych pokoików, stawiały koło mego łóżeczka talerzyki pełne białowych tortów i znikały znów.

Reszta lata minęła rodzicom jak jedna wycieczka przeciągła. Więc najpierw Daszawa u pani Felicji z Dobrzańskich Sozańskiej, towarzyszki lat dziecinnych Tatka -Daszawa gdzie się urodził. Szwagier pani Saulny z Pawlikowskich Felicsowej Dobrzańskiej

komornik Kremarski, prowadził tam ongis kancelarię, równającą się obecnie adwokackim i notarjalnym równocześnie. We własnym, osobnym dworku mieściło się mieszkanie i biura, których klientele stanowiła cała zielońska okolica. W kancelarii komornika Kremarskiego, pracował młody prawnik Ignacy Młodnicki, ożeniony z panną Karoliną Wiktorią Domaniecką, którą poznał w Bereźnicy u jej opiekunki, pani Dobrzańskiej. Tu, zanim dziadek, jako sędzia polityczny, objął samoistny posterunek, mieszkali szereg lat, tu urodziły się wszystkie ich dzieci : Edmund, Emilia, Karol i Aniela, - tu zmarła najmłodsza Sabinka, otruta przypadkowo jakimś płynem przeznaczonym do nacierania koni, a podanym dziecku przez roztrzepaną niańkę, zamiast dziecinnego lekarstwa. Stąd - brany na dno sań, jeździł Tatko z rodzicami na Besterkę do Żydaczowa i przymierał ze strachu przed dudnieniem wielkich organów, -tu stała serwantka Babki....ale o tym opowiem później.

Witał się Tatko z Daszawą i wzajem czule był witany.

" Lileczka wszędzie bardzo grzeczna " - notuje Mama w kalendarzu -- " i coraz to nowych zaskarbia sobie przyjaciół.."

Dziś ta sama Daszawa stała się jednym z centr i skarbców krajowego przemysłu.

Zatrzymali się potem rodzice w Stryju gdzie Tatko chodził do szkół, a stamtąd, najętym, jak Mama pisze " wcale porządnym powozem " podążyli do Kruszelnicy, w gościnę do bawiących tam na letnisku Władysławostwa Skólimowskich. Pierwszy raz znalazłam się wtedy na najdroższym mi na świecie szlaku. Doskonale dziś pamiętam, co czuć musiał Tatko na tej powrotnej pielgrzymce ku miejscom swej szczęśliwej młodości, które chciał Marie pokazać. Co czuł poznając z daleka granatowe kontury gór, oddychając znów tym niezapomnianym powietrzem, które po latach stać się miało i moim najrodzimszym... Tak kochał te góry, że aby jego tęsknocie dogodzić, a moje nadwerwane płuca ratować, ruszyły Babcie swój wenetowski kapitalik, który dał początek Storożce.

W Kruszelnicy w ogromnym drewnianym dworzyszczu Podhorodeckich - dziś już od lat nie istniejącym - zwieszonym nad dużą całej jednej połaci, gankiem nad Stryj, mieszkała oprócz państwa Władziów, pani Felicja z pannami Bronią i Anielką. Wszyscy pili tyce [illegible] ów środek sympatyczny swojej epoki, który - ile że znajdował się w górach - pomagał na płuca, okropna jakby nalewka na świeży serdaku, którą mnie zaraz nazajutrz poczęstowano. Pani Izabela Skólimowska, synowa Matki Dory, chroniczna do późnej starości suchotnica, była jedną z tych kobiet, które cały dzień chętnie zostają w szlafroku, są dobre, ale do niczego.. Z domu Jastrzębska, nie

miała w sobie ani śladu drapieżności, zawsze coś robiła, zapominała, zresztą kochająca i cierpiąca. Twarz jej o zapadniętych oczodołach, drobnym nosie, policzkowych kościach wydatnych i ustach wklęsłych a zaciśniętych, miała coś trupiego, co mnie, choć małą, przerażało. Troje ~~xxxxxx~~ jej dzieci : Janka najstarsza, Leonek faworyt matki i Walerka, kopciuszek, wciągnęli mnie w swoje zabawy i dobrze mi się działo w tej kompanii. Nic mi wszakże tak nie dogadzało w Kruszelnicy, jak konfidencja ze Stryjem, który płynął dosłownie popod samym domem. Dworzyszcze otaczała biegnąca dookoła weranda i zachwycający był obryw pod nią, zarosły malinami, wierzbami i kaliną, opadający stromo ku samej wodzie.

Tatko, z pannami Skólimowskiemi i Tadziem robił wycieczki w góry, reszta pań brała udział tylko w wyprawach wozami do Urycza i Skolego. Ja zostawałam w domu z panią Pelą i dziećmi, do których należała też mieszkająca w tym dworzyszczu z matką mała Zosia Dzieduszycka. Miała głowinę ostrzyżoną krótko przy skórze, gładziutką i nazywałam ją z tej racji : aksamitką. Była to dziewczynka chorowita, z nóżkami w żelaznych maszynkach, ale dziwnie miła. Wolałam ją od Janki Skólimowskiej, zawsze jakiejś posępnej i niepokojąco podobnej do matki i od Walci, młodszej i zanukanej przez brata-faworyta, Leonka. Trójkę tę dyniską nie wesołe czekały losy.

Gdy Janka była już dorosłą panną, Dyniska już się rozpadły na dobre. Uczyła się może najwięcej i najstaranniej, podczas gdy Walcia rosła przy niańce w piekarni. Miała ogromny talent do rzeźby. Specjalizowała się w zwierzętach, które modelowała z niezwykłą zręcznością, w świetnie obserwowanym ruchu, z pamięci. Chleb, wosk, - gliny zdaje się nie zaznała - były materiałem z którego ją lepiła. Ojciec tymczasem pił coraz gruntowniej, matka pielęgnowała swoje dziwnie długotrwałe suchoty, Leonek usiłował na stancjach lwowskich zgłębić gimnazjum - a w ~~xxxxxxxx~~ dyniskim parku coraz to które stare drzewo padało na opał i żyd Reiss coraz się stawał zuchwalszy. Nic dziwnego, że ponure oczy Janki robiły się jeszcze ~~xxxxxx~~ bardziej posępne. Oprócz rodziny i przyjaciela pana Władysława, Dra, Jaroszyńskiego, nikt prawie nie zaglądał pod cieknący i trzeszczący dach. Zamiast kształcić świetnie zdolną dziewczynę na artystkę, dać jej poznać świat lepszy i umieścić bodaj we Lwowie, trzymał ją ojciec na wsi, gdzie marniała i grążyła się w coraz beznadziejniejszej zapadni. Wreszcie, któregoś karnawału, postanowił ojciec wprowadzić ją w świat. Była na paru balach we Lwowie, ale posępna, zacięta jej maska raczej odstraszała niż pociągała danserów. Wypadła jakaś zabawa w okolicy, nie domowa ale jakiś piknik w miesteczku oczywiście ziemiański. Pani Izabela, jak zawsze kaszlała, pojechał więc ojciec z Janką sam. Panna nie miała ochoty, prosiła się, by zostać, nie pomogło - musiała. Na balu, dość niedługo po

)*

Odnosnik do str 35

Jedna z nich była zdolną " charakterystyczną"
za dyr.Horżycy we Lwowie w latach 1935-6

przybyciu,ojciec zdążył się upić w bufecie. Iluminowany -stawał się wymowniejszy,a tym samem groźny. Janka ginęła ze wstydu. Zaszedłszy za ojcem do bufetu chciała go namówić do domu,ale nie tylko ani słyszeć nie chciał,ale zobaczywszy córkę,począł ją zalecać zgromadzonym tam mężczyznom i namawiać,aby się jej dobrze przypatrzyli - bo warto. Uciekła i w garderobie,pośród futer i salop, odczekała pory w której wreszcie wyniesiono pana Władysława, już całkiem nieprzytomnego do sani. Wracali tak o mroźnym zaranku do Dynisk. Ojciec upity jak bela,dziewczyna w balowej sukni,z umyślnie odrzuconym futerm,z samobójczą rozpaczą w sercu. Półprzytomną,bez okrycia, zdjęto w domu z sani. Umarła w jakieś dziesięć dni potem na zapalenie płuc,mając w gorączce o tej strasznej balowej nocy. Dr. Jaroszyński ratował ją,jak mógł ale właściwie lepiej,że mu się nie udało.

Leonek po daremnych wysiłkach skończenia studiów koczował po różnych krajach,był nawet na Kaukazie przy nafcie,umarł jeszcze młodo,ożeniwszy się parę lat przed śmiercią. Żona jego była z domu Hoszowska. Zostawił dwie córeczki.

Walcia wyszła zamąż na pana Świeżawskiego i była nad wyraz wszelki nieszczęśliwa.

Oto pokrótce dzieje wnuków Matki Dory, które się ze mną bawiły w Kruszelnicy.

Ostatek lata spędziliśmy w Rożniatowie u wujostwa Maryańskich. Ciocia była mi znajoma już i kochałam ją bardzo. Dziś dopiero mogę osądzić jak wiele było między nami podobieństwa. Ta sama egzaltacja, ten sam głód wzniosłości, potrzeba wrażeń głębokich, kult pamiątek.. Tyle,że ciocia Aniela była lepsza,czulsza,miała większe serce na bliźniego odemnie. Ale mieszanina czujnego humoru z sentymentem, jawiąca się w nagłych przeskokach,jak u Tatka i u mnie - czyniła mi ją wcześnie bliską i zrozumiałą. Wuj był duży,zawsze zaśpieszony i zasapany,o głosie tubalnym,wysilał się widocznie by siać postrach między chłopcami,co w żaden sposób mu nie szło. Musiało się go kochać,choć krzyczał okropnie,sapał i groził. Trudno było o jaskrawszy kontrast jak między tymi dwojgiem. Ciocia subtelna,powiewna,bladawa,z dwojgiem smutno-bławatkowych,ogromnych oczu, mówiąc głosem zciszonym i ładnym, - wuj rweteśnik,rzucający lapidarne ukazy,trzaskający drzwiami,umiejący, -gdy żona zasnęła półżywa po migrenie -ryknąć jak panny żubr przez pokoje :

- Cicho chłopcy! Mama śpi! "

W tym Rożniatowie zaznałam pierwszej hustawki,asystowałam przy zielonym misterium kiszenia ogórków,pływałam tratwą po staw=

ku, poznałam smak pieczonej w popiele kukurudzy, widziałam z bliska pierwsze ule i zawarłam dożywotnie braterstwo z Walerkiem Maryańskim, trwające niezachwianie do dziś, czyli pół wieku z przyczynkiem. Niedobrani gruntownie z Adasiem, z tym bratem cioteczny zostaliśmy sobie przyjaciółmi od czasów pierwszej pieczonej w popiele kukurudzy, poprzez całą naszą wspólną młodość, wszystkie tomy "Trylogii", rycerską rusztrę, xxxxx w której następstwie dostałam od Walerka dyplom na rotmistrza i razem z nim w Mikołajowie budowałam pierwszą fortecę z grochowych tyk - aż do Wielkiej Wojny i przez wojnę po której generał Maryański, były szef sztabu Armii "Wschód", pod komendą generała broni Tadeusza Rozwadowskiego - wówczas dowódca D.O.K. we Lwowie, otrzymał zaszczytną misję - on, nikt inny - miał odprowadzić z Cmentarza Obrońców Lwowa trumnę z prochami Nieznanego Żołnierza na plac Saski w Warszawie.

W ciągu grudnia tego samego roku 1878, podczas ostatniej zimy spędzonej w mieszkaniu na Sykstuskiej, gdzie zapoczątkowane przez Mamę odbywały się moje dziecinne, cotygodniowe soboty - nadszedł wielce dworny, frankowski po francusku pisany list "Busi" Chajęckiej, zapraszający nas na święta Bożego Narodzenia do Żurawna.

Nie było już wtedy tak wesoło, jak w lecie. Pan Chajęcki niedomagał na płuca, panny Skrzyńskie spędzały Święta w domu - była tylko - oprócz gospodarstwa i nas - panna Taborska z ciocią Terenią. Pierwszy raz w życiu jechałam wtedy saniami po wysokim, puszystym śniegu, polem...

Poczciwy " Dziapciuś ", jak nazywałam pana Chajęckiego, kazał mi wystroić dla mnie drzewko prześliczne. Stało w salonie między dwoma garniturami, przyrocowane do żyrandola, z którego odjęto wszystkie wiszące kryształki i przytwierdzono do gałązek niby sople lodowe. W kątach jadalni ustawiono snopy zbóż a podłogę tak było zasypana ziarnem, że co moment ktoś się na nim ślizgał. Ale nie wolno było zamiatać aż nazajutrz. Po wilii i rozdaniu drzewku - z tupotem, bełkotem i brzękiem wtoczyła się do salonu gromada straszydeł, prowadzących coś kudłatego, co chwytało za suknie i nogi - Turonia! Górą zaś wyciągał żyrafią szyję okropny potwór-klapacz, niby bocian, niby koń, bo miało to dzióbo zębaty i płaskie drewniane nogi, niby olbrzymia kaczka, którymi wielki czyniło łoskot o podłogę. Przeraziłam się tej kompanii okropnie, choć na krótko, bo zaraz mnie uspokoił widok żywej, ludzkiej ręki, wysuniętej na moment z pod kudłów Tura. Cieszyłam się jednak gdy te cudaki podudniły w dół po schodach, klapiąc i pomrukując.

Raz jeszcze, następnych wakacji w czerwcu 1878 roku, byliśmy w Żurawnie. Z tego drugiego letniego pobytu, który tak mi się w pamięci miesza z pierwszym, że mi napewno trudno ustalić, co było kiedy - została mi w oczach Bereżnica, dokąd wybrali się rodzice z wizytą i mnie wzięli ze sobą. Tatka łączyła z Bereżnicą moc wspomnień, o których jeszcze wówczas nie wiedziałam -dość, że był tam jak xxxxxxxxxxxxxxx w domu i cieszył się każdym kątem. Byli tam wtedy rodzice pani Pawlikowskiej, państwo Wolscy ze Lwowa, rodzice panny Hali i Zosi, a były też i domowe dzieci. Dwie dziewczynki - starsza ode mnie Saba i rówieśna Sewa. Innych nie pamiętam. W jakiejś chwili postawiono mnie na stole i oglądano zamiska. Panie mnie całowały i głaskały, a jakiś pan powiedział: Ależ śliczna! " Miałam różową sukienkę z guziczkami białoróżowymi, jak cukierki i różową kokardę na czubku głowy. Nie raz mówiono przy mnie, żem ładna, nie raz na ulicy wpadały mi w ucho takie słowa, ale jakoś to przelatywało mimo...Teraz na tym stole, wydało mi się ważniejsze i bardziej uwagi godne. Na dłuższy czas zgłupiałam potem na swój temat i miałam wielką niewygodę z tą sprawą.

Drugą wycieczką z Żurawna była jazda do Przeżdzieckich, znajomych państwa Chajęckich mieszkających w okolicy Bakocyna. Pan Przeżdziecki bawił pono wiele lat w Turcji i miał w domu prawdziwego Turka w zawoju i hajdawerach, który usługiwał.

Jeździło się też co niedzieli na sumę do miasteczka, za czym przepadałam i ze względu na samo jechanie i na nabożeństwo, którego tajemniczość, estetyczna solenność, niezrozumiałość, niesiona falami organów przejmowała mnie zawsze nęcącą grozą.

W Żurawnie-miesteczku odbyło się też przedstawienie na dobroczynny cel, w którym brali udział oboje rodzice, panny domowe, pani Michałowa Dzieduszycka i przemiły " Miśko" Sozański,- pewnie i inne osoby, ale już nie pamiętam. Grano sztuczkę xxxxxxx La Biche'a " Uściskajmy się " w ładnych strojach rokoko. Panna Zaborska była idealną Bertą. Tatko Folivillem - zaś Leopold Starzeński napisał umyślnie jednaktówkę p.t. " Stała pogoda", w której świetną złośnicą była pani Michałowa Dzieduszycka. Naturalnie najprzyjemniejszym okresem był czas prób, które się odbywały na wielkiej galerii na pierwszym piętrze. Tylko Misia Sozańskiego, który nie miał cierpliwości kuć podczas lata i wizyty swojej roli, z niesłychaną cierpliwością wzięła w obroty ciocia Terenia, a panny przygotowały dla niego słój konfitur w nagrodę pilności. Pokonał w końcu i rolę i konfitury...

A potem skończyło się dawne Żurawno.

Pani Chajęcka przeżyła o tyle młodszego męża który umarł

niebawem... Odwiedzałam go z rodzicami, gdy już dogorywał na suchoty. Mieszkał wówczas w pałacyku Hanieckich przy placu Bernardyńskim i był zmieniony do niepoznania. Wspominany był w naszym domu dużo i serdecznie. Doskonałe jego podobizny są też w żurawieńskiej Tatkowej tece.

Ale wracam wstecz.

Mieszkamy przy ulicy Zimorowicza 12 -(potem zmieniono numer na 16 i tak już zostało.) Ciocia Terenia jest już z nami na stałe. Muszę z nią mówić po francuski i po niemiecku,co mnie oburza. Czytać i pisać po polsku nauczyła mnie Mama jeszcze na Sykstuskiej.

Przy naszym mieszkaniu na drugim piętrze jest długi,żelazny ganek,nie taki jak na Sykstuskiej,z poręczy którego drewnianych,wychełtanych dalaskow raz omal nie wypadłam na bruk. Wogóle tam zostały moje najszaleńsze lata... Tam, już wylatującą przez okno na widok zobaczonego na dole Tatka, chwyciła mnie na czas ciocia Mila Pawłowska,przy czym ona połamała paznokcie obu rąk,ja zaś rozdusiłam sobie niemiło żołądek na gzymsie... Tam,worek ostrzeżeniom, rozgryzłam cnyłkiem obcięty liść ~~xxxxxxxxxx~~ arunu, zwanego pospolicie " aronem",którego sok pali niczym kwas solny. Gdy mnie opętaną okropnym bolem i rozwrzeszczaną podniósł nadbiegły z drugiego pokoju Tatko,miała usta oparzone i spuchnięte tak,żem słowa wypisnąć nie mogła. Mamy nie było i Tatko widząc leżący obok liść,który pokazywałam,nie wierząc aby to mogło mieć związek z moim nieszczęściem,podniósł go do ust także. Nastąpił efekt podobny tylko bardziej opanowany. Gdy Mama wróciła z miasta zastała nas już dwie opiekujące karyatury...

Z ganku naszego widać było Wysoki Zamek, Batusz,całe miasto połyskujące o zachodzie tysiącem purpurowych szybek - słychać było wieczorem przenikliwy,dawno już umilkły dzwonek-sygnał na zapalenie latarni, - niósł się Anioł Pański z Katedry,a przedspacerem odzywał się z pobliskiej Cytadeli,ponad drzewa nieznajomego mi jeszcze wtedy Zaświecia, capstrzyk - nieporównany z niczym capstrzyk Haydna, coś związanego tak na zawsze z moim szczęśliwym dzieciństwem i młodością,że tego jednego po Austrii żal mi gorąco i za tym jednym po niej tęsknię...

Nie było jeszcze wysokich karienic dzisiejszego Lwowa.Z naszego ganku rozciągał się widok przestrzenny, daleki,aż do lasu za Pogatkami.

Właścicielami karienicy byli niejacy państwo Izdebscy, którzy oprócz tego trzymali " fiakry".Z naszego ganku widać było

jak na dłoni całe podwórze i xxxxxxxxxxx gospodarkę stajenną. Adaś cały dzień tkwił między żelaznymi prętami ganku i razem z rówieśnym Adasiem sąsiadów naszych PP. Grelińskich, kontemplował konie i końskie sprawy. Fiakry stanowiły dla całej kamienicy rodzaj czasomierza, dzięki któremu wiedziało się, kiedy pierwsza w południe, kiedy jedenasta w nocy i kiedy piąta. O tej porze cały dom trząsł się od huku wjeżdżających lub wyjeżdżających bramą powozów. Pamiętam rozkoszne uczucie rano, gdy wstrząs ten znajomy - śpiącą na wąskiej jesionowej kanapce - rozbudzał mnie na chwilę. Wiedziałam, że zaraz znowu zasnę i sprawdziwszy, że u kowala obok słychać już kucie (o 8-mio godzinnym dniu pracy jeszcze się wówczas nie śniło...) a zatem jest dopiero piąta - obracałam się twarzą do różnokolorowych paseczków obicia kanapki - i spałam dalej...

Byłam już wówczas gruntownie zagospodarowana na świecie. Miałam w głowie moc najróżniejszych pojęć i powiadomień. Dzięki licznym ilustracjom i reprodukcjom, w które nasz dom obfitował, znałam ogromnie mnóstwo obrazów i widoków, nazwisk malarzy, miejscowości, strzępków historii, które mi się jawiły na obrazach, miałam ukochanych bohaterów, -tak jawy, jak baśni - ale świat bajek Andersena mieszał mi się jeszcze ciągle z rzeczywistością. Wszystkie " rzeczy" była dla mnie za jego sprawą milczącymi istotami, które tylko dlatego nie gadają, bo nie chcą... Stąd obyczaj nazywania osobnymi nazwami sprzętów domowych, który mi został do dziś - ba! - nawet części odzieży. Spora już byłam gdym miała xxxxxxxxx ulubiony słomiany kapelusz, który z niewiadomej racji nazywał się " Bilo".

Historii greckiej uczyłam się zrazu na Homerze, powszechnej na pięknym wydaniu Memorabiliów Geigera (książki, którą Tatko cenił dodatkowo, jako pamiątkę po ukochanym koledze i przyjacielu młodości - Marcelu Maszkowskim.. Ale o tym jeszcze się później rozgadać przyjdzie ..) uczyłam się - wyznać trzeba - przeważnie ze złością a zwłaszcza rachunki były mi wprost fizyczną udręką. Nie rozgłam ! To też z racji mego rozbudzenia wogóle i marnego wieku, nie zmuszano mnie do tego zbytnio. I Mama i ciocia Teresnia, obie uznały, że trzeba na mnie fortelu i uczyłam się, ani wiedząc jak, - opowadaniem. Na tej wązkiej jesionowej kanapce, na której sypiałam, zakopana o zmroku w xxxxxxxx wielki, popielaty pled cioci - słuchałam bez tchu tej tulącej mnie do siebie, mądrej i słodkiej nauczycielki, która niczym najciekawszą bajkę - mówiła mi o prawdzie. Poznałam w ten sposób historię polską i starożytną, zaś Tatko dopełniał stosownymi ilustracjami, które bądź z domowych zapasów dobierał, bądź z biblioteki Seminarium nauczycielskiego męskiego

w którym uczył - pożyczał dla mnie. Później dopiero, z latami, dałam się nagiąć do foremnych lekcji i godzin nauki, które bardzo nierychło zaczęłam lubieć...

Im coś było dziwaczniejsze, mniej podobne do dnia dzisiejszego tym mi się więcej podobało. Rozmiłowana za sprawą Tepy w Egipcie, domagałam się opowadań o Wschodzie, który mnie nęcił, jak każde dziecko, najbardziej. Był u nas tom gruby niemieckiego wydania Bajek z tysiąca i jednej nocy. Ileż wieczorów przeszło nam z ciocią na zgłębianiu tych cudów. Harun Al Raszyd był dla mnie postacią bardziej rzeczywistą, niż panujący w Austrii żywy cesarz. A gdy się zrobił na świecie huczek spowodowany odkryciami Schliemanna - umyślnie wybrałyśmy się do cukierni Grossa przy Hetmańskich Wałach, dla obejrzenia niemieckiej ilustracji, która przynosiła podobizny złotych przedmiotów ze skarbca Pryama. Cała ta nieszczęśliwa, wykopaliskowa familia znana mi była doskonale, najpierw z opowiadań Tatka, a potem cioci na wąskiej kanapce i trudno odtworzyć to wrażenie z jakim patrzyłam na rzekome trzęsidła Heleny i długie, z migotliwych blaszek zausznice. Mocno utwierdziło to we mnie wiarę, że wszystkie bajki mogą być kiedyś odkopane.

Wyraźnie dzielił mi się już rok na cztery pory, które znaczyły się dla mnie znajomymi etapami. Więc : Jarmark św. Jura, wyjazd na wakacje, Zaduszki i Gwiazdka.

Wiosna - to były pierwsze śnieżyczki przyniesione z rynku w twardo ściśniętych pęczkach, data moich urodzin - 13 marca - i imienin - 25 marca. Pachniały mi te dni zawsze ślicznie hiacyntami i jakimiś przez rodziców najtrafniej pod słońcem obmyślanymi radościami. Spełniały się stale jakieś " najgorętsze " życzenia n.p. aksamitnie miękki ołówek Faber nr 2-gi, - albo prawdziwy orzech kokosowy, czy grube serce z czekolady, wybrane śmiałą myślą za wystawą Rotländera lub pudełeczko biletów wizytowych z różowego seledynowego i błękitnego kartonu... O urodzinach moich pamiętała też niezmiennie moja chrzestna matka Leonia Sawczyńska, jawiąca się zawsze z bardzo dostojną swą mamą i młodszą siostrą Jadwigą, aby mnie w tym dniu czemś miłym udarować. Przyjęcie stanowiła stale czekolada z oblewanymi cukrem sucharkami. Imieniny bywały gwarniejsze, bo przychodzili na nie liczni moi młodociani znajomi, starsi i młodsi, - Lolo i Anielka Laszkowscy, Tyńcia, Zosia i Genio Piaseccy, Zosia i Jadwiga Trzemeskie, August Cezar i Józio Hallerowie -- ale ci bywali już trochę później.

Wiosna kończyła się czymś, dziś już bezpowrotnym, corocznym, majowym jarmarkiem na placu św. Jura.

Umiało się na pamięć wszystko, co tam było do zobaczenia i doznania, ale urok z roku na rok nie malał bynajmniej. Już sama dro=

ga przez rozkwitły ogród i pachnący młodym liściem Ogród Jezuicki usposabiała świątecznie. Ogród ten był znojny do ostatniego zakątka. Wszystkie wiosny i jesienie spędzaliśmy tam z wózkiem Adasia, a potem już obaj na piechotę pod niewyczerpanie cierpliwą opieką Mamy lub Babci. Pod olbrzymim, zaś już ściętym kasztanem, który kwitł w różowe wieżyczki osypujące się potem na świeżki, był nasza ulubiona ławka. Stamtąd urządzało się śmiałe wypady w inne aleje i wracało pędem pod kasztan. Poplątem się w białej, chłopskiej sukienece, którą ciocia Terenia kazała zrobić na wsi w Żurawnie, wyszywanej pięknie czerwoną i czarną włóczką, przepasaną pąsową krajką i w takiej chustce na głowie. Brodziłam w trawie sięgającej mi pasa, zdradzając świat istot rudych mieczów. Wysokość tej trawy może świadczyć o dwojakiej prawdzie: mojim maleńkim wzroście, lub niedbałym za zarzle ogrodu...

Ale chodźmy na jarmark...

Z daleka już dolatywały charakterystyczne, nosowe dźwięki harmonijek, na których się "grało" oddechem - metalowych, podłużnych przedmiotów o kwadratowych celkach, z których lada chuchnięcie dobywało rdzewiejący jęk.. Niektórzy twierdzili, że umieją z tych jęków układać melodie, ale trzeba było silnej wyobraźni aby uznać, że jest to kujawiak czy "Jeszcze Polska.." Poniżej tego niosły się donośniejsze piski gwizdek, prawie z pięścią trąbek, co wszystko szlachetniała pełna ogromna koterynka, wygrywająca różnocześnie Poloneza Ogińskiego. Tak! Już tu zaczynało się użycie!

Wreszcie na słońcu, w całej otwartej przestrzeni, zaczynało coś czernieć i błyszczeć... Biało-czerwone namioty z piernikami i ogromne stosy podkolorowanych kunsztownie denkami ku niebu, polewanych, kamiennych garnków. To się rzucało w oczy najpierw. Chorągiewki o narodowych barwach, skrzyżowane nad wnętrzem piernikowego pawilonu, strzały - te to szopki podobne - drzwi. Wystawa piernikowa wyglądała w nich jak scena jakiegoś jednego teatrzyku. Cóż tam były za niemowlęta piernikowe we wszystkich wielkościach, jakie serca rozbójnicze i wyzłocone! Ile patronów innych piernikowych, o kształtach tych obrzędowych, corocznych i tamtej samej dekoracji! Nad wszystkim gęsto chodziło się z parą niosu, krochmalu i śmieta...

Jarze churczyły się od tej pory serca piernikowe i ludzkie.

Najpiękniejsze były namioty Józefa Zimera i Franciszka Stella, ojca poety. Później dopiero zasłynął Józef Czyński z Jarosławia.

Wiedzy tych namiotów szczęśliwości była cała uliczka, którą szło się po parę razy z rzędu i pasło oczy - nim został zrobiony

wyobór. Zaczynało się zawsze od takich odlędzim wszystkiego..

Były i namioty z zabawkami, najpokusniejsze ~~xxxxx~~ wszelkie, chłopskie, rozłożony bywały w miałkim ~~xxxxxx~~ prochu " placu". Pamiętam tam nieodżałowane lalki gatunek wymarły bez śladu, które hurtem nazywałem " margorendy". Były to Margorendy całe z drzewa, coś między kręglem a ludzką figurą w sukni empire, stale ciuraczkowego koloru, o rysionch głupkowato ostawionych od tułowia. Miały długie szyje a na nich okrągłą, jak kapłonie głowę, o malowanej twarzy, różowej z silnym wypiekiem, jaskrawą kropką ust, dwoma czarnymi kropkami oczu i kreseczkami brwi. Fryzurka z rozdziałkiem zachodziła na modą z trzydziestych lat głęboko na policzki i kończyła się greckim węzłem na kulistej czaszce. Margorendy bywały nieodmiennie brunetkami... Obok nich pamiętam jeszcze jeden gatunek zabawek z ginionych: karienne kule, czarne, pokryte żłobionym ornamentem, bardziej geometrycznym niż roślinne z pisanek. Wewnątrz miało to gipsowe gałki i potrząśnięte - kałatało. Żłobienia miały barwę popielatą i były bardzo rozmaite. Nazywałam je " srocze pisanki" i do dziś nie wiem, do czego służyły. Jako zabawka dla małych dzieci były za ciężkie, dla starszych również nie miały sensu. Może tkwiło się w nich jakieś znaczenie symboliczne, zrozumiałe tym, którzy je wyrabiali ? Dziś ich już nie widać nigdzie.

Naturalnie były na jarmarku wózki dla dzieci malowane, spotykane jeszcze i dziś, zaprzężone parą koników jaskrawej maści, -kołatutki, którym gwiździało się w ogonek, glinlane ramki-centaury z jeźdźcem bez nóg, prościutkie w wierzchowca, pasterza jak zebrane - skarbonki, fujarki, rzepki, rogoże pleciona, kapiele, łyżki strugane z lipowego drzewa - ale nade wszystko : pierniki i garnki ! Co za garnki!! Zielone, brązowe, żółte, siwe - od największych do malutkich dla lalek, dzbanuszki, kubeczki, miseczki - takie wyrobów jakie kto chciał - a byszczących do słońca pięknę polewą, jak rokre. Świat zaginiony już niemal, wyparty na zawsze przez aluminiowe naczynia, napewno kruchszy od nich, ale o ileż powabniejszy, bardziej malowniczy ! Wytłukł się razem z pieśnią ludową, której - jak twierdzą badacze - nie przyrasta - minął, jak pyszne podlwowskie sukmany ze szkaplerzem dziwacznym na plecach, które czasem tylko na jakim starym gospodarzu zobaczyć jeszcze można w rynku. Zatracił się, jak białe " magierki" wełniane czapy okrągłe, okolone różowo-zielonymi kreskami włóczki, czapy wciągane na głowę jak pończocha o podwójnej warstwie, których naprawdę bez narysowania opisać nie podobna.

Z głębi, za placem z garnkami i namiotami tłoczyła się mnogość innych kramów, ale te już nie były obojętniejsze. Stały tam szeregi bud ciuraków chłopskich z cukrami, jeszcze nie czer-

nionych, - potem słoniny obsypany kremem z biczami prawdziwych koral-li, koło których kupiła się publika wielka i przedmiejska. Buty sprzedawali szewcy z Unnowa, co mi nie było wszystko jedno, gdyż przez Unnów jeździło się do Gniezna, - słoninę także chrześcijanie, tylko co do korali nie jestem pewna, czy nie żydzi siedzieli w kramikach. Zresztą nie widać ich było na jarmarku "jurajskim" zupełnie. Osobną rozkoszą dla nas - dzieci - był głęboki, suchy, biały proch pokrywający plac. Szło się po nim dużo dłużej, niż np. ścieżkę ogrodową i okoliczność ta przewlekała słodkie trwanie uży-cia. Unie na dorier przyśniwał się Egipt i pustynia a namioty z daleka przypominały "Stary Testament" Doré'go.

A potem powrót o pilnym majowym, rozzłoconym zachodzie przez ogród. Niosłam w obięciach nieodmiennie: nową Margorendę, fujarkę z jagnięcą w niej wyobraźnią na zawsze z naiwnym wspomnieniem Bal-ladyny, - jakiś śliczny garnuszek i pachnącą miodem torę pierników-ców-uszków. W ogrodzie więcej teraz było starszych niż dzieci, bez pośpiechu a powietrzem przelatywały, niby uskrzydlone, nosowe tony harmonijek, chrabąszcze majowe, których najczęściej ślepe roje oczy nie dostrzegały i tym zabawniej było uczuć taki buczący przelot mimo nosa czy ucha. Zwykle wbiegało się jeszcze na momnet do kręglej świątyńki na kolumnach, zdobnej w cielęce głowy na to tylko, aby tupnąwszy o jej posadzkę, usłyszeć pod stropem znajomy fi-glarz echa, naśladującego do złudzenia trzaśnięcie w pulchny poli-czek... Jarmark "jurajski" - to było ostatnie silniejsze wrażenie przed wakacjami.

Po powrocie z wakacji do domu Zaduszki dopiero stawały się etapem, od którego zwykło się liczyć czas. Zawsze w razie pogody brona byłam także na cmentarz. Jechało się z wieńcami i latarniami fiakrem. Bardzo pilnowałam żeby coś także trzymać, bodaj paczkę świec, gdyż była mniejsza - potem nawlekałam na siebie wianek i bardzo byłam podniesiona na duchu, że pojadę do Grottgera. Wcześnie bowiem wiedziałam kto był, że namalował wszystkie obrazy które wisiały na naszych ścianach (w salonie oprócz prawie całkowicie jedną z nich "W jaśminach", opodal wi-siały fotografie "Litwinii") że Nora była jego narzeczoną ale nie wyszła za niego, bo umarł na suchoty we Francji. Nazwisko to opo-wiedziała Żana Prekowska, jedna z dyniskich moich przyjaciółek, a potem szczegółowiej ciocia Terenia. Wiedziałam, że on sadził dą-bek rosnący w drewnianym kubełku koło Mamy biurka i biuszcz, roz-krzewiony w jednej, zielonej ścianke, rozpiętej na wysokiej kratce z listewek, którą gdy przyjęli nam li goście, obracało się zawsze tyłem

na polej...Mogło być jedną z tych postaci, np. Marcel Raszkowski, którego obecność tam z nami stale, bezustannie, znajdowała dziwnie wyraźne i swojskie. To tej całej corocznej uroczystości zapalania świateł na ich grobach był dla nas uroczystością, która nie powszedniała nam wcale. Tamtego roku byliśmy jeszcze w kilku " swoich" grobów. Grottger, Szpilowie i Jocha, Marcel - z palety na krzyżu. Prezesa Leopold Kantz i jego żona, których sylwetki znałam z czarnej sylwetki, wiszącej nad łóżkiem cioci Tereni - byli jacyś nieuchwytni...nie mogłam się do nich przyzwyczaić, choć co roku paliła Nana na kamyku nad nimi świeczkę.

Gdyśmy przybyły na cmentarz zjawiała się zawsze stara babina - Zosia Suska, dawna służąca cioci Tereni z czasów, gdy ciocia miała pensjonat przy ul. Ducha i gdzie jako narzeczony Nany bywał Grottger. Zosia, z powodu złego wzroku, nie mogła służyć i przez całe lato do jesieni posługiwała koło grobów, zamiatając, podlewając kwiatki i tym sobie zarabiała. W zimie tułano ją zawsze w jakimś klasztorze. Bardzo była [illegible] po polsku. Ona zawsze szła za nami, aby pozamiatać koło grobowca, posypać piaskiem - i jej się dawało drugą świecę, aby zapaliła wieczorem. Nana zawsze patrzyła na nią z rozczuleniem, bo nie tylko przypominała jej dawne czasy, ale i jeden jest, bardzo piękny, rzadki nawet w salonie - cóż dopiero w kuchni! Otóż, gdy Grottger umarł i wyłoniła się kwestia sprowadzenia jego trumny do Polski, w skromnym domu cioci i babci wielkie powstało zaturbowanie...Nie było kapitału, ale trudny do ruszenia natychmiast. Wtedy Zosia Suska przyszła z płaczem do babci ofiarowując swoje uskładane centy na ten cel i nim tamten fundusz się uruchomił. Nie przyjęto oczywiście tej sumki, ale wdzięczność została na zawsze. Poczciwa Zosia dawno już nie żyje i kto inny nasze groby obsypuje piaskiem.

Prześliczny cmentarz Łyczakowski bywał w tych dniach jeszcze cudowniejszy. Zdarzały się jesienie pogodne i długie i całe złoto liści trzymało się na drzewach. Kasztany zwłaszcza, podświetlone drugiejesiennymi promieniami, robiły wrażenie czegoś nie rzeczywistego i pamiętam jak z tamtej chwili olśniła mnie myśl, że podobnie jaśnieć musi " świętość wielkiista" tyle, że trwa jeszcze dłużej, niż ciągle.

Po zapaleniu lampek u grobowca Grottgera, po złożeniu wianka, Nana klęcząc modliła się zwykle dłuższą chwilę a ja ukradkiem patrzyłam to na nią, to na tę kruchą postać kobiecą na pomniku. Wiedziałam, że jest związek między obydwoma, że Nana odchodząc, pochyli się zawsze jednakim ruchem nad obrzeżem grobowca i ucałuje szorstki kamień, że na przyszły rok przyjdziemy tu znowu i znowu zapalimy

się światło. Potem szłyśmy do pradziadka Wentza, do prababki i Jocki. Zawsze mi było zawcześnie do domu. O zmroku rozmigotanym światłami, potykając się na dojrzałych kasztanach, wychodziliśmy z cmentarnego dziedzińca, aby już piechotą wracać do miasta. Trzeba było przepchać się przez podwójny strumień nadchodzących dopiero i tych, którzy już wracali. Wzdłuż ulicy Piekarskiej, ze strony prawej rozwieszony były wianki na sprzedaż, zielone całkiem i ubrane papierowymi kwiatkami, - z drugiej strony jezdnej drogi, pod drzewami krzyczał, mamrotał i przygrywał długi, bury szlak stłoczonych jeden przy drugim - dziadów. [illegible] Nie widuje się nigdy takiej wystawy straszydeł. Może jeszcze po jakichś odpustach ale we Lwowie szczęściem znikły. Dziady mego dzieciństwa to były zupełnie złe sny, albo owe podmorskie polipy, pomiędzy które pożywa z trwogi, przemykała Andersenowska "Wodnica". Wielu z nich rzępoliło na skrzypcach, przebierało na lirze, inni tylko się darli jak z czyśccowej czeluści, lub wyciągali z łachmanów ręce podobne do połamanych patyków, - inni milcząc i łypiąc okropnymi białkami odsłaniali straszliwe kalectwa i rany. Były tam baby i jakieś niesamowite dzieci. Poprostu nędza rozdzierająca doprowadzona do perfekcji.

Raz, gdyśmy mijały ten bury szpaler, opowiedziała mi Mama swoją przygodę na samym cmentarzu przeżytą. Miała obyczaj od młodości do późnego wieku, być zawsze na cmentarzu w wieczór Wilii nim zmierzchło i podczas Nazurekcji. Chadzała zawsze sama jedna. Właśnie w taką Wilię, gdy już szarzało i gdy stała w głębokim śniegu, zapalając na grobowcu Grottgera światło, usłyszała tuż przy sobie głębokie westchnienie. Odwróciła głowę i zamarła z przerażenia. Bez szelestu przybliżała się do niej wysoka postać, okutana w białe draperje, z twarzą zupełnie czarną, w której tylko białka oczu połyskiwały. Zjawa dyszała i po momencie milczenia, przez którego trwanie nie rozumiem jak można było nie oszaleć ! - widmo zagadało łamaną francuszczyzną. Pokazało się że mara przynależy do goszczącej właśnie we Lwowie trupy Syngalezów, jest kobietą, której (rzecz normalna w naszym klimacie !) umarło maleńkie dziecko i jego grobku, jako chrześcijanka, poszukać przyszła w ten wieczór na wielkim, białym, obcym cmentarzu.

Wszystko to niby proste, ale było się czego przeląć ! Czyż nie ?

Na prawo od zakrętu, naprzeciw miejsca gdzie dziś stoi kaplica anatomii, rozciągały się jak i dzisiaj rozległe błonia, na których wiosną ćwiczyło zwykle wojsko i głosiły się wesołe hasła trąbek, związane z tą porą roku, jak capstrzyk z bastionami Cytadeli, z godziną dziewiątą wieczórem. Teraz gdy je okrywał obrus śniegu, dreszcz przechodził na myśl o nieszczęsnych wielbłądach oryginała Baworowskiego, które ongiś, gdy ciocia Terenia była malutka, pasły się tutaj, odziane w siatkowe czapraki z purpurowych i żółtych

sznurów. Zawsze, ilekroć mijać mi wypadło to błonie przy cmentarzu, jawiły mi się owe wielbłądy, które napewno uległy temu samemu losowi, co dzieciom Syngalezki.

Co krok, to jakieś ciekawe wspomnienie... Choćby n.p. wnętrze pracowni rzeźbiarskiej Juljana Markowskiego, przy ul. ~~Piekarskiej~~ Tyniakowskiej - już bliżej miasta - zaludnione także nie własnym, ale Mamnym przeżyciem.

Już po rozejściu się z mężem, Babcia z małą Mamą mieszkała czas jakiś w tym domu, gdzie za żelaznymi sztachetami, na trawą zarosłym dziedzińczyku, stały gotowe kamienne nagrobki. Las figur i krzyżów... Tam mieszkała też pani Laura Błaszkowa, serdeczna przyjaciółka Babci i jej syn Edwin, który wraz z małym Julkiem Markowskim, ~~synem~~ wnukiem właściciela domu, rzeźbiarza, Szimzera stanowił towarzystwo Mamy, bardzo jej oddane. Zdarzyło się, że jej zdechł ukochany kanarek a ona i obaj strasi przyjaciele, postanowili pochować uroczyście ptaszka. Wtedy Julek Markowski odbił pokryjomu na ten cel czubek gotowego już marmurowego pomnika. Skończyło się wielką skorobitnią smarkacza i znacznie upposzczonym pochowkiem faworyta.

Z tym Julkiem Markowskim miała Mama jeszcze jedno wspomnienie. Matka jego, Włoszka, chorowała na płuca i trzymało się dla niej dojną kozę dla leczniczego mleka. Koza była biała i zamknięta zwykle w komórce, rzadko i z małym zyskiem wypuszczana na chudą trawę między nagrobki, nie miała humoru, co dzieci ze zmartwieniem zauważyły. Nie wiem które wpadło na pomysł zrobienia kozie przyjemności, by jej choć w części dać złudzenie gór. Cały bowiem ~~xxxxxx~~ kozi smutek przypisany został przez dzieci tęsknocie za górami. " Przyjemność" wykonana została w ten sposób, że oboje powlekli ciężkie i niechybnie oporne zwierzę po drabinie na stryszek a stamtąd - jakimiś sobie znajomymi przejściami - na dach. Nie przewidzieli jednak, że koza - czy zainspirowana istotnie górskim położeniem okolic, w których się znalazła, czy wyprowadzona z równowagi niespodzianą gimnastyką - nie ograniczy~~xx~~ się do domowego dachu, ale wybierze się na sąsiedni, a potem puści i na dalsze... Dzieci nie mogąc ~~xxxxxxxxxx~~ ścigać jej po kruchych gontach przyległych domków, musiały wezwać pomocy starszych. Ta nie na wiele się przydała, bo koza nieczekając była już na jakimś szóstym dachu i dopiero wezwany kominiarz zniósł w czarnych objęciach białą turystkę w niziny...

Długie, jesienne wieczory sprzyjały pogawędkom na wąskiej kanapce i ciocia z niewyczerpaną cierpliwością dawała mi się

zanudzać pytaniami. Domagałam się opowieści o jej dzieciństwie i o tym wszystkim, co - dzięki natarczywym moim wywiadom przeżywałam - acz z drugiej ręki.

O takiej szarej godzinie słuchało się o zasypanej Pompei, o Partenonie i lordzie Elginie, o jednym popołudniu, gdy to Sebastian del Piombo wezwał Michała Anioła, żeby spieszył, gdyż w pewnym ogrodzie pod Rzymem " schodzi" jakiś marmur, który wygrzebany " zszedł " istotnie jako grupa "Laokona" znana mi doskonale z wizerunku i odlewu głowy u Maszkowskich na szafie... A gdy wreszcie robiło mi się za twardo pośród sławnych kamieni, prosiłam o opowieść o ludziach.

Gdy rodzice szli gdzieś na wieczór (co w owych zamierzchłych, gościnnych czasach, zdarzało się dość często...) do Żulińskich, Grzywińskich czy Janowskich, a myśmy zostawali z ciocią Terenią w domu, - gdyśmy się nabawili do syta w ulubioną "aptekę", wszyscy troje - zabawę polegającą na zgromadzaniu wszystkich domowych słoików i flaszek, które różni potrzebujący przychodzili niby kupować, przy czym improwizowała się coraz to nowe typy, z których kilka jak : lokaj hrabiny, głupkowaty stróż i zalotna pokojówka powtarzało się stale - gdy Adaś poszedł już spać, wołało się Józię, aby z nad łóżka cioci zdjęła Quod libet".

Ów "Quod libet " była to jakby płytka szuflada, nie duża, wieszana na gwoździu, jak obraz, pokryta szkłem, podobna do tych, w jakie się zamyka zbiór motyli. Dno jej wyścielone podwatowanym, białym atłasem, pełne było poprzyszpilanych drobiazgów, najprzeróżniejszych pamiątek, a za każdą z nich ciągnęła się lotna smużka wspomnień. Pomysł malujący wyraziście romantyczną epoką w której powstał - zaczarowane, sentymantalne pudełko, dziś może śmieszne - za pomocą którego wszakże - niech sobie kto mówi co chcę - ludzie tamtych czasów umieli chwytać lepsze chwile życia za jedno pióro bodaj, pióro wyrwane w locie i przyszpilić je do białego atłasu tak mocno, że i ja - po tylu latach - mogłam niejednemu się napatrzeć, niejednym się nacieszyć, niczego prawie nie zapomnieć... Pamiątki to czasem nic innego, tylko te rozbiegające się obręcze na wodzie, w którą wpadł kamyk... Póki drży owa najsłabsza, najdalsza - jeszcze się wie, że to ślad istnienia jakiejś rzeczy czy duszy, co znikła...

Quod libet cioci Tereni to był zbiór plastycznych ilustracji do opowiadań jej o pradziadkach, o hrabinie Moszyńskiej, o Reverterach, malutkiej Mamie, powstaniu... Pochylona nad zatrzęsieniem tych okruszyn, pogrążałam się ze szczętem w odległy świat młodości cioci Teresy i Babci.

Były tam mebelki dla lalek, którymi bawiła się prababka

Wentrowa,- naczyńka szklane, jak z serwisu krasnoludków, [illegible]eń grom[illegible]icy, którą [illegible] w palcach umierającego prad[illegible]ka Leopolda, karnet cioci z pierwszego balu - choć sama nie pięknie [illegible] pono tańczyła -- złocony z bukiecikiem niezapomnek, - płowe włoski małej Aneli Revertera, ucz[illegible]ej dzieckiem we Lwowie,- róża wyjęta z włosów przez Jenny Lind - tej samej z bajki Andersena - i podana przez wielką śpiewaczkę uroczemu Teofilowi Reverterze, po jednym z tryumfalnych jej występów we Wiedniu. (Niewdzięczniku dał ją zaraz uszuszyć w panieńskim quoi libecie !) Była kokarda tegoż Teofila, uszyta mu przez siostry, którą nosił podczas rewolucji w roku 1848 na barykadach Wiednia, - był różańczyk z ziarenek [illegible] perłopławu, pobłogosławiony ongiś przez Katarzynę Emmerich, obok ułamek mozaiki z Pompei. - pierwsza z grubego, złotego kordonka robótka dziecinna Mary, po której, bez mała siedemdziesiąt lat, nie spoczęły jej pracowite ręce... Był widoczek zamku Reverterów w Tollecie, namalowany akwarelą przez hrabiankę Matyldę, najukochańszą uczennicę cioci i przyjaciółkę dozgonną jej i naszą - połamany wachlarzyk z miniaturą, migocący od pozłocistych paillietek po prababce Helenie.. W jedwabnym woreczku piasek z Janikulu przywiezionej z Rzymu przez hrabinę Moszyńską... I z tych wszystkich okruchów układało się opowieść o czasach i ludziach, którzy przeminęli...

W roku 1776 - gdy młody kapitan i komendant szwedzkiej, baron Karol Ewaryk Wentz zu Niederlanzstein i jego żona -hr. Helena Ehrensburg z domu - osiadł z garnizonem w Zwickau, urodził mu się - po śmierci dwu starszych dziewczynek - pierwszy syn. Starowieckie [illegible] obyczajem, który miał jakowy dziecku przynosić pomyślność, a zapewne i jako akt pokory staranie urodzonych dzieci - trzymał go do chrztu " pauper ecclesiae " czyli dziadek kościelny. Po polsku, w przekładzie z łacińskiej metryki, brzmiało to " biedna sierota"... Jeżeli dziady mojej młodości były takie straszne, [illegible] jakie dopiero okropnym musiał być ów surowy ojciec prababki ! Imię otrzymał Antoni Leopold Ewaryk. Gdy dorósł służył zawodowo w wojsku austryjackim, jak jego ojciec. Zdarzyło się że stacjonowany został ze swoim regimentem w Galicji. Tutaj, jak jakieś zaklęcie w domu Antoniny z domu Werbny- Pawłowskiej, I-go voto Jakóbowej hr. Sobieszczańskiej (matki Bertrudy, Jaczewskiej Potockiej i Jordanki Teodorowej Potockiej) [illegible] II-go voto Józefowej Skrzyńskiej, starościny stanisławowskiej-- poznał prześliczną panienkę, Polkę, Jordankę Sobieszczańską. Ojciec jej, Jan baron Korbarn, z niezamożnej rodziny spolszczonej zupełnie a pochodzącej z Westfalii nad Renem, jako gubernator i komendant

Szeptyckich, przeżyła w [illegible], [illegible] jego, podobno, [illegible] z Lwowa [illegible] roku 1778, w Rozwadowie, we dworze pyłej [illegible] rozwiedzionej, Józ Antoniny (jak podówczas Szeptyckiej) urodziła się Ludwinem córeczka. Chrzestny matką jej była panna Karolina Lanckorońska, siostra [illegible] " Pani Tarnowskiego, później Teodorowa Potocka, wojewodzina bełzka, po której odziedziczona w posagu dziewczynka otrzymała imię. Po wczesnej śmierci matki, opiekę nad [illegible] sierotą objęła pani Szeptycka i Potocka. Postrzeczona mało przestwórczo, ale słodka i czuła z dziecka i pełna pamięci, oczarowała z miejsca dziecinne wyobraźnię. Zakochała się do szaleństwa - ona nawzajem. Z rodziny kapitana żyły tylko jeszcze dwie siostry rodzone, prawie i obsturnie : [illegible] Aloyzya- stara panna kanoniczka, dama gorliwie stanu krzyżowego, na wrodzinie nazywana przez rodzinę Louisą , - i druga, Charlotta, radczyna Jordanowa. Damy te, licząc na to, że brat jednak utrzyma się na wysokości obowiązków i zrobi karjerę co się zowie - wpadły w szał ! Nie dość, że bez posagu, że - [illegible] ! Tego było baronessom za wiele. Rozpętała się między Pragą a Lwowem złowroga korespondencja - nie mniej końcowym efektem wszystkiego było skwitowanie z wojskowej karjery pradziadka i ślub z Polką, - który się odbył w roku 1813, pod patronatem pani wojewodziny bełzkiej. Larmentu baronessa w Czechach nie było we Lwowie słychać.

Tymczasem kapitan został skromnym urzędnikiem i jak na ziemianina i kanonicze. - zamiast synów- rodziły się same córki. Mnie ciasno im było wielce, choć nadęte ciotki odzywały się czasem z urąganiem lub nieproszonym współczuciem, w domu wszakże było jednak pogodnie i pradziadowie czuli się bardzo szczęśliwi. Pradziadka odważnie dźwigała obowiązki do których jej nie wiedziano w młodości. pradziadek wesołym humorem pokrywał niechybną goryczę starego wiarusa Napoleona, córki uczyły się żarliwie i bardzo wcześnie. W najlepszym wówczas zakładzie naukowym dla dziewcząt, Szkole [illegible] przy klasztorze Wszystkich Św , we Lwowie, kończyła pierwsze studia ciocia Ferenia, co przyświadcza przełożona tego zakładu, matka Józefa Kuhn, w r 1827.

Ciocia opowiadała mi jak wracając raz - a nie pamiętam w [illegible] roku 1825 z egzaminu w klasztorze, przepasana błękitną wstęgą premiantki ze srebrnym medalem na szyi i trąbą świadectwa w ręce - przechodziła Rynkiem. W tejże samej chwili zachwiała się wieża starego ratusza i kiedy ciocia zdążyła krzyknąć, runęła w dół. Straszne to miało być widowisko, spotęgowane grozą obawy o ludzi, którzy mogli poginąć. Tymczasem podobno nie zginął n i k t, gdyż godzina była południowa i urzędnicy porozchodzili się do domów. Jedna tylko mała coreczka strażnika, któ ego obowiązkiem było -wypatrując ogni po dachach - dawać sygnał pożarowy i wyglądywać donośnym

gwiazdkiem godziny (zegara widocznie nie było) - zastępując ojca wyległa na wieżę, aby gwizdnąć pierwszą - ale już nie zdążyła. Z lawiną gruzów osunęła się w dół i osiadła jak w żlebie bez przytomności. Znaleziono ją zdrową, ale oniemiałą na czas dłuższy z przestrachu. Nie wiem ile razy kazałam sobie tę chwilę opowiadać i - mijając nasz szkaradny, kochany, nowy ratusz zawsze podejrzliwie podnosiłam głowę, czy się wieża nie chwieje...

Prababka Wentzowa, której czarną sylwetkę, razem z sylwetką pradziadka i miniaturą Korbaczów darowałam Leli do Medyki - była długo bardzo piękna. Brunetka o granatowych oczach jak Babcia i olbrzymich włosach do śmierci, przy których jej drobna, misterna twarz wyglądała zawsze jeszcze drobniejsza. Osobliwszym nabożeństwem otaczała św. Antoniego, w którego parafii pradziadkowie mieszkali i którego imię nosiła pani Komorowska, bardzo czule przez prababkę kochana. Oboje musieli być przedobrzy i przemili, gdyż żadna z córek do starości nie mówiła o nich obojętnie.

Ciotki Mamine bardzo nierównomiernie los uposażył. Celina i Teresa były w równym stopniu brzydkie, jak Jorduia (nazywana potem Kordelją) i Eliza piękne. Ale z rzadką losu galanteria nagrodzone to zostało brzydkim większym bez porównania zdolnościami. Umysł cioci Tereni był jeszcze w późnej starości zdumiewający pamięcią, bystrością sądu, potrzebą zdobywania wiedzy dla siebie, i podawania własnej drugim. W mniejszym stopniu, ale także bardzo zdolna i wykształcona była Celina, zaręczona wcześnie z nieszczęśliwie za zamożnym ale nieznośnym Augustem Schally na Bukowinie. Dwie piękne natomiast, Babcia i Eliza, rosły dlatego, że wykształcenie ich nie było systematyczne, a otoczenie w którym po śmierci rodziców rósł im wypadło, traktowało je raczej jako motywy zdobnicze, niż zadania na serio - pozostały całe życie na poziomie jakby naiwnego dziecięctwa, jedna słodka i cicha, - druga Eliza, nie umiejąca słuchać hrabiny Koszyńskiej, ich opiekunki, ruchliwa jak wrzeciono, obie dalekie od umysłu nieporównanego cioci Tereni. Wszystkie cztery stały się najgorliwszymi patriotkami polskimi, naprzekór wszystkim przodkom i ciotkom...

Oprócz tych głównych biograficznych szczegółów, mało co wiem niestety o obojgu pradziadkach. Po za tymi głównymi datami, zachowała tradycja ustna tylko jedno zdarzenie z młodości pradziadka, gdy był młodym oficerem stacjonowanym w Lwowie, [illegible] po weselu któregoś z kolegów, jeszcze z bokietem przy trzaskach, pognała wesoła kompania sań przez rynek do jakiejś knajpy...

Tegoroczny bowiem i zawczasu był do domu...Wtedy,pośród wspaniałej zabawy,przyjaciółek uwiadomił sobie,że na zwierzę gościa, jakiegoś kuzyna, przybyłego do Lwowa,który zabawił nam i którego idąc na wesele - aby go nie budzić za powrotem -zamknął na klucz, który wziął ze sobą. Przypomniał sobie,że gdzieś na weselnie rano ujrzał w kącie jakieś pudełko i nie bardzo mógł wyjść przed jego powrotem. Wstał tedy i mimo zatrzymywań rozbawionej gromadki pożegnał się i poszedł ku domowi. Była zima, [illegible] śnieżna chłodna, na obmarznym nieba księżyc,więc prawie widno...Dziadek [illegible] środkiem ulicy,w rozpiętym na piersiach płaszczu,z pod którego wyzierał bukiet weselny. Nagle ujrzał parę kroków przed sobą - najwyraźniej - samego siebie! W płaszczu rozpiętym na piersiach, z bukietem przy mundurze, wpatrzonego sam w siebie w twarz,kroczącego wprost [illegible] na siebie pustą,szarzejącą ulicą. Ujrzał swego sobowtóra i tyle tylko zdążył jeszcze zauważyć,że bukiet weselny miał ten sobowtór przypięty wyraźnie z przeciwnej strony niż on.bo gdy się zbliżył, stanął nagle jak przed obliczem w lustrze. Zmartwiał z przerażenia,a potem bez namysłu - zawrócił i jednem rzucił się z powrotem do znajomej knajpki,gdzie całą kompanią zastał jeszcze przy kuflach. Wygląd powracającego był przerażający i chwilę trwało nim zdołał opowiedzieć [illegible] zajście. Rzecz prosta, posypały się żarty na temat zaproszonej [illegible] weselnika, docinki do oficera,który spłatał się ucieczką przed strachem - wreszcie wszyscy, ilu ich było,postanowili tę samą drogą odprowadzić towarzysza do domu. Domek,gdzie mieszkał,stał prawie za miastem. Dzień już był jasny gdy dochodzili pod adres i zdała już zastanowił pradziadka widok otwartych okiennic parterowego okna,które wychodząc wieczorem zostawił zamknięte.Widocznie kuzynek,nie mogąc się wydostać z zamkniętego na klucz mieszkania,skorzystał z niskiego okna. Zdumienie ich wzmogło się jednak,gdy zastali drzwi kawalerskiego mieszkania otwarte i klucz tkwiący w zamku od środka. Dziadek sięgnął do kieszeni. Klucza który w nią włożył wychodząc - nie było ! I dopiero wtedy przypomniał [illegible] sobie, że kiedy [illegible] pierwszy raz do knajpki coś brzęknęło na kamiennym jej progu. Widocznie klucz ! Straszny widok jaki uderzył wchodzących do sypialni prześladował dziadka przez całe życie. Obok kanapy na której posłał był gościowi,leżał nieszczęsny kuzynek z rozrąbaną głową,kałuża krwi sięgała [illegible] progu,na którym się wchodząc zatrzymali. Dziadek wierzył mocno że gdyby nie ów ostrzegawczy sobowtór,który spowodował jego powrót do kolegów,byłby zamordowany przez rabusiów,razem z tamtym.

Żadna z córek nie była jeszcze zamężna,gdy w roku 1831 umarł pradziadek Leopold. Rada nie rada przygarnęła Babcię do

do swego domu hr. z Moszyńskich Fryderyka, ~~Fryderykowa~~ Moszyńska, córka również Fryderyka (!) magnatka, dziwaczka od wczesnej młodości, wnuczka dworaka z sasko-augustowskich czasów, właścicielka niesłychanych obszarów w Galicji i na Podolu, nie żyjąca z mężem, bezdzietna i - mimo bogactw i niezależności - uczuciowo bezdomna. Przez wojewodzinę Potocką znała romantyczną dolę wętzów i po śmierci ojca, uważała za właściwe pomóc bodaj jednej z pięknych, utytułowanych ~~xxxxxxx~~ dziewcząt. Wybrała najpiękniejszą - Wordulę, moją Babcię. Czy miała szczęśliwą rękę - nie jestem pewna. W jej domu poznała się z czasem Babcia z moim dziadkiem, a hrabina - choć bardzo marjażowi temu przeciwna - nie zdołała mu niestety zapobiec. Celinę i Elizę kształciła też swoim kosztem w jakichś "Stiftach", ~~xxxxxxxxx~~ ale nic bliższego o tym okresie nie wiem. Obie - i Eliza i Celina bywały zapraszane na wakacje do Hrabiny, które zwykle w Kozowie spędzała.

Babcia rosła tedy w zbytku ogromnym. Pani Moszyńska zajmowała w Lwowie dom, w którym się dziś mieści Hotel Europejski, zapełniając go cały swoim ~~xxxxxx~~ dworem, szatnią, stajniami, służbą złożoną wyłącznie z Kozaków, w barwie - tylko, jakoże do osobistej usługi nieznosiła mężczyzn, obsługiwana była przez dziewczęta i to niebieskookie blondynki. Innych bała się. Była osobna panna do straży nad srebrem, inna czuwała nad porcelaną... Co jakiś czas zjeżdżali się z dóbr ~~xxxxxxxxx~~ odleglejszych oficjaliści z raportami, co jakiś czas przywoził kozak stamtąd beczki grzybów, zalanych masłem, pod którymi taiły się warstwy dukatów... Taki fortel na ówczesnego, naiwnego, jak jagnię, bandytę... Czasem jeździła na inspekcję folwarków, przy czym jej zwykle Babcia, faworytka coraz większa, towarzyszyła. W Kozowie, jednym z majątków hrabiny, witał je zawsze w progu dworu zaufany urzędnik Knoff, we fraczku i z rożenkiem, w pluderkach i białych pończochach, z harcapem i peruką ułożoną nad uszami w trzy podłużne rulony, w każdym zaś rulonie, jeśli to było latem, tkwił przewleczony dużą ~~xxx~~ pasowy goździk - kwiatem przy obliczu, ogonem ku plecom...

Opowiadano też o nim, że raz, mając wyjechać naprzeciw pani Moszyńskiej, gdy z powodu zbyt obcisłych, jedwabnych ~~xxxx~~ kiloletów w żaden sposób nie mógł usiąść w karecie, pojechał leżąc wzdłuż na kolanach dwu siedzących w jej głębi hajduków, w pojeździe otwartym naprzestrzał, któremu z jednych drzwiczek wystawała biała peruka, z drugiej czarne, o ~~xxxxxxxxx~~ lśniącej klamrze i czerwonym obcasie trzewiki...

Podróże hrabiny po jej włościach odbywały się oczywiście trenem powozów i bryk z pościelą, serwisem, kotłowainą i ołtarzykiem polowym, z kucharzem i kapelanem, doktorem i czasem z jakimś artystą cudzoziemcem, gdyż hrabina wielbiła artystów i gdy się

trafił dramatyczny,mierząc na popiersie.w swoistym polu,kazała mu deklamować jakiś cudzy lub bohaterski utwór.

Hrabina Moszyńska była jednym z tych rzadkich już dziś typów,w jakie czasy owe obfitowały. Bogata,samodzielna,nie pozbawiona wykształcenia, głucha na całe gamy tonów z których harmonia życiowa dojrzałego człowieka się składa, bezdzietna,lgnąca wyłącznie ze względu na impulsy fantazji,czy sentymentu. Dobra dobrocią istot bezbronnych, nieobliczalnych, zainteresująca z wielkim coraz bardziej nie mającą nikogo, który jej zwróciłby uwagę na to,że nie każdy dobry uczynek ma sens, że nie tość rzucić garść złota,aby się stało coś pięknego i rozumnego...W stosunku do mojej Babci odegrała równocześnie rolę dobrodziejki i wroga,kto życie sierocie raczej popsuł,niż zabezpieczył.

Basia Babcia w niepedagogicznym wzięciu -słodka, [illegible] bierna, strojona i pełna, z nóżkami stale w atłasowych lub prunelkowych pantofelkach cieńkach.w sukniach wycięciach nisko i szeroko, z krótkimi rękawkami, czesana przez niemkę pannę służącą, zmuszona [illegible] wyłącznie z gleni powodu (gdyż ani nauczona ani Babcia nie [illegible] chadzały piechotą...) lub [illegible] ledy dowiezionej. Stałego teatru [illegible] bwczesny nie miał,gościł tylko przejezdne [illegible] ze swoim zespołem,opera, komedia - wszystko to " dopiero" tu tylko ze świata. Hrabina zaś namiętnie kochała teatr i stale dopiero po " spektaklu" siadało się u niej do [illegible] obiadu. Prawie zawsze ktoś z zaproszonych przyjaciół artystów siadał razem. Dla ciekawszych wydawała raut i miała wtedy ozdobę [illegible] upominkami.

Odbył się u niej taki raut dla Franciszka Liszta,którym cała [illegible] Lwowa była zresztą oczarowana. Po koncercie "tout Lémberg" zjawił się u pani Moszyńskiej. Po obiedzie Liszt grał.Bo raz oprócz byli Mr.Reverterowie, rodzina przyjaciół hrabiny - [illegible] przez nią - i młoda hr. Antosiowa Reverterówna z domu Hartmann,śliczna i przecudnie muzykalna,śpiewała jak wybitna artystka - miał i Liszt niespodziankę,jakiej rzadko doświadczał na arystokratycznych przyjęciach. Gdy wstał od instrumentu, podeszła do niego Basia - w białej sukience,w białych trzewiczkach, z białą różą w czarnych,gładko na [illegible] przyczesanych włosach - cudna taka pono jak zjawienie - i na dany przez hrabinę znak podała Liszтowi na białej atłasowej poduszce [illegible] szpilkę z ogromnym [illegible].

Wykształcenie Basi ograniczało się całkowicie bez programu.Pani Moszyńska wyrażała [illegible] jedynie dla głośnego czytania

księżek, które nauczyła czytywać, więc miała ustnie potrzy francuskiego, włoskiego, angielskiego, ale nauka bez stałej konwersacji szła powoli i skutek był ten, że Babcia tylko po niemiecku i po francusku mówiła doskonale, -po polsku najsłabiej. Ćwiczeń na fortepianie hrabina nie znosiła, więc nie było mowy o nauce muzyki, dopiero wspólna nauka z wnuczkami hr. Anny Kawczyńskiej Severtera położyła jakiś fundament pod babcine wykształcenie. Nigdy jednak nie mogło się ono równać z tym, co zdobyła ciocia Terenia i Celina. Zadaniem Babci, jak zwykle takich istot służących obok pań i pieseków za rozrywkę ~~xixxxzyxx~~ starym, zdziwaczałym ~~xx~~ oczom, był ~~T~~ ontwinszek - ciągłej obecności. Jednego wysiadania, głaskania, ułożenia, pocieszenia nudy, czającej się we wszystkich kątach. Prawie na ~~xyx~~ wypiała do południa. Pani spała musiało być w domu cicho jak makiem siał. W południe pięła śniadanie, około czwartej się kąpała - wlewając codziennie do wanny flaszkę wody kolońskiej - potem obiad jedna'a z Babcią na spacer lub cems z wizytami.. około szóstej drugie śniadanie potem teatr lub koncert i około północy.

Mimo dziwactwa, a może właśnie dla niego, była pani Roszyńska ludziana przez swoich podwładnych. Nikt nie mógł przewidzieć co w danej chwili zrobi ten pan. Jednakże nie wyrzucała nigdy nic złego nikomu. Zaprzyjaźniła Babcia różne towarzyszki jej oficjalistów, uposażonych świetnie, traktowanych familijnie, zamożnych do stołu obok gości, zaproszonych nierzadko do loży... Jadzia Babeczkina zwłaszcza, koleżanka, krewnej szlachcianki i żona jednego z pełnomocników w dobrach pod Kijowem, pani Bogoyska, zaprzyjaźniła się bardzo. Pani Bogoyska miała być drobną, pięknie złotą ~~xx~~ otoczynkę, którą mi Pani Opisywała w jakoś z rzeźbionego drewienka, ozdobnej wokół robótki. Pracowicie haftowała i wyszywała bywała do białego haftu, gdy hrabina sprawiała sobie nowe tuziny bielizny, jedynej największym, osobistym jej zbytkiem. W gorące miała pani Roszyńska zwyczaj chodzić cały dzień po swoich apartamentach w długiej, batystowej koszuli, co przy wyjątkowo niezgrabnej obsłudze w pokojach, było raczej ciekawe, niż gorszące. W pokoju, przy zapuszczonych do zachodu storach, było ciemnawo i godzinami w tym pół-mroku musiała Babcia czytać głośno, podczas gdy hrabina rozcinała nowe tomy zagranicznych nowości, złożone w jej salonie pod ścianą w wysokie stosy.

Nie kto by się domyślił, że swatka Babci z pokojowym była teatralna pani hrabiny. A było właściwie tak :

Zbiegł z Francji w czasie rewolucji niejaki Jacques Pierre

de la Tour i osiadł się na południowych Węgrzech, gdzie nabył jakieś winnice. Nie wiem o nim nic, mogę się tylko domyślać, że był człowiekiem solidnym, gdyż wiesć o tym, że mu syn Joseph Monné uciekł z trupą wędrownych komediantów, przyprawiła mu ojciec. Uciekł na apopleksję. Jak nazywała się matka Józefa - nie wiem. Ów tymczasem bujał sobie z trupą teatralną po świecie, występował w komedjach, w operatkach, grał role komiczne i dramatyczne, malował kulisy, gadał wszystkimi językami, grał na skrzypcach i na fortepianie, głos miał pono bardzo piękny. Z latami ustatkował się o tyle, że stał się rodzajem impresaria w lepszym stylu. Trupa aktorów przez niego założona miała doskonałą markę i w tym charakterze znalazł się pan Józef Monné we Lwowie. Szereg przedstawień przez niego urządzanych zainteresował hrabinę Moszyńską. Zaznajomiła się z dyrektorem zespołu i zaczęła go zapraszać. Dowcipny i obyty Francuz przypadł jej do gustu niezmiernie, że zaś był już żonaty z Anną Rzepczanką, lwowianką, córką metra muzyki i miał syna, Karola, bardzo zdolnego i urodziwego, zaczęła hrabina protegować tego syna, wreszcie kształcić własnym kosztem. Oczywiście nie mogło się obejść bez zapoznania się obojga pupilów hrabiny, tegoż Karola Monné i mojej Baoci. No i - jak się rzekło - wyniknął z tego marjaż nieszczęśliwy strasznie, zwłaszcza dla Baoci, która całe życie nie podźwignęła się po klęsce zawodu na człowieku szalenie i do ostatniego tchu ukochanym. Z mężem nie była wcale rozwiedziona, ale go opuściła własnowolnie, nie mogąc znieść poniewierki za ciężkiej i mieszkała najpierw sama, z małą Mamą, następnie w domu cioci Tereni, później u siostry swojej Celiny, potem w domu moich rodziców lub na Storożce. Wreszcie u nas, na Zaświeciu, w roku 1901 życia dokończyła.

Józefa Monné, swego dziadka, pamiętała Mama dobrze. Staruszka tego bardzo mile wspominała. Na młodym gospodarstwie jej rodziców, ojciec mego dziadka mieszkał razem. Nosił długie włosy, były srebrne zupełnie, niesforne i bardzo Mamę inspirowały. Wolno jej było stawać na fotelu za plecami dziadka, brać grzebień i rozczesywać je " byle bez pomady", jak zastrzegał, gdyż mała mając trudności z ułożeniem ich ułożeniem, miała zwyczaj pluć na grzebień.... Dziadzio malował bardzo zręczne dekoracje, panneaux na ściany i dobrotliwie się do wnuczki odnosił. Wycinał i kolorował dla niej małe laleczki, które stały się z czasem protoplastami dość rozrodzonej rodziny niejakich Pinkasów, ale o tym kiedyś później...

Własnego ojca natomiast bała się Mama jak widma.

Bała się nawet wszystkiego,co miało z nim związek. Choć była wtedy malutka, czuła krzywdę matki i,jak sama opowiadała, ze wstrętu do ojca przeskakiwała zawsze kwadraty posadzki w bawialni,po których zwykł się przechadzać. Byle nie tknąć miejsca,które jego podeszwy dotknęły ! Gdy w sąsiedztwie,dziewczynkom z którymi się często bawiła,umarł ojciec i dzieci,rozpaczając za nim,zaczęły pisać"do Nieba" listy do Tatusia (żałosną skrzynką pocztową były im paszcze dwu kamiennych lwów w ogrodzie...) powzięła Mama dla towarzyszek rodzaj ~~pogardy~~ wzgardy za to,że mogą tak dbać o ojca,który wedle jej pojęć był jedynie strachem i zgrozą. Jakież jednak mogło być inaczej?

Dziadek posiadał jakąś prześliczną szpicrutę z rączką wysadzaną turkusami. Przedmiot ten leżał czy wisiał gdzieś wyżej niż go dziecko mogło dosięgnąć. Podobał się jednak tak bardzo,że czy wprost czy za pośrednictwem Babci napierała się bliższego z nim zapoznania. Dziadek mój zawołał wreszcie małą,zdjął pożądany objekt z gwoździa czy z półki i kazał jej położyć obie rączki na brzegu stołu.Nim przewidzieć zdążyła co nastąpi, ojciec trzasnął ją z całej siły po leżących ufnie,małych rączynach...Taki był dowcip...

Wspominała też Mama inny, równie chyba okrutny. Oto raz,gdy mała migała palcem poprzez płomyk swiecy,ucieszona że to nic nie parzy i że to tak można - ojciec,zaszedłszy ją raptem od tyłu,chwycił i siłą przytrzymał jej rękę nad swiecą ! Jeśli to miał być chwyt pedagogiczny mający na celu oduczenie dziecka na zawsze " igrania z ogniem " trudno nie oniemieć z osłupienia nad taką pedagogią !

W pokoju Dziadka stała wielka szafa z książkami,zasłonięte czterema,luźno wiszącymi,chińskimi smokami, haftowanymi na zielonawym jedwabiu. Były to stylizowane sepie,o ślepiach wytrzeszczonych,całe nastroszone jakby złotymi płomykami - pyszne i w ruchu i w kolorze. Pochodziły z Drezna, z okresu,gdy król August urządzał słynny chiński pawilon. Darowane zostały przez Aurorę Koenigsmark (a może Hr Kozel?) dziadkowi ~~[illegible]~~ hrabiny Moszyńskiej,ta zaś darowała je Babci.

Mama, tak się bała ojca, jego szafy z książkami i tych wydymających się przy każdym otwarciu drzwi,haftowanych straszydeł,że raz, zakradła się z nożyczkami do pokoju, wsunęła się pod firanki, aby nie widzieć z bliska wytrzeszczonych oczu i zawsze jakby żywego oddechu złocistych gadów i - tnąc od lewej strony długo i cierpliwie, spruła i pocięła w kawałeczki trzy znienawidzone, drogocenne ~~[illegible]~~ hafty... Owa sławetna,wysadzana turkusami szpicruta dziadka została dnia tego ponownie zdjęta z półki... Zostawiła na

ano rękawe uparcie wlepionych ślepek oleum, krwawe przeł(ser
o tym z relacji ojca Piotra.) ostatni, czarny obuwiały hart ciel
jest w ostrzu na Zawiecia *

Zbigniew ów jest jedny z tych ludzi, dość często prze=
tu, którzy są rzeczą kir innym dla dora, a inny sobie ludzi, rza=
rzeczą pełno ozerującą, miał rzadkie przyjaciół i przyjaciółek wie=
dzieli także) śpiewał forte grał znow dziewczęcie gitary, jednota,
należał do wojskowych związków i robił zarzeczyen, w zawodzie mo=
że wyrosła'ony (przeżywał za granicą) nie uczestniczył pełnią
szlachetna- obywatela ucz zarzutu. Ma wrażenie, że wyjął jego ojca
głęboki i bardziej istny od babcinego. W tym jednym punkcie
skłonna jestem to twierdzeń, naturalnie do pewnej granicy, bolicz=
ność ta nie usprawiedliwia/xxx oczywiście czynów i farsy w
jakiej zaczął żone wreszcie a życie ze dziwne urządził.

Od pierwszej niemal chwili zabrunie, był pacz niezwykły.
Inteligentny, raczej wrażliwy na kobiety, nie zwracał na wszystkie
strony. I ocaz żony jednakowo był jako przyjaciół'kara, zwłasz=
cza teraźniejsza. Tam z dziecinnie naiwnością'a pacze dziwi bez
mała zwyczaj.

Kobieta, która by'a powodem ostatecznego rozpadu małżeństwa
małżeństwa tamci, była narzeczoną młodszego brata pana domu.
Wyjątkowa kobieta. I pora lat po zabrunie się dziadek, który
zaręczył się z panną przyczyniewską. Jakaś rolowobiała'a panna
"Zbawicielka" bywała tak w domu braterstwa narzeczonego i urzęd=
a czyżem to wiązo ilitacz, wiadomo nalna było do tego pobożne
Zapiski :

" Iwa romowej powiedziała. Czy=stwo dobre jej xxxxxx
życzę z duszy. Lecz ją ran bij pocałuj tak jak ma mnie, bo
przez nie wiele dobrego doświadczam..."

Ale nam zdaje się, że Pana Jana panna dopiero wkroczy się
na zakręcie za ostatnią się i ogarniającej fady ocami Zabrzia -
rzeczna i o duś b'ędzie...

Po wielu lat później dowiedział'a się od pana Tereni o

---

*) Dwoki te musiały istotnie mieć w sobie coś fascynującego, y ró'
niemi chyba później, podobny los musiał spotkać [illegible] z
oczami'sem sępii. Dziecz nazywała ją "Dziwa" z nią [illegible]
była, starszy od niej duch zdawał się na rycerski, coś równie ni=
ezwyciężonego gest i wystrzyg' oczy kattova. Dziewczęcie jednak dało
się podbarować i z'ociała furia na pożegnanie [illegible] zwier=
rzałeo pożałowania, że do spotkania wojny a [illegible]. W tą [illegible]
ale [illegible] na ścianie hasła "Zawsze Lwowianin".

powodzie
właściwym **powodzie** tej sceny: dziadek mój uwiódł narzeczoną brata, który w rozpaczy przeklął żonę uwodzicielą, ale skutki wziął na siebie. Babcia, zabrana zaskoczona i zarazem młoda i rozsądkowa w rok, nie była zdolna wysłuchać prośby panny /cnańci, czyż równocześnie wydała wyrok na siebie. Dziadek przeniósł się ze Lwowa na stałe, zaślubił bez skrupułów z panną Przyczyniewską i razem z nią 14-cioro dzieci. Ślub jednak wzięli dopiero po śmierci Babci w roku 1901 w Przemyślu. Zdradzał ją gdzie się dało, tyle, że ona była wytrzymalsza od Babci, która cicha i złamana, zapadła w cień na całe życie. Pochając tego złego człowieka, nie myślała o nim prawie nigdy, ani się tym mniej nigdy nie skarżyła sama.

Najpocieszniejsza ciocia Terenia rozejrzawszy się wówczas w położeniu, wzięła sama ~~xxxxxx~~ w ręce losy siostry i Mamy. Babcia ani energiczna, ani praktyczna nie była nigdy, a surowego wstępu do życia ugodzona okrutnie, ~~xxxxx~~ apatycznie jeszcze zarad- na się stała. Ofiarny poświęcek Cioci uwolnił ją od egzystencję spokojną i uwolnił od poniewierki.

Dziadek interesował się jednak Mamą, próbował podtrzymać z nią stosunki, do których, jako nie rozwiedziony miał jej ustawowo prawą swobodę. W skutek tego jawił się czasem w mieszkaniu cioci Tereni. Skrępowanie stałe co. stron cechowało te rzadkie widzenia. Czy co materialnie pomagał w owych czasach tonie nie wiem, ale wątpię aby to mogło w ich położeniu coś ważyć jeśli by nawet tak. Od czasu do czasu obdarzał córkę czymś rodzinnym i ładnym. Mówiła też że zawsze, ilekroć rozmowa zeszła na drażliwe tematy, podkreślał z wielkim naciskiem, że nie on usunął się pierwszy, ale Babcia dom jego opuściła. Było to prawdą - ale jakże zrozumiałą !

Dziadek był na ślubie moich rodziców a potem parę razy jeszcze na ich gospodarstwie. Przy jakiejś niewiadomej mi bliżej sprzeczce na temat herbarza Paprockiego, leżącego u Ojca w pracowni, co dało asumpt do dyskusji politycznej, tak gorącej, że zakończonej ponoć cśnięciem przez dziadka książkę tą o podłogę - urwały się nawet te, i tak już znikome, stosunki na zawsze.

Widziałam dzieckiem w przejeździe do Krakowa dziadka mego na dworcu w Przemyślu. Pokazała mi go Mama okno wagonu. Był niski, ubrany w czamarę burą z barankiem i granatową rogatywkę. Już siwy podeszedł wielce do Mamy, z głową jakiegoś cygańskiego z czarnych kręcia Alby, domagającą się białej kryzy i czarnych aksamitów.

Znajdują się u mnie dwa wizerunki dziadka mego. Jeden - rodzinny przez Mamę medalion, profil w czapce baranikowej, drugi - rysunek ołówkowy Tatka, nie licząc kilku fotografii.

Powieściowszym od powieściowego przypadku, gdy Mama widziała małego Luka ze Schodnicy na ~~xxx~~ Storożkę, gdy ~~xxx~~ z kasią-

niemą znajdował się w pierwszej w życiu podróży,wstąpił w Stryju do przyjaciela tego swego przedziału dziadek rodzonej. Lko w oko zetknął się z Marią. Zbyt byli do siebie podobni i Maria jeszcze w wozie na tyle rozumiała,że nie mogła jej nic powiedzieć. Cofnął się tedy i niebawem przyszedł posługacz po jego walizkę,który przed chwilą zdążył już pożegnać się na stacji...

Z opowiadań Mamy pamiętam to jeszcze,że jedynym domem w którym Maria małą dziewczynką bywała z ojcem,był dom jego serdecznego przyjaciela Adama Żaroyskiego,patrioty ale i kwiatka i człowieka wielce wszechstronnego,którego wpływ mógł nawet znacznie a ujemnie zaważyć na biografii małego dziecka. Mr Żaroyski miał dworek przy ul.Zielonej,w którym mieszkał ze swoją podówczas jeszcze gospodynią i córkami,które mu urodziła,ale familija jego nie grała głównej roli w tym domu. Było to jakby wielkie przytulisko wszelkiej biedy narodowej,rozbitków,emigrantów, stacja posiłkowa dla głodomorów i przejezdnych " działaczy" sprawy,którzy ciągnęli do pana Adama,jak w dym.

Stół wielki,jak rok długi nakryty zawsze,zastawiony jadłem i opchany " rodakami", pan Adam (uczniowi Pawle nie wolno !) pośród nich,perorował,agitował uświadamiał,działał... Demokrata purpurowy, pożarty ze swoją sferą,prowokował jej opinię swobodnymi przekonaniami,dziwacząc się do tego stopnia,że gdy się zawzięty obcasy pałacyk Żaroyskich pod jego kierunkiem budował, córki musiały na równi z robotnikami dźwigać cegły z wapnem,podawać cegły. słomą przesuwać jak i oni, dla przykładu.

Pan Żaroyski był świadkiem ślubu Niałków,w którego metryce (Tadeuszowi copulationis) nazwisko jego figuruje.

Dziadek mój - prócz nazwanego już,zięcia na równi z Bubrem przez brata skrzywdzonego Albina - miał jeszcze dwóch innych braci (Józefa i Michała) i pono siostrę,że ani jej imię,ani żadna wzmianka dotychczas jej losów to wcale nie dotarła.

Michał wujowany w młodości przez ul.Teodyzjusza często by się chciał wtrącić i jako przedmiot najlepiej znał - oświadczył' pewnie - cukiernik i Bubrina rzecz całą dowiedzieć i dość go zachwalić na cukiernika. Miał potem na Lwowie cukiernię i był niemiary z siostrą przebudził Pinki dalszej o jakiej roli zdążę opowiedzieć później...

Bogdan Lubrik Bubr,w całym brzmieniu,rodzinnym nazwisku, wziął zdecydowanie stronę skrzywdzonej brzozowej i całej familii,dla której zwłaszcza ciotka jego stała się trudnym przeżyciem jakimś. Wielki talent Bubra i Duży był to wielki talent aktorski.

...ale'y być ostry w rodzaju pożegnania wreszcie. Pierwsze, ...kilka... i pamiętam, które stosownie do ...tych w pięciu, po kolei, wiersz, po francusku, mały był ...przydzielany... jako temat i jako interpretacja. Układał je sam ... (duchowny) religijne, różne nowe koncepcje. Tu, ... świątecznego wora tańc... Francuza, burzuja przy oficerze ... i oschłych rezydenta - miały być ostre nagromadzenia. Wiersz ten ... nauczył na pamięć i przepadły razem z życiem człowieka, po którym tylko ten kilka ... zostałem tęsknotę na pogrzeb i ... razem z paru fotografiami i jednym listem po niemiecku ... do Babci. Nie - po'a tego na całe jego ... dobrze, podpadła mu się niefortunnym pomysłem. Oto narysowała mu na ... jego białego munduru, węgierki czy ułanki, przed natarciem ... gorzej, przyprawiło mi o pewną ... tym on się wydawało, poszedł bezpośrednio do komendanta... ... sobie ... ...

Jednym z najciekawszych wspomnień Mamy z dzieciństwa jest jedno, do dziś tajemnicze, które [illegible] właściwy jej, bardzo żywy i malarski sposób opowiadała mi kilkakrotnie.

Oto raz, dość już późnym wieczorem, dała Babci znać pani Eyringowa, jej przyjaciółka, że odbywa się u niej właśnie zebranie, na które Babcię wzywa niezwłocznie. Jakaś była racja dla której i mama Mama została zabrana razem. Pono nie było jej z kim zostawić chwilowo, czy coś podobnego. Gdy weszły, znajome mieszkanie było już natłoczone takim ściskiem, że z trudnością posuwały się, by dotrzeć do państwa domu. Złe ówczesne oświetlenie utrudniało orientację, zwłaszcza dla oczu dziecka o tyle niższego od innych. [illegible] Było cicho, jak w kościele, mówiono tylko szeptem. Jedni posuwali się w głąb pokojów, drudzy wychodzili. Coś w najdalszym kącie pokoju znajdowało się takiego, co było oglądane z nabożeństwem. Pani Eyringowa objaśniła o tym czymś Babcię. O małą Mamę mało kto dbał, radziła sobie w ścisku sama. Po jakiejś chwili, przepychając się pośród powłóczystych spódnic i długich czamar, znalazła się w owym najgłębszym kącie i zobaczyła zielony parawan, za którego skrzydłami paliły się świece. Widziała na tle zielonego przeźrocza cienie poruszających się nisko głów, ruchy rąk. Coś się tam działo dziwnego, słychać było [illegible] jakiś odgłos monotonny, jakby ktoś modlił się pół-szeptem... Czasem któraś z kobiet zapłakała... Zresztą cisza i tylko pełen uszanowania szmer posuwistych kroków, ludzi nadchodzących i odchodzących... Wreszcie, jakoże takie dziecko mało miejsca zabiera, przegniotła się Mama za zielony skrzydło parawana i zobaczyła scenę, na całe życie najwyraźniej spamiętaną. Na klęczniku pani Eyringowej modliła się zakonnica, z głową w czarnym, sukiennym zawiciu, z obnażonymi po pas plecami. Resztę opływał czarny habit. Do kolan klęczącej schylały się kobiety, przyklękali na jej widok mężczyźni, wyciągały się ręce z różańcami i szkaplerzami, którymi dotykano jej obnażonych pleców, podczas gdy ona modliła się pół-głosem. Wszystkie spojrzenia pociągały te właśnie plecy, pokryte gęstymi nieregularnymi bruzdami, z których niektóre były różowawe i głębsze...

– To jest święta męczennica... Bili ją Moskale za Polskę i wiarę... – objaśniła dziecko jakaś stojąca najbliżej pani.

Ale Mama przerażona i wobec niespodzianego widoku nie skora do nabożeństwa, nie zdobyła się na odwagę dotknięcia blizn obnażonych medalikiem, podanym jej przez kogoś.

[illegible] się z [illegible] [illegible] [illegible]

W czasie powstania Stocie roju i Puna wiesnxs'y już razem z Stocią Terenią w Zakładzie jej naukowym, przy pl. św Ducha. Puna miała lat trzynaście, bardzo zarania zawsze i przytomna, używana była na posyłki pewne, rozwozenie kartoszki do rodzin nadesłane oczywiści z terenu walk, czasem ustne wiadomości, których kartkos powierzyć nie chciano - ani - nawet do wiadomości u jarzelitów nasz'a prowincja. Znajdowała się często pośród nich powracająca z wariatów od góry, poniedzy świątki gesim piórem, którego ciwor zaty-any ey' dla uczczenia z pozostałą zieloną " potrzeby" owocu. Z pustej ruiny tego pióra tkwi zwitek ciemi z jakimiś jakimi porozumieniami czy bo-nie, czyen.

Sy- Jak'ai Cioci prowadzi' wierzę na zarody przyszłe zaczynające, które pod ochroną ozkolnej tarczy niemieckiej i niemieckiego nazwiska właściciela, jakoś przetrwały wiele lat. Pamiętam ; pewnie [illegible], Bronisława [illegible] wiedzą Krzycy, pojęcia [illegible] oraz ola swej realnej, pełnej [illegible] ziemi, który raz, w pewnie [illegible] wyda'a w nocy rewizja do tworu, pałaszami wrzuc z piórem [illegible] tajnego [illegible] w swój komin. Tam oczekiwanie wiadczyn pogodzi krzyża się z nim piszcie ani słowa, nawet wtedy gdy ojciec rewizji wyciągał go z góry, na oślep przeszukując [illegible] ściany g'ęsto zamiast. Ale znalezione jej, ale gdy [illegible] pióra [illegible] potem wyjęte z [illegible] ze wszystkie, mimo o ewi późniejsze pieczy... Pamiętam [illegible] i cały zwitek [illegible] fotografii i o którym [illegible]. [illegible] wszystkie [illegible] w pamięci, co gorsza - przejęły fotografie.

Wieczorem [illegible] w [illegible], przy stole zalutanym wojskami [illegible] stoi, na którym potem [illegible] często [illegible] się [illegible], pali'o naboje, czyli [illegible]. Cena wy-[illegible] była zawsze tak, gdy w momencie gdy'a przerwał pokój [illegible], w którym [illegible]. Nad [illegible] [illegible] do kuchennego [illegible] [illegible] [illegible]

Wówczas też, zostało w oczach tych ciągnie krytycznej sceny w przedpokoju. Przyszły świadkowie. Byłaby to często pełna z artystokracji,elegancka zawsze w takiej formie pozycji społecznej. Ze zaś pewnych obyczajów skłaniała na owe powstające biżuterii rzeczy, ciężkie,podawały tutaj mieszczki czarny worek aksamitny,sporych rozmiarów,w który się rzucało kto co miał, biżuterię razem z bielizną wysłała do przejrzenia,gdzie przybyłe stały. Zapomniała Pani jak Dulcia siermięgą **xxxxxxxxx** spiesznym ruchem obu rąk ku zapięciu na szyi,na której stale nosiła sznurek pereł. Wtenczas wszystkie na powietrzu i zadźwięczały we wnętrzu czarnego worka. Nie spóźniała się kanonieżka Alojzja,jaki los spotka jej pełne perły,ani ciotka Charlotta Jordan,która je Babci,jako narzeczonej, przysłała! Został po nich ślad na **xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx**,wiszącej na ścianie,miniaturze Alojzji Louisy,i ta wyrowna zdawka..

W **xxxxx** tym też czasach,nieznany morderca- mściciel,zaszty-letował był na Placu Castrum szpiega Kuczyńskiego. W teatrze Skarbka odbywało się właśnie przedstawienie. Wieść o spełnionym zgonu także, przebiegła w mgnieniu oka widownię...W moment potem wpadł do mieszkania jakiejś państwa (nazwiska niestety !) blady i poruszony młody człowiek,oznajmiając,że przed **xxxxxx** momentem wykonał wyrok na Kuczyńskim...Błagał o przebranie, fałszywy paszport i pieniądze na ucieczkę.Nie było chwili do stracenia...W mig opatrzono go wszystkim potrzebnym i znikną!. Niebawem wydało się,że człowiekiem tym był znany policji rzeźnieszek, który,obecny wówczas w teatrze, wpadł błyskawicznie na pomysł wykorzystania momentu,co też z takim powodzeniem uczynił.Właściwy zabójca zdrajcy - o ile wiem -pozostał do dziś nieznany.

W pięćdziesiąt lat od tej epoki,na urządzanej ku upamiętnieniu daty Wystawie we Lwowie, oglądać można było za szkłem witryny ów sztylet,którym zabito Kuczyńskiego.Znajdował się w zbiorze niejakiego Leona Krzemienieckiego,pośród ogromnego mnóstwa pamiątek **xxxxxxxxxx** powstańczej doby,dokumentów,druków,autografów,pieczęci,broni i wizerunków. Pamiętam że,gdyśmy **xxx zbiór** Krzemienieckiego oglądały na tej wystawie, podszedł do nas on sam, zbieracz (**ktoś go nam przedstawił**),człowiek dziwnie odrażającego wyrazu, o lisich rysach i małych,czarnych oczkach. Uraczył nas jakimś obleśnym frazesem,czyniąc aluzję do Grottgera i związku jego twórczości z powstaniem i z Nim. Nie lubiła Pani takich komplementów,płaciła za dobry smak i słuch,any nie wyczuć ich gładkości... Odliczywszy jednak subiektywny odrzut, nie mogłyśmy nie być pod wrażeniem dużej zasługi, jaką miał ten człowiek,zebrawszy istotnie imponującą ilość przedmiotów i materiałów mających **xxx** dla historii powstania ogromne znaczenie. Ja nawet -wyznaję - poczęłam tym motywem, zagadnęłam Pana,czy nie zechciałaby dać

Krzemieńieckiego do jego zbioru garstki fotografii z owego czasu, jakie są w domu. Zgodziła się natychmiast i wraz ze mną uznała że takie okruchy trzeba łączyć i że z osobna są narażone. Pamiętam, że ze wszystkich prawie szuflad, szafiadek i albumów wyjęła co miała i za następnej bytności na wystawie wręczyła Przemienieckiemu. Tak poznała się tej z nim w czasie wystawy Zofia Marczanka, angażująca już w wojsku w atmosferze powstańczo-konspiracyjnej i rozmawiali chwilę dłużej na temat dokładnej a trudnej do dostania wojskowej mapy Królestwa Polskiego, upragnionej przez Zofię, a którą to mapę przemieniecki przyrzekł jej dostarczyć, byle mu karteczkę o tym przypomniała, bo zapomni łatwo. Było to na rok przed wybuchem wojny w 1914.

Podjął się jeszcze przed zamknięciem wystawy, a nie wiele później, gruchnęła wieść o aresztowaniu Leona Przemieniecskiego, jako groźnego od lat szpiega na rzecz Rosji. Ilustru uczonego, dziedziniarza, który całe istnienie dedukcjom na nie poświęcił. Wiedziały dzienniki, gdzie sprawa Przemieniecskiego ciągnęła się. Nie słychać było ani o spisie ani o wyroku. Siedział zamknięty. Było wiadomo. Zbiory, które z szaleńczą cierpliwością stworzył dookoła siebie niestrudzony zapaleniec ... co jasne ! Jeszcze przyszłych - i potem rzecz o szpiegostwie ?!) nie wiadomo ci gdzie się podziały.

Już po jego aresztowaniu zaszedł był na Krzemieniec jego syn, dziewiętnastoletni, rudy, wiecznie wyrostek, z obrazem jakowy trudniej się rozpoznania. Widziała się z nim Zofia i rzeczą oczywistą nie zainteresowana. Trudno z nim było porozumieć się, więc z obrazem rów... Potem wybuchła wojna.

W czasie pewnej bytności we Lwowie, spotykałyśmy przemieniecskiego to w tramwaju, to na ulicy... Ciągle zapewne w pytaniu, zapomniany w zgiełku przez urzędujące autorytety władze, a teraz całym wałęsanej wolności... Po powrocie jesienią - rzecz prosta - już go we Lwowie nie było.

Natomiast dowiedziałyśmy się (nie pamiętam, jak) że ojca jego zginął w Zagłębiu...

Między Krzemieńcem a św. Tadeuszem było jeszcze Wilno św. Andrzeja. Dużo - to od Wilna - zawsze przeszkadzało zetknąć się z tym dużym ośrodkiem. Później ja już chyba pisywałem ojcu niczego nie zapamiętałem. Tylko nazwisko [illegible] ogólnie znajome. Ale przypadku nie zapamiętałem nie, że ci pa-

...ców, którzy u nas bywali, dalecy byli od sugerowania we mnie przeczuć w tym kierunku. Chodziło o emocję, co się pokaże na czasie, gdy po=strzępiony, ciepły i rzekry wosk podłogę czyjś ręce pilnie tarły a okna szczelnie zamknięte drzwi... Chodziło o coroczny smak, który po kilkakrotnym przesączeniu wróconej substancji, napełniał wszystkie pokoje... O siateczkę trzepiu łupinek z zapalonymi świeczkami na wielkiej, rozłożonej ściereczce.. Były wróżby z drzewinkami, karteczkami na których wypisywało się kilka imion - dla mnie wszakże główną rzeczą był topiony wosk i pływające świeteiła.

Św. Mikołaj - zanim zaczął żywać osobiście i przerażać głosem poczciwego pana Stefana Grzywińskiego, odgrywany w podejrzanie znajomą aksamitkową kapę z łóżka naszej sąsiadki, pani Grylińskiej, - ograniczał się do " podrzucania " w nocy wielkiej, papierowej torby, pachnącej pod poduszką jabłkami i piernikami, chrobocącej od włoskich orzechów i innych niedocieczonych po cieniu przedmiotów... Nam raneo, gdy się już dor przetrząsał od wyjeżdżających powozów i gdy już kowal-sąsiad kuł - odnacywało się ją ~~xxx~~ ~~xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx~~ pięzy właściwy spanem a powtórny zasnięcie. ~~A-e w~~ Dzień dopiero następowało patroszenie torby i spożywanie o niebywałych porach pierników i pomarańcz... ~~Sxxxxxxxxxxxx~~ Św. Mikołaj ograniczał się zrazu wyłącznie do przysmaków i długo niczego innego nad rzeczy jadalne nie znajdowało się w torbie. Wierzyłam ślepo w nadnaturalne pochodzenie tak świętomikołajskich jak choinkowych smakołyków. W końcu - jedno występne sięgnięcie do kieszeni mamlnego, żółtego futerka zachwiało mocno moją wiarę. Powodowana ciekawością co też Mama z miasta przyniosła wydobyłam z głębokiej kieszeni dwie porcelanowe strojnie odziane laleczki. Nim się zdążyłam ucieszyć wsunęłam je z powrotem, zawstydzona głęboko moją ciekawością. Im bardziej podobały mi się te lalki, tym winniejszą czułam się wobec Mamy i żółtego futerka, tym srożej ~~mx~~ wyrzucało mi sumienie, żem jej ufność zawiodła, a sobie popsuła radość przygotowanej z takim kochaniem niespodzianki. Nie pisnęłam jednak słowa o całym zajściu i czekałam...Nie było bowiem wątpliwości, że lalki były przeznaczone dla mnie. I oto w jakiś czas po ~~xxx~~ tem znalazłam je pod drzewkiem, niby od Aniołka ! I wtedy jeszcze nie przyznałam się nikomu z domowych ani do owego grzesznego sięgnięcia w kieszeń, ani do nagłych wątpliwości w zaświatowość darów... Wreszcie, gdyśmy raz z Tepą siedzieli wedle zwyczaju na zielonej kanapie pod lustrem, zwierzyłam się ze wszystkiego...Że uczciwy aby podtrzymywać złudzenie, wydobył mi jednak na pociechę własne wspomnienie z dzieciństwa, dosyć do mojego zwątpienia podobne...

I jemu, jako małemu chłopczykowi, podkładał św. Mikołaj

przysmaki pod poduszkę. Ale Tepa był jeszcze ciekawszy odemnie i dręczył pytaniami starszych. Wtedy ojciec oświadczył mu stanowczo, że św Mikołaj tylko takie dzieci obdarza, które mu dają. Podejrzliwe nie dostają nic. Tepa, który nie wątpił w nadprzyrodzoność zjawiska, ale chciał je chwycić na gorącym uczynku, postanowił urządzić zasadzkę na świętego. Udał, że śpi a leżąc cichutko czekał co będzie. Wreszcie pochwycił w przyległym pokoju ostrożne postukiwanie drewnianej nogi (ojciec jego stracił wyż własną w powstaniu listopadowym) drzwi cichutko się otemknęły i znajomy stukot kuli o posadzkę zbliżał się do łóżeczka. Ojciec usłyszał szelest papieru pod poduszkę i już nie było wątpliwości. Wówczas wpadł w rozpacz... Wyrzuty sumienia, żal za złudzeniem, rozczarowanie dowrocią ojca były zbyt nagłe i wyczerpały gwałtownym płaczem, z jakim nieszczęsny badacz cudowności przypadł do ojcowskiego kolana..

Długo przed Bożym Narodzeniem wiedziało się, że dnia tego będą...

Najpierw przynosiła kościelny opłatki, które się kładło za zielonym, jak szmaragd, kryształowym talerzykiem., Józia zaś wiadomo worek z mąką na przypiecek, aby solała. Choć na oko nic się nie zdawało, czuć było, że jest całkiem inaczej niż w inne zimowe dni...Jakiś pakiet zajrzany w głębi naszej sieni, odrobina porządku na podłodze... Z innych też uczuć patrzyłem na gwiazdę wieczorną, jedyną taką dużą, jaką moje oczy dostrzegały. Wiedziałem, że to ta, krzykrólewska... Wreszcie jawiły się rodzynki na kuchennym stole, które Józia wieczorami oglądała. Wolno mi było przy tym asystować, choćby dlatego także, że w tym samym czasie złociło się w pokoju otrzęsiny. Adaś spał zwykle wcześniej od nas i nie miał żadnych podejrzeń...

Kiedy się Józia wyprawiała po ryby był to znak, że już tylko dwa, trzy dni czekania. Zdejmowało się stary, szary, porcelanowy garnek z wysokiej półki kuchennej, zawsze ten sam i w nim potem przechowywała się siedzona ryba, według przepisu babci Hodkiewiczowej, przyjaciółki pana Kubrego. Ostatnio kwiat nie chciał. Galaretka tej ryby jarała się przy willi, rozlewała się w szklanych tych starych, szarych garnkach. Pani Sara pilnowała przyrządzania tej potrawy, jak i wyjmowania wszystkiego do stołu, także wedle dawnego przepisu z domu Tatów rodziców. Ciż to była za doniosła okazja, gdy to samemu nie było wolno, co " ciasto robić" ! Przedtem i podczas wyjmowania zdań tego...niczenia i wszystkiego innego z kredensu talerzyk rodzynków - bywało pusty. Potem zwykle się w tajemnicy przyglądałem a przejmowałem zwykle jakiś - jakby ! Nie warto było czekać, gdyż nadzwyczaj rzadko, bardzo "rzadko" zdarzała

Odnosnik do str 68

)*

Kiedy już jako narzeczona, poszła Mama przed slubem " po krzyżyk" do pani Sawczyńskiej, godna matrona, o gorzkim i raz na zawsze wzgardliwym wysunięciu dolnej wargi i zawsze lekko przymrużonych oczach powiedziała niechętnie :

- No, już ja tam Wojskich nie lubię, ale daj ci Boże samo najlepsze...

Owo " już ja tam Wojskich nie lubię" stało się potem u nas umownym skrótem dla czyjejś nikomu do niczego niepotrzebnej prawdomówności.

[illegible]

[illegible]

[illegible]

Anna Legadé, zawsze ktoś... Przy kolędach zwykle Tatko wstawał niezauważenie i zaszedłszy do salonu drugimi drzwiami, zapalał świeczki na drzewku. Po chwili rozlegał się głos małego, srebrnego dzwonka, który cały rok stał zazwyczaj w serwantce i oba skrzydła drzwi salonowych odrykały się ku jadalnemu.

Znajomy pokój wyglądał jak wniebowzięty ! Napełniała go złota, sypka jasność. Sosenka, zupełnie przeźroczka i puszysta od długich igieł, stała w mnogości płomyków, które wszystkie odbijały się w szybach, zalegającej całą ścianę nad głowną kanapą " Wojny". Srogie memento nad szczęśliwością dzieciństwa! Nim się tknęło niespodzianek pod drzewkiem, siadała Mama do fortepianu i zaczynało się " W żłobie leży". Śpiewali rodzice oba je, cudowny głos Mamy zdawał się pachnąć żywicą, błyszczeć pozłótką, czysty baryton Tatka wtórował bardzo muzykalnie. Do dziś przetrwały mi w melodiach kolęd te ich głosy kochana piękne, zanurzone jak w bursztyn słów i piesni.

x

x x

Jednym z domów z którym rodzice żyli najbliżej był dom Żulińskich.

Zrazu zkładał się z matki, pani Barbary z Michelsonów i dwu synów : Tadeusza i Józefa. Pierwszy lekarz, istny świecki franciszkanin, zakonnik idei miłości Boga, Ojczyzny, ubogich - duszą węgiel. Zostawił po sobie pamięć człowieka świętego. Drugi - profesor, z którego pamiętam przyrody, działacz żarliwy, ojownik o polskość i wiarę, którego biografia zajęła by wiele kart budującego i zdumiewającego tym chociby, że równiały o życiu jednego tylko człowieka, którego program dnia codziennego starczyłby na pracę dla kilku. Uczył w licznych uczelniach Lwowa, ale głównym terenem jego pracy było Seminarium Nauczycielskie męskie i żeńskie, skąd z pod jego wpływu wychodziły rocznie nowy zastęp patriotycznych nauczycieli, ówczesne kadry podoficerów szeregowców idące na wieś, świadome zadania i obowiązku. Nie było jeszcze wówczas mowy o tak Szkoły Ludowej. Twierdzili polskości były jedynie takie domy i tacy ludzie, jak Żulińscy. Rodzeństwo było liczne, ale we Lwowie na stałe mieszkali tylko dwaj bracia z matką. W domu tym - urządzonym jak wnętrze pokojów z Grottgerowskiej " Warszawy ", wisiały portrety, fotografie, fotografie... Bardzo wcześnie znałam treść ich wszystkich. Na jednym z wiszących obok siebie pięknie twarz ojca Żulińskiego, sfotografowanego wraz z Trauguttem, Krajewskim, Toczyskim, Jeneralnością na stokach Cytadeli Warszawskiej. Wiedziałam, że matka, rówieśnica starszych, pani Żulińska

- Matka, była tej śmierci cyklu owocna. Świadomość ta ściskała mi zawsze gardło tkliwą całością mi wypadło jej rzecz - trumnę, szczupłą, która zawsze dosrutniwie głaskała mnie po twarzy. Kwiaty marzanowe, niebieskie, tkliwe czerwoneczki wiązane pod brodą i twarz jej biała - nagle bardzo biała - przyjemnie biedne wierzbie rysy oczu cyklu Tadeusza i Józefa, którym bardzo kochałam. Wówczas rzadko tylko cykała tę trumnę przez twarz.

Później pan Józef oświadczył się. Żona jego, panna Lucja Gromowska, córka przyjaciół domu Jodłińskich, pełna racji, przejęta biedą, cykała przedtem także u matek rodziców i zachwycała mnie raz na zawsze swą kwiatkową urodą, gdy podczas jakiejś skromnej zabawki u nas poczuliło się nam mieć kwiecistsze, cały ni się - wiaz z parmeńskiej Prozie i Anielki szkolnowskim. -Spięcej przypatrzyć. Kwiecia trzymane w ręku krzesła z panien wyjęła mnie i otworzyła oczy. Piękne, pod złotym oleodzieniem gryzmy duża Lucy Gromowskiej, zdobna wiejskim wiankiem, biegnie swobodni przy ciele; szyi i ramionach wydały mi się cudne xxxx wręcz nierzeczywiste! Zachwyt ten rozwiał z niej zniknęły, gdy raz nadmiar pan Józef do mnie i w jednym z tych pięknych zajęcia narodowo-cywilizacyjnych interesów, jakie go i mnie tyczyły, gdy w poczekalni przed salą w przedpokoju wyjeżdżał, zwalały przedstawiciele, przyjaciele. Uczyniłam potem co tylko mogłam, by je pewno dla Lucy o której tu mowa.

W niej gdy przypatrzyła cykam cierpliwej zwierzęcia co Tadeusz xxxxxx zafuczna razem. Tkwi ona wiekszy cykl, co zwiastuje wiersz [illegible] się tam to nasz cykl prawdy Józefa, który w owym czasie cykl [illegible] cykl" rodzicy. I cykle Józefa: [illegible] cykle jeszcze wyraźnie cykały, cykam na [illegible] cykle [illegible] prawdy. Mówiła się o Juryku, jakby się z [illegible] cykl [illegible] ... " Tak Chopin [illegible], to cykl [illegible]. [illegible] Leonard, Korwin, Anton - to [illegible] ! Kettel, Cyrkowicz... Tale [illegible] [illegible] [illegible]

o której się mówiło. Ze starszej generacji [illegible] cieszyła się we Lwowie dobrą tym czasem jedynie [illegible] Łucia, której jedyny syn [illegible] w [illegible] r. [illegible]

Kiedyś nie były te tereny na [illegible] serdeczna [illegible] płci miała [illegible] stykać się ze starszym pokoleniem " rodaków". Galicyjski [illegible] przynależnego nauczycielstwa [illegible] dwiego stanu tu [illegible] naocznych świadków o niejednym co miał powiedzieć przerwać lub podjąć zaraz z pamięci nie traciło, miał tu sposobność do [illegible] ogłady i do " nauki z pogięci" : jak postawić w niewoli [illegible]. Całe [illegible] trusie, różni [illegible] z "oddziałkowie gorący w rozbitych oddziałeczkach, uczone i świątobliwe karykatury ładzkie, zapraszane na skromne [illegible] zebranka najczulszym gestem gospodarza, garnęły się do nich z dumnością i urody - ani wiedząc kiedy - niewyczerpane zapasy na życie całe, zapału, poświęcenia i miłości. Trusie wyrastały potem na dalsze dyrektorki szkół, z półdziałków [illegible] wykluł się niejeden poseł na sejm, niejeden głośny dziennikarz czy działacz.

W salonie siedziała zwykle starszyzna. Wokół stołu okrytego szydełkową kapą w przeźrocze gwiazdy, na którym paliła się staromodna naftowa lampa na niskotykowym postumencie i leżały ciężkie albumy z fotografiami kupiły się znajome twarze panów: Józefa, Maja pani Łucii p.J.P. Jonowskiego, Jana Amborskiego, brali udział w rozmowie panowie Malinowski, Skotnicki, stary pan Apolinary Stokowski, (oleiutki, schludny staruszek w czamarce ze spinką diamentową u szyi, który przez niepamiętny szereg lat, zadawnionym zwyczajowym prawem, odczytywał zawsze w dniu 3-go Maja tekst konstytucji na wieży lwowskiego ratusza zgromadzonej tam garstce rodaków. Śmierć jego wprawiła w niespodziany kłopot przyjaciół, gdyż okazało się, że staroświecka był - kalwinem. Katolicki ksiądz nie mógł, protestancki nie chciał - nie było komu go pochować. Nie wiem co w końcu wymyślono.) Podnosił też donośny, zawsze słuchany głos pan Wieczysław Barowski, wspaniale piękny, ogromny starzec z oczyma koloru starego miodu, człowiek mający w sobie coś z orła i gołębia zarazem. Weteran 31-go roku, z czarno-żółtą wstążeczką Virtuti Militari przy klapie, obok której jarzył się wąski prążek czerwieni. Była to wstążeczka Legii Honorowej, którą otrzymał od francuskiego rządu, jako podziękowanie za dar 70-ciu wagonów własnego zboża, które po pruskich zwyczajowo ofiarował "siostrze Francji". Wówczas, kiedy go poznałam ja, pan Wacław miał wielkich posiadłości nie posiadał już ani ziarenka, gdyż wszystko, do ostatniego, rozsypał z odwiecznej [illegible].

Czasem przyjeżdżał ze Stanisławowa pan Ignacy. Z żoną Iwa-

rąg chińskiego fotela z oparciem, czarnym wysarł, prezydował zdało się zwyczaju i wtedy najczęściej kierowano wzrok też do przyległego pokoiku, aby starszym nie wchodzić w marudach. Nie lubiłam się tam znaleść. Nie z ciekawości na pana tatona, który był dla mnie jeszcze stanowczo za trudny wtedy, ale dla świadomości, że w tym przyległym do salonu pokoju umarł kochany pan Tadeusz.

Styczeń był wtedy ostry, mroźny a śnieg gęsty padał. Mama na całe dni i noce gdzieś na Chiny ąską, aby wyreczyć utrudzoną panią Lucię, ja zaś właśnie zaziębione siedziałam w domu. Bo to, pan Tadeusz leczył mnie podczas zapalenia płuc w dzieciństwie i wyrwał z choroby, po której na długie lata zostałam rekonwalescentką. Miał jeszcze obowiązkowe podarunki, jakimi mnie wówczas darzył: medalionik z kryształowym wieczkiem, rozsypkę już w kawałki rogową bransoletkę z olałymi karneolami - nam trwalsze od przedmiotów wspomnienie jego niewysłowionej słodyczy, z jaką się do mnie odnosił. Jedna z tych para najprawdziwszych istot jakie w życiu miałam. Wiedziałam, że jest umierający, widziałam ciężkie zmartwienie rodziców, było mi serdecznie smutno nie móc nawet odwiedzić chorego. Śmierć jego opłakałam gorzko, tym rozpaczliwiej, że mnie na pogrzeb nie wzięto. Kazimiera i mróz był wielki. Pamiętam głębokie wzruszenie, gdym potem pierwszy raz znalazła się w znajomym pokojach i gdym weszła do tego właśnie pokoiku przy salonie. Nacechował silnie aptecznym zapachem medykamentów i choć był już uprzątnięty inaczej, zniknęło łóżko pana Tadeusza - zostały szafy z książkami, ów rozczulająco szkaradny dywanik kwiatami pod kolorem, który z cieniem ulepiła wszystkoma pojemniki, szafirowe wazony, dekorowane złoty koroniką z złotymi pasierbami - były też dary, czasy z miniaturami ...zarmurowe, takie pod kloszem grzyby z porcelany biskwitowej, nędzne pamiątki, tylko w lepszym guście - słowem same przedmioty zmarłe, związane z tym, którego oraklo, przeczytane nadomiar tych niesamowitych, silnych zapachem, o których niepodobna być zapomnieć.

Zawsze czułam się skrępowana w tym pokoju i niezdolna do wesołości.

Nikt nikt sobie nie spodziewał, że te niebieskie miejsce w sobie krzyżowe, postępy pewnej katastrofy . Wyjaśnienie. Jedzie której się tam jawiła i ci, którzy już do stołu zasiadali, wszelki wpadnie trzeźwiejąc pogodę serc. Tamtej wieczór wieczór, po prostu czasem na innym dyspozycji lub krajowym jajem lub ciężkiej wieczorem czy rozmówkowego - niezgodnej wesołości pod dachem gry towarzyskie, w których brała udział cała, starsi i młodzi. Grano w tabelkę, zotka i tryktrak, pan gospodarz, profesor, [illegible] wpisie na zapamiętanie, zgadywanie dowcipnie wymyślonych za słowo pytań. Pamiętam też, w "wrzucanie", pełnej pana A.K.

- 7 -

[illegible]

Powitaliśmy przez jubilatem, każda po kilka strof z jego słynnego wiersza, zaczynającego się od słów :

W Imię Ojca i Syna
To nasza modlitwa
jako Trojca tak jedyna
Polszczyzna, Litś i Rutwa...

Nie dożył szczęśliwie zacny jubilat "gente Ruthenus, natione Polonus " strasznej ironii dziejów!

We trzy gwarzyliśmy zwykle osobno, bo panny Moszczeńskie, Marconiówny, Aleksandrowiczówny, Deskurówna, Grossówna - starsze były znacznie od nas.

Wśród zastępu innych, młodziutkich seminarzystek lub nauczycielek, mignęła mi się raz także Maria Bartusiówna, poetka, córka mało znanego malarza, której rozpaczliwe " Sonety przeklęte", napisane z dużym talentem w przededniu związku z niekochanym człowiekiem, zawędrowały do rąk Leonii Wildowej. Ta pokazała je Ujejskiemu i starania ich obojga obroniły biedną nauczycielkę przed małżeństwem, które jej groziło. Nie zdołano jej wszakże obronić przed gruźlicą, której w parę lat później uległa. Była jeszcze i naprawdę bardzo młoda. Mignęła mi się tej raz Maria Bartusiówna na Zimorowicza. Była już mocno cierpiąca, wówczas zresztą i oczy miała błyszczące, jak w gorączce. Z tej wizyty została mi rysunek jej ręki, którym - nie odjęwszy czarnych, smutnowłosych rozsypanych, krótkich pomarańczy, jak jabłko ! Pamiętam sok Dierżyńcy aż do łokci, pod krótkie rękawy nadętej modnej suknii. Do dziś nie wiem, czy tak była niedołężna, czy zamarzonowana. Wreszcie miała być pono wystawiała i opowiadała mi o Józefie, jak przyszedł z rzeźnią, gdy ją pytał, w ludzi sposób ma zwrócić się młodzi na wymawianie głosu :"szania.". Tak się to dwojowanie brało w wiersz - poezję !

Z wielu " naszek" na szczęśliwej scenie tego domu spotkań, przypomnieć muszę jeszcze jedną. Nazywała się Stanisław Pan pseudonim recytator.

Ukazał się wiersz, scharakteryzowany jak wówczas jeszcze wiersz na powiatówce, z [illegible] stanowca, pełen z dziwnej i bolesnej [illegible], o [illegible] nieszczęsnych ofiarach spadających z [illegible] [illegible] [illegible]

klub w Paryżu, pokoje wirtuozów na fortepianie, jedna owdowiała wychowuje dzieci, najmłodsza jest sanitariuszką. Wszystkie prócz zamężnej, grawitują ku soc, stalizmowi i Wielkiej Październikowej. Pani Lucia mieszka sama i gdy ją odwiedzam, wzruszają mnie jeszcze niektóre przedmioty z tamtego kochanego domu. Stół - z tą samą kapą w gwiazdy szydełkowe, harfa na wysokiej kolumnie z płaską, śpiewającą figurką nimfy, stare, ciemne portrety pani Barbary, Romana i Tadeusza Zamojskich...

Bo tamtego, kochanego domu już nie ma.

X

X X

Imperyał, z którym żyli blisko pół wieku, przeżył dom państwa Grzymałowiczów. Żyła matka starszych i syn pan Stefan, w dodatku jeszcze trzy córki, panny Amelia Jadwiga i Paulina. Pochodziły z Poznańskiego, ale to Lwowa przyjęła i Wilno Warszawa, gdzie przyjechał syn drugi pan Józef, dobry komediowy aktor tamtejszej sceny.

Nie można sobie wyobrazić ludzi milszych i pogodniejszych. Dlaczego osiedli wszyscy we Lwowie, nie wiadomo dobrze wiem, nie dziwi się jednak, że się tam nie przywiązali na zawsze. Babcia Grzymałowa, jak ją nazywano, miała pełen pokój portretów, jako świetnie urodziwa wykształcona i wychowana panna - zapomniała jej pan Bóg zdjęcia - wiem tylko, że była polską krewną Kościelskich Niedźwieckich, Domaniewskich i że były w pokoiku jej domu różne jasnopłowe sprzęty. Pokoiku, że były niezapomniane mimi wszyscy odznaczali się w mniej niezapomnianą, doskonałą już niemal grzecznością. Najmniej grzeczna była najstarsza z rodzeństwa, panna Amelia o pięknych istotnie warkoczach i oczach, ale z dobrze spotrzeba, rzekła również zastanowić szpetotę nosa i ust. Najprzeróżniejsza zakochana była panna Amelia, najstarsza, w której mniej, już zdobiemali młodzi - pan Stefan i panna Jadwisia - zupełnie zniknęły w ludzkie ciele. Panna Amelia i Jadwisia były nauczycielkami wyższej, pan Stefan był - o ile wiem - tylko urzędnikiem. Panna Jadwisia zajmowała się domem, robiła pajęcze koronki wypiekała niezrównane ciastka, szyła odzież dla wszystkich dorywników, zawsze promieniejąca pogodą, pełna żartów i subtelności.

Ta to gromadka Ludzi kochała nas serdecznie i wzajemnie była od nas kochana. Istnienie ich opierało się - poza pensją i nauczycielek - na jakiejś sumie żelaznej i przy ówczesnym taniu życiu pozwalało sobie na gościnność.

Raz lub dwa razy w miesiącu cała się do Grzymałos-

kich albo ich gromadka jawiła się u nas. Zwykle wieczorami. Ponieważ cała rodzina z panem Stefanem na czele, słynęła z świetnego dowcipu, a Tatko mój miał sławę podobną, od pierwszego powitania w przedpokoju krzyżować się zaczynały paradne koncepty i wyśmienity śmiechu - i - ~~xxxxx~~ jakoy cos rozweselającego nasycało powietrze -dowcip raz rzucony podiatywał coraz wyżej, świetniał, podrywał ku sobie nowe tak, że naprawdę bywały to istne koncerty humoru, pełne twórczego talentu i bogactwa... Pan Stefan, nie tylko facecjonista starej daty, poza którym przywidywało się zawsze jakoy tło szlacheckiego dworu, - szkaradny, jak grzech śmiertelny a ~~xxxxxxx~~ pełen dystynkcji i gładkości słowa, mówił bardzo powoli i bez zbędnego ruchu, których śmieszność polegała, jak w każdym dowcipie, na niespodziance pointy, ale i na sposobie wygłoszenia. Otóż ~~że~~ sposobu nie miał sobie równego ! Przyczynił się do efektu i głos nosowy, niski (ten sam, którym przemawiał do ~~xxxxx~~ mnie nasz coroczny- póki wiara trwała - święty Mikołaj...) i charakterystyczna, warszawska dykcja, której niepodobna - napisać. Dialog pana Stefana z Tatkiem to było używanie tym zwyklowiejsze, że wszystko przepadało momentalnie i nie tylko dziś, po latach, ale i wtedy doraźnie nie było można odtworzyć tej wietrzejącej natychmiast przyczyny szczerego śmiechu, przytrzymać dłużej czegoś, co jak substancja lotna traciło się - zaświeciwszy.

Póki Babcia żyła - zawsze - mieszkali państwo Grzywińscy w zabudowaniach klasztoru PP. Benedyktynek. Już samo to wnętrze działało na moją wyobraźnię. Arkady słoneczne, na tych całych o sklepach niziutkich, wygiętych w łuki ślepione, z oknami w grubych murach, jak ~~xxxxxx~~ w pokojach ostatnich, strojnych dłużej, z jednej całej większej, która nazywała się salonem, co zresztą zaznaczał fortepian, garniturek pokrowców obitych czarnym rypsem, talerz z biletami, kosz z kolorowymi owocami z marmuru i kanapek pana Stefana, niezapomniany kanapek z lusterkami, w których szufladach ~~xxxx~~ wolno mi było grzebać do woli ! " Babci" pokój był najbliżej kuchni. W jednym z dwu głębokich okien wisiała klatka z kanarkiem, poprzez które ~~xxxxxxx~~ " spaw" - tak to wymawiało to słowo -toczył się ~~xxxxxxx~~ zawsze rozrowa. Babcia siedziała zwykle w łóżku ceratowej, czarnej kołdry przez stołem, owiniętą w tybet rakowego koloru, z koronką czarną na głowie i w ogromnych okularach, na jeszcze ogromniejszym, niemożliwym nosie. Była już wtedy wiekowa (dzieci jej takie, po co panny Natalki, ku rz była jeszcze "prawie" młoda) nie ~~xxxxxxxxxxxxxxx~~ przedziwnie żywa i zaradna. Za tą przepadałam. (Ach! Jakie przeróżne jej kleiki sam jeszcze w szufladach!) i opowiadając mi o swym dzieciństwie, zaczarowała mnie wystrzyżonych z papieru cudacznych sylwetek, co umiała wiśnie owsze! Trzymając

przed sobą kartkę papieru, z przeźroczystą powłoką wystrzegała się czy= tania w przeciwnym od dołu kierunku np. grupę sarn. Zdarzało się także, (przy czym poroże jelenia nie kontur artystycznie dopełniały)zwie= rzęce obywały to kapliczka wróż i zwierząt – i znowu podstawienie podno tyły gałęzie drzew. Jeszcze chwila pędzenia ze światłem...Lunął nie wystraszyła nigdy. Może zniecierpliwiły kochaną Basię prośby jej wła= ne" światłwy" ? – może, że jej zwierzęta czy ty bachwic życzeniowe= wające szybkością i orężem w jej posiadaniu...

W lwowskim mieszkaniu Lucy Dawidowicz wychowywała się siedmio= letnia córka, Basia Jaworska, córka pana Antoniego, znanego artysty i działacza w teatrze. Z tą Basią widywałyśmy się podczas Świąt, które dla zsyłanej, oderwanej od domu spędzała u cio= ci Drzymałówny. Bardzo lubiłam tę dziewczynkę. Śliczna była i jakaś inna niż tutejsze dziewczęta., coś w niej tej chwytne w rozmowie ale xxxxxxxx głębsza, ent zjastka bez irlzesu i zdumiewająco poważna, choć miała takie lat sześć wcześnie swoje wewnętrzne życie.nie czuło= dwała tak siebie łatwo innemu wytłumaczyć. A nie było to takie za= łożone " powtenie o sobie" cechujące osobiste pojęcia. Trochę głos= no wyśmiała przed nimi, z nie się na ostatek razu wjątek. Po letar= ra – podczas letnich xxxxxxx lwowy obyczaj urodzinowe rozrzucia po w.lu do krzywdzicieli – zaprosiwszy przez Basię i upiekłam u rodz.= ców przed Janiusią, zostałam tam na noc i spędziłam pierwszą Wigilię Świąt z nimi.

Ciężko było za radość i przyjaźń! Zmieścić się w tamtym ma= leńkim pokoju,za ceratowej sofie Basia drzemiała,wprost obok z drugiego ę dobrze ostrożnie cudzą kiełtą z kanarkami, a jeszcze wyczenie wielkiego kasowera ro'o irzej do kuchni i wcale wygodnie się kucharzom jadło... Córka widząc pierwszą – zimno tam mieszkała ogé porozumie!- xxxxxxxxxx pierzyła na zamarzniętym jej okienku dziurkę a codziennie się przekonywała, czy przeszłam. Przy kawie w dzierżonym i jedynie ogrzanym pokoju Janiusia ma i pośpiesznie rozpoczęte rozmowy, a potem wracałyśmy razem pod pierzyną jak w noce, gdyż się w pokoju tym zrobiło chłodno i nie pomogło ni pojęć nie się ni nawilżanie, ani zatrzaśnięcie drzwi przez Basię...

Na Boże Na., powtórzyły to kościele Jezuickim i pełni ludzi wiernych przy wielkim tłoku na ulicach, gdzie już dzieci Czerwonego Krzyża i Czerwonego Krzyża, że nazna= czyły w tym miejscu ofiarę i śmierć obok Marcelina Langiera.

A potem – gdy nasze wrócały – wyjechała Janiusia ze Lwowa i wtedy przestała się myśleć, że rozmowy Lwowskiego, mimo nie dzielnej znajomości przeszłości z Basią xxxxxx Basią dziewczynką wcześniej, Lwowie na Basię, ani Janiusi i nie istnieją dziś.

X

X X

mnie zbliżał, uszłam w głęb mieszkania, przemknęłam się do przedpokoju i popędziłam na górę do domu. Musiałam być zgrzana- na schodach był przeciąg i mróz - dostałam w nocy dreszczu tak gwałtownego, że obudziła się śpiąca w tym samym pokoju Ciocia. Po jakiejś chwili zobaczyłam, że się w obu pokojach palą lampy i że Tatko wkłada futro...

Miałam straszną gorączkę i przed oczyma, jedną na drugiej ruchome ściany, które się ciągle rozsuwały niby kulisy. Dostałam zapalenia płuc. Jeszcze w nocy przyszedł kochany pan Tadeusz Żuliński, który potem przychodził codziennie i okropne to były dni dla Rodziców. Byłam na włosku długi tydzień, a potem chorowitym dzieckiem latami. Dobrze przypominam sobie wrażenie, gdym wstała pierwszy raz. Zdawało mi się, żem wyrosła i wszystkie meble domowe są niższe i że się ściany jeszcze trochę chwieją...

Ku wiośnie pokazało się, że muszę być wywieziona w leczniczy klimat i wuj Edward Korczyński doradzał Styrię. Ciężki to był wyrok dla skromnego budżetu Rodziców. Ojciec zapracowywał swoimi szkołami właśnie tyle, ile było potrzeba na istnienie nas wszystkich, mały kapitalik posiadała jeszcze tylko, nieżyjąca z mężem Babcia, przebywająca u siostry Schallowej na Bukowinie. Wówczas zostały porobione zdjęcia z rysunków Grottgera, zawartych w albumie Mamy, nigdy dotąd nie reprodukowanych. Prawo rozpowszechniania nabył Edward Trzemeski. Za te pieniądze wyjechałyśmy do Gleichenbergu.

Pamiętam nastrój przedwyjazdowy. Tatko namalował dla mnie olejny obrazek M.B. Częstochowskiej z tkliwym napisem na odwrotnej stronie deseczki. Pani Aszpergerowa przyniosła mi śliczną książkę francuską z obrazkami " Bébé en voyage". Od pana Tadeusza dostałam medalik za szkłem, od Cioci torebkę na rzemyku, podróżną. Samolubne zwierzątko jakim, z całą moją rozbujałą fantazją byłam bezsprzecznie, nie zdawałam sobie zupełnie sprawy z tego ucisku serca z jakim zostawał Tatko, z jakim towarzyszyła mi Mama. Życie moje wciąż jeszcze było wątpliwe, plułam krwią i co wieczór wracała gorączka.

Pierwszy nasz popas wypadł w Krakowie, gdzie tym razem poznałam oboje dziadziów Korczyńskich, Antoniego i Elżbietę z bar. Wentzów, rodzoną siostrę Babci i cioci Tereni. Babcia Korczyńska miała rysy podobne do Babcinych, ale ostrzejsze, była drobna, ogromnie żywa, gwałtowna w czułości jak i w niechęci, istne przeciwieństwo dziadzia, jej męża, jednego z najsłodszych ludzi jacy mogą być, którego Mama zawsze wspominała z uwielbieniem i tkliwością. Miał być wysoko wykształcony, świetny skrzypek-amator, przemiły causeur.. Mama pamiętała wdzięcznie czas pobytu w domu dziadziów, gdy mieszkali w Grybowie. Do Mamy - już wówczas swej narzeczonej i babci, przyjechał na zapro=

szenie dziadziów i Grottger. Narysował tam wiele pięknych studiów : portrety obojga dziadziów, cygana, chłopię (śpiewające na chórze, które go ciekawą strukturę i rzeźbę z aniołem grającym na organkach z grzybowskiego kościółka odrysował.

Wuj Edzio zadał mnie z wielką starannością i coś tam nieswojego powiedział Mamie, bo strasznie była zgnębiona i choć nie była do tego skłonna nigdy, pamiętam, że wówczas płakała. Pamiętam też moje głupie podniecenie na myśl, że jestem aż tak chora, rodzaj dumy z tego i zaciekawienie dla samej siebie.

Z Wiednia zostało mi wspomnienie dość intymne. Oto na ganku hotelu spotkałam się z Turkiem, który niósł w ręce naczynie wysoce poufnych przeznaczeń, Turkiem w turbanie i najdawerach (prawdziwy Turkiem " z pod Wiednia"! Pokazało się, że obok mieszkał jakiś dygnitarz turecki ze swoim dworem. Wielce byłam zaaferowana tym spotkaniem, zatarło się ono jednak, gdyż dzięki egzotycznej załodze dowiedziano się w hotelu że to akurat jakieś mahometańskie święto i w pobliskiem meczecie można oglądać czynione do niego przygotowania. Poszłyśmy z Mamą i było to istotnie silczne. Wnętrze bardzo wysokie, ciemne prawie, oświetlone zwisającym od stropu mnóstwem lamp o łagodnych barwach, jakieś przepyszne jedwabne makaty zawieszone w powietrzu, bo falujące jak żywe na przeciągu, a cała posadzka zasłana gruoo trawą, gałęzkami zielonymi i kwiatami... Nic nie wiem jakie to było święto, jak wyglądało wejście do tego wnętrza, ale wrażenie tych świateł, zasłon jakby oddychających i kobierca świeżej zieleni zostało mi na zawsze w pamięci.

Nigdy, nigdy nie omieszkała Mama zdobyć dla mnie czegoś ładnego do widzenia, czy przeżycia, zawsze, we właściwej chwili, usłyszałam coś, co było jakby nowym oknem odmykanym ku przestrzeniom.

W Gleichenbergu zamieszkałyśmy wygodnie i blisko lasu, w rodzaju pensjonatu, ale bardziej neglizowego od dzisiejszych. Nie było tabie d hôte'u, ciągle miało się do czynienia z gospodarzami obojgiem. Nazywali się dobrze brzmiącym po niemiecku nazwiskiem Hoferów. Mama wielkie miała ze mną utrapienie z powodu mej odrazy do jedzenia. Nie chciałam... Chciałam za to mnóstwa rzeczy, których nie mogłam. Oto jeździć na osiołkach, które tam wynajmowano na spacery, łazić po lesie za grzybami, grać w kręgle, zaznajamiać się z wszystkimi dziećmi jakie się nadarzyły. Wuj zaś kazał abym jak najwięcej jadła i nie ruszała się. Biedna biedna Mama !

Rysowałam pasjami bawiłam się trochę Hassanem, moją ulubioną lalką roboty Mary, ogromnym Turkiem w jaskrawym stroju, o zginają-

Fritz przysłał Mamie na ślubny prezent złotą bransoletkę -cygki łańcuszek z misternych ogniwek - u której kołysały się dwa, jak opłatek cieniutkie, trącające o siebie dukaty. Śniło mi się, że był na nich " straszny Indianin" z łukiem i piórami we włosach, ale nie przysięgnę. Brzęk tej zawsze przez Mamę noszonej pamiątki zrósł mi się nieodłącznie z rytmem jej szybkich, drobno po domu ciętych kroków, zupełnie jakby się jedno nie mogło dziać bez drugiego. Wydaje mi się także, że poszept tych blaszek poznałaby na drugim końcu świata, tak bardzo był swój własny i tak bardzo Mamin.

B.O.

jących się stawach z rasy wynalezionej przez Mamę i uwielbianej przez liczne dzieci, jakie podobnymi niewolnikami obdarzała - ale - przeważnie nudząc się, byłam strasznie dokuczliwa.

Tymczasem pewnego dnia, do naszego domu pod lasem zjechali nowi goście. Ogromne, nigdy przedtem tej wielkości nie widziane ich kufry - prawie do ki obite blachą - wnoszono z trudem na schody. Rozeszła się wieść po domu, że przyjechali jacyś państwo z Ameryki. Z powozu wysiadła wysoka, ciemno ubrana pani i wysypało się czterech chłopców, każdy trochę większy od drugiego - Amerykanie.

Naturalnie, że w pierwszej chwili miałam zawód, jak zawsze. Nastawiona byłam bowiem stale na nadzwyczajności i już zdążyłam spodziewać się istot z piórami na głowie, pół dzikich, jak z obrazka. Oni zaś byli nadzwyczajni, ale całkiem inaczej niż się spodziewałam. Znalazłyśmy w wysokiej pani i w tych chłopcach, przyjaciół na całe życie - wiernych, wytrwałych mimo oddalenia, z których jednego, po latach, jako dorosła już, powitałam na szerokim świecie niby najlepszego brata, kiedy... ale nie! Trzeba się trzymać na wodzy i opowiadać tak jak się działo... Otóż pani była wdową i nazywała się Mrs. U.A. Spahr. Chłopcy : Otto, Fritz, Charlie i Eddie - przyjeżdżali z Nowego Jorku dla poratowania płuc Fritza, a potem z racji nauki wszystkich czterech, którą dla ćwiczenia w językach, matka chciała im dać w Europie. Umiałam już na tyle po niemiecku, aby się przegryść przez codzienne tematy, a niemieckczyzna chłopców nie gnębiła mnie. Mówili także bardzo nieśmiało i dużo pojęć zastępować trzeba było na migi. Cóż to za cudowna była kompania!

Otto, Charlie i Eddie, to były całkiem zwykłe, miłe chłopcy, mimo żywości i swobody w obejściu, bardzo taktowne. Wszyscy trzej stali się dla mnie rodzajem posłusznych Hassanów, którymi komenderowałam dowoli i - dzięki ich ruchliwemu widokowi - potulniej leżałam na moim rozkładanym krześle. Fritz natomiast to było całkiem co innego. Chłopiec ten czternastoletni - ja miałam lat siedem - miał naturę artystyczną i nieco dziwaczną, która najlepiej odpowiadała mojej. Był jednak o wiele mądrzejszy i dojrzalszy, nie tylko ode mnie, ale od swoich starszych braci. Zrozumiał inaczej od nich troskę Mamy o moje zdrowie i był Mamie nieocenioną pomocą. Kiedym się buntowała chcąc iść na spacer z tamtymi, krzyczała jak opętana, po czym zawsze gorączka wracała wyższa - Fritz zostawał, brał swoje skrzypce i grał mi tak długo, póki nie wypłakałam ostatnich łez i nie uspokoiłam się zupełnie. Nigdy mi nic nie perswadował, tylko bez słowa wyjmował skrzypce z pudełka...

Jemu też - (doprawdy nie wiem jak zdołałam to wyjęzyczyć?) zwierzyłam tajemnicę kręcidła. Pamiętam jego troskę i rozmowę z Mamą na ten temat. Wiem, że doszli do przekonania, że póki mierzwam gorączki, nie

można mi tego zronić, ale lepiej aby się to działo rzadziej. Wymyślali więc oboje różne roztargnienia, niespodzianki, odwołujące mysi od pokusnego narzędzia i dziś dopiero mogę w zupełności ocenić jaka to była sztuka.

Chłopcy Spahr mieli ze sobą różne zamorskości. Najlepiej mi się podobał kompas z nerwową, mądrą igiełką, wprawioną w " morski ców ", okrągły, ciemnopąsowy przedmiot rosnący pomo na dnie morza, - kompas, który Otto nosił przy zegarku. Otto miał lat siedemnaście.

Wreszcie zaczęłam być nieco zdrowsza i następstwem tego były niezapomniane grzybobrania w domowym lesie. Nigdy przedtem ani potem nie spotkałam takiej obfitości prawdziwych grzybów i tysiąca innych odmian, jak w Gleichenbergu. Rosły wokół buków prawdziwki całymi weselami, jakby kto zabawek rozsypał na mech. Ładowałam w fartuszek, kapelusz, do Mamy parasolki, wreszcie nie mogąc zabrać więcej siadałam i płakałam w niebogłosy. Suszyłyśmy je na słońcu - gdyż - brzmi to niewiarygodnie a jednak jest prawdziwe - nikt z tamtejszych ludzi nie znał użytku grzybów, bano się trucizny i Frau Hofer odmówiła, gdy ją Mama prosiła o zgotowanie nam ich na obiad, ba! nawet o suszenie ich nad kuchnią !

Razem ze zdrowiem wracała mi dawna impetyczność. Potulny, rycerski raczej sposób chłopców Spahr wzmógł moją pewność siebie i dość często zdarzało się, że po jakiejś awanturze stosować musiała Mama pedagogiczny kompres, w którym kładła mnie do łóżka i oznajmiała, że znowu jestem chora. Pamiętam taką kurację, gdy Mama i pani Spahr wyzwoliły z moich garści Eddiego, którego tłukłam bez opamiętania. Miał powiem zwyczaj, nie licząc się zupełnie z tym, że go nie rozumiem, wpadać z jakimiś zajmującymi nowinami, cały pod wrażeniem swych przygód doznanych w lesie czy ogrodzie i opowiadać mi je po angielsku, bardzo szybko i głośno. Dawałam mu znaki, że nie rozumiem, on jednak gadał dalej jak sudzik, który się musi wytłuczeć. Raz, gdy wpadł znowu z taką angielską opowieścią, rozzłoszczona, rzuciłam się na chłopca i z całej siły poczęłam go targać i bić. Oburzenie moje osłabło na widok jego zupełnej bierności i przerażonych oczu, których spojrzenie zapamiętałam. Trzymałam go jeszcze za kołnierz, już mając puścić, gdy obie matki przyszły na odsiecz. Po chwili zawinięta w kompres leżałam na kanapie, a zacne chłopcy dopraszały się aby móc przyjść do mnie z współczuciem i przebaczeniem.

Impetyczność moja pozbawiła też życia uroczą, młodziutką wiewiórkę, którą mi Mama kupiła do zabawy. Wracając raz ze spaceru odbytego z panią Spahr i chłopcami, tak gwałtownie rzuciłam

się ku Mamie, że składając jej na kolanach, nim mnie zdążyła oszczec zadusiłam kochane zwierzątko spiące w marinej kieszeni. Rzecz nie dała się ukryć i gdy wyszło na jaw, że jestem zabójczynią, wpadłam w rozpacz, dostałam gorączki i było kilka dni biedy ze mną nim się uspokoiłam. Ulubione migdałowe ciasteczko ~~xxxx

Nad rozległym, zielonym jeziorem, niby zwał stężałych obłoków - lodowce ! I drugi taki sam zwał diamentowy odbity w czystej cichej wodzie... Zaczęłam krzyczeć, że tu wysiądę i stąd nie wyjadę! Pociąg stanął na stacji Zell am See i nim Mama mogła temu przeszkodzić, wyskoczyłam z przedziału, ani się troszcząc co się za mną dzieje ! Moment trwały pertraktacje z Mamą, która nawoływała do powrotu, ale że pociąg krótko tu stał - nie było rady ! Trzeba było wyrzucić - bezładnie, jak w pożarze - wszystkie manatki na plant i wysiąść samej coprędzej... Cudowną dobę przeżyłyśmy w tym czarodziejskim Zell. Jeszcze gdzieś po domu wałęsa się xxxxxx szczątek białego, wystruganego w drzewie czółenka, które mi tam Mama kupiła, miniatura dużego, którym wzdłuż brzegów jeziora odbyłyśmy popołudniu zachwycającą przejażdżkę. Nie wiem czemu nie osiadłyśmy tam na resztę leczniczego pobytu . Może Aussee jeszcze wyżej położone ?

Aussee ani w części nie okazało się tak piękne choć także górzyska wysokie piętrzyły się nad miasteczkiem. Tu wszakże, jak na złość, przy wielkiej drożyźnie - zaczęłam jeść. Zdrowie moje poprawiało się szybko i dzięki temu mogłam chodzić z Mamą na dalsze spacery. Zapachy kwiatów górskich i siana, igieł świerkowych i wody zielonego, górskiego strumienia, który leciał jak wariat po kolorowych, prześlicznych kamykach marmurowych, - ścieżki wysypane suchym igliwiem, wiodące przez las ku położonemu tuż Alt-Aussee, gdzie spore jezioro z wysepką porosłą gogodzami i Gasthaus z huśtawką (siedząc w niej zdawało mi się, że lecę prosto na srebrzący się w dali lodowiec Dachstein..) sprawiły, żem się w tej ładności wszelakiej zagospodarowała wcale szybko.

Na jednej z takich wycieczek do Alt-Aussee złapał nas ulewny deszcz, - taki gwałtowny i krótki jakie się w górach zdarzają - podczas którego cienkie trzewiczki moje przemokły do pończoch. Mama, bardzo strwożona, natychmiast po dotarciu pod znajomy dach Gasthausu, w kącie sali, na ławeczce pod oknem, oswobodziła mnie z mokrego jak kompot obuwia, zawinęła nogi pledem i takeśmy trwały czas jakiś. Dziewczyna tymczasem poniosła wszystko do kuchni, aby wyschło. Tymczasem jakieś dwie, zupełnie suche osoby - starszy pan i siwa pani - siedzące pod przeciwległym oknem sali, obserwowały nas widać nie, bo po chwili starsza pani wstała i wyszła, aby zaraz powrócić i zbliżywszy się do nas podać Mamie parę świeżych pończoch z najuprzejmiejszą propozycją, abym je włożyła, nim moje będą do użytku. Pogłaskała mnie jakoś całkiem po "ciociowemu" i - że to Mama miała wiadome towarzyskie talenty - wynikła rozmowa

zapoznanie, zasiad przy wspólnym stoliku, a potem w drugim pokoju gdzie stał fortepian muzykowanie i śpiew Mamy. Starszy pan akom= panjował z pamięci Schumanna i Schuberta i straszny był zachwyt nad mamimym głosem i śpiewem. Ci państwo to był Ks. Wittgenstein z siostrą. Ja ~~xxxxx~~ w jej pończochach a w trzewikach pożyczonych od Nadii usługującej, asystowałam koncertowi. Potem kilka razy ~~xxx~~ jeszcze nim wyjechali, robiliśmy razem spacery i odbywała się wspólna muzyka.

W Aussee widziałam też zwłoki starego cesarza Wilhelma I-go. Jechał przez miasteczko ~~xxxxxxxxx~~ skądś dokądś -powozem w asyście innych powozów. Było to wieczórem. Mimo iż nie ściem= niało się jeszcze, pozapalano jak na szabas liczne swiece w oknach małego rynku. Deszcz padał, wszyscy stali pod parasolami, ale choć był ścisk, nikt się nie tłoczył i mnie jakiś uczynny Szwab chwycił w decydującym momencie na ręce, zanim miałam czas na to się żachnąć i mignęła mi pod spuszczonym okapem budy w powozie twarz w siwych bakenbardach, twarz starego, dobrodusznego pana... Marna to była przy= jemność.

W Assee przeżyłam inne, dużo silniejsze wrażenie, a mianowicie burzę ~~xxxxxxx~~ górską, z błyskawicami świecącymi raz po raz, grzmotami i piorunami, roztrzaskującymi się o turnie i lodowce w setne echa, z wichrem opętanym - taką, jakiej nigdy przedtem ani potem nie zaznałam. Płakałam, mówiłam pacierz, rozpaczałam za Tat= kiem i naturalnie dostałam znowu gorączki. Biedna, biedna Mama !

Nie umiem nawlekać po kolei wydarzeń na nitkę, tylko w wszystkie czasy naraz zgarniam w podołek i przesypuję... Boję się pogubić sortując i stąd ten zygzak opowiadania...

Jeszcze w towarzystwie kochanych, amerykańskich chłopców, by= łyśmy z ich matką i moją, w Heilbrunn w Bawarii. Jakiś podbiskupi ~~xxxxxx~~ barokowy pałacyk z ogrodem pełnym wodnych figlów i marmu= rami wykładanych ścieżek, schodów i tarasów, z galeriami o balaskach z marmuru, podobnych do szeregu łydek kręgłych, obciągniętych białymi pończochami - jakieś miejsce ~~xxxx~~ ani ładne ani wesołe, a chcą ce być i jednym i drugim bardzo natarczywie. Gdyby po nim krążyli ludzie w perukach i atłasach kolorowych, miałoby jaki taki sens. Ale tak ?! Na przykład koncept ze stołem kamiennym obstawionym takimiż stołkami, na które usilnie zaprasza cię cicerone-dozorca, a które w chwili gdy na nich ~~xxxxxxxxx~~, niczego nieprzeczuwając usiądziesz -~~xxxxxxx~~ wytryskują z siedzeń strumieniami fontann krzyżujących się nad stołem ; albo straszliwa głowa z kolorowego fajan= su, połykająca w miarowych odstępach wpadającą jej w paszczę ~~xxxx~~ kulę, przez prąd wody podnoszoną w strumieniu --wszystko to jest niesmaczne i nawet myszka, którą trąci, niesmaku tego nie rozgrze= sza.

Typowy przykład tego,co wynika gdy Niemiec chce naśladować Francuza. Niema oowiem wątpliwości,że ogród helioruński zasłyszał coś o Wersalu. Jednym naprawdę ładnym wsród tej figlarnej wilgoci - jest szczelina przez którą widać w ciemnej głębi groty przeźroczysty,migotliwy słup wody,oświetlony blaskiem dnia skierowanego przez inną,niewidoczną szczlinę - słup, na którego ruchomym cieniu tańczy kołysząc się,wznosząc i zniżając razem z nim - śliczna w kształcie,złota korona..Korona jakaś z bajki, wilgotna i niesamowita, - korona albo już odłożona,albo właśnie do wzięcia - korona coraz rzadziej już dzisiaj na świecie potrzebna...

Jest też w tym ogrodzie grota,w której - ubrana w czarny marmur - śpi Eurydyka,o ramionach i obliczu białomarmurowym, nad nią zaś odpowiedni Orfeusz przygrywa pięknie na skrzypcach... Eurydyka i dziś pewno śpi jeszcze, Orfeusz także grać nie przestał,korona już chyba jednak nie tańczy dzisiaj w Heliorunnie...

x

Zapewne wracając z Aussee zatrzymaliśmy się w Salzburgu, a stamtąd wyprawy na cały dzień z odwiedzinami do nr.Reverterów tychsamych z Quod libetu,którzy mieszkali niedaleko miasta w swej willi.

Znałam z opowiadań Cioci i Babci wszystkich członków kochanej rodziny, zarówno umarłych,jak jeszcze żyjących. Starego hr Antoniego, który miał jedną brew dużo wyższą od drugiej i mawiał pono o swoich synach że " die Buben müssen sekiert werden..."- jakiś dziwnie podobny w mojej wyobraźni do prezydenta Silbersteina z " Dziadka do orzechów",podnoszącego palec w górę i mówiącego do rozbrykanego synka tylko dwa słowa " Panie Fryc ! " - Znałam i starą hrabinę Annę, z domu v.Hertmann, dobrotliwą,bielusieńką staruszkę,ongis przecudnie śpiewającą - i wszystkie ich " dzieci" - dorosłe dziś,siwiejące lub umarłe... Fryderyka i Fryderykę,chrześniaków hr.Koszyńskiej,Matyldę, Teofila i zmarłą dziewczynkę Adelę,o sliczn,ch,złotych włoskach... Złocisty orzech z ich choinki wisi do dziś w Quodlibecie " obok pukla jasnego Adeli...

Tożsamość " Fryca" i hrabianki Matyldy zwłaszcza,zrobiła na mnie wielkie i czułe wrażenie, gniewało mnie tylko,że nie rozumieją po polsku i że nie mogę z nimi swobodnie rozmawiać. Dziś bardzo mało pamiętam oczywiście z tej wizyty. Koszyk ze świeżymi figami, o jakich często mowa w bajkach "Z tysiąca i jednej nocy"

ogromny, jasny dywan w salonie, na którym stały meble jasno żółte, obite malinowym aksamitem i fotografia cioci Tereni nad biurkiem hrabianki Matyldy, którą mi tkliwie pokazała. Mimo niedostępności językowej uderzyła mnie niesłychana serdeczność tych wszystkich osób w stosunku do Mamy i do mnie. Szczegóły rozmów poznałam dopiero za powrotem do domu, gdy je Mama opowiadała Babci i Tatkowi. Między innymi uwagę hr. " Fryca" (wówczas austriackiego ambasadora przy Watykanie) na temat urody Babci, którą jako rówieśnik jej pamiętał podlotkiem jeszcze. Złożył hołd piękności Mamy, rzucił wdzięczny duser w kierunku moim, ale rzewnie zauważył, że żadna z nas nie może się równać z Babcią. " Sie war verblüffend schön ". Ona sam był - nawiasem mówiąc - najtypowszym okazem wielkiej rasy, jego rysy, ruchy, sposób mówienia niezmiernie mnie zachwycały, w przeciwieństwie do jego żony, małej, krępej blondynki o twarzy pospolitej i chmurnej, Rosjanki, Buturlin z domu. Ale jakże kochaną - odrazu kochaną stała mi się hrabianka Matylda !

Wielkie, zielone oczy w szczególnie smagłej twarzy, cygańskie brwi nad nimi i dziewczęcy uśmiech, mimo zmarszczek na przywiędłych skroniach, śnieżne zęby i czułość niewysłowioną z jaką mnie tuliła i pieściła - zachowałam na zawsze w pamięci Jej niemiecczyznę, ponieważ dużo mówiła o Babci i Cioci, rozumiałam i wobec niej moje językowe braki mniej mnie krępowały. Pokazywała mi ogród, brzoskwinie na domu, psy domowe, akwarele ukochanej siedziby rodzinnej, Tolletu w Tyrolu, który znałam z opowiadań Cioci Tereni i którego mała akwarelka, także ręką hr. Matyldy robiona przed laty, czerwieni się staroświeckimi dachami i zieleni majowo od misternie wykończonych drzew w ciocinnym Quodlibecie. Na ścianie w saloniku widniała też w owalu złotej ramki litografia przedstawiające hr. Moszyńską, tak dobrze mi znajomą! Tłusta, nieładna damulka w budce z 30-tych lat i pęku strusich piór na niej... Ta sama, pamiętana, na którą zwykły były patrzeć moje oczy gdy mi Babcia lub Ciócia o swej związanej z nią młodości, opowiadały. Ona to zapozbała rodziny naszą i Reverterów ze sobą.

Hr. Antoni (ów z jedną brwią wyższą!) znalazł się z rodziną jako kapitan któregoś z ausrtiackich pułków, we Lwowie. Hrabina Moszyńska ofiarowała przybyłym przyjaciołom apartament w swoim domu, rada z miłej, towarzyskiej, a na domiar muzykalnej akwizycji. Od tej pory datuje się ten związek serdeczny, który mnie jeszcze dostał się w spadku...

Podczas gdy Babcia przebywała stale u hr. Moszyńskiej, dostała ciocia Terenia za jej staraniem posadę u Hr. Antoniostwa. Choć jeszcze sama młodziutka, już wykształcona o tyle, że mogła uczyć młodszą dziatwę - Matyldę i Teofila, dokształcając się

jeszcze równocześnie sama. Fryc i Fryderyka byli - jak się rzekło - chrzestnymi Fryderyki Hr. Moszyńskiej, która całą tę rodzinę tak pokochała z latami, że większą część ogromnego swego majątku im przekazała. Cały jej dom tworzył jakby jedno ognisko, pełne życia i myśli i od tej pory położenie Babci bardzo się poprawiło. Miała pod tym samym dachem ukochaną, starszą siostrę i całą serdeczną młodzież Reverterów, z którą uczyła się i bawiła. Latami płonęły im wspólne choinki, latami wyjeżdżano razem do dóbr podolskich hrabiny, uczyły się dziewczęta haftu przy głośnym czytaniu autorów klasycznych, - razem płatano - jakże anielsko naiwne! - psoty, urządzano balliki dziecinne, na których rolę kamerdynera odgrywał stale " Fryc", późniejszy ambasador w Petersburgu i przy Watykanie, nazywany bez pietyzmu przez siostry "kamerdureń"... Uchowały się jeszcze malowane kunsztownie zaproszenia, przesyłane z piętra na piętro, gdy się balik taki miał odbyć, ze wszystkimi tytułami kaligrafowanymi starannie przez młode comtessy i baronessy na małych, wąskich kopertach. Pokazywała mi je w r. 1890 hrabianka Matylda, gdyśmy ją w drodze do Monachium, po latach odwiedziły z Mamą ponownie. Powtarzyła nam też znajome z opowiadań domowych pewne bohaterskie wystąpienie, które okryło chwałą ciocię Terenię.

Była z Teofilem i Adelą na spacerze, gdzieś, koło Pełczyńskiego stawu. Na rozległej łące, parkiem oddzielonej od drogi, pasło się zazwyczaj bydło. Adela miała malutką, pąsową parasolkę, którą wywijała radośnie. tedy pasący się za parkiem, spory byczek, wziąwszy ten gest do siebie, puścił się pędem ku parkowi, przełamał barierę i pędził ku dzieciom i ich towarzyszce. Wówczas ciocia Terenia zasłoniła sobą dzieci i stawiła czoło zwierzęciu. Przez moment zdawało się, że będzie po wszystkich, ale - o dziwo! - bydle straciwszy z oczu czerwoną plamę, zaryło się racicami też przed pół żywą bohaterką i posapawszy chwilę - cofnęło się. Dzieci były już dość mądre by zrozumieć zajście i gdy za powrotem opowiedziały o nim rodzicom, Ciocia stała się przedmiotem najczulszych dziękczynień i starań, zwłaszcza, że po przeżytym wstrząsie zaniemogła.

Osobliwie brzmi dziś wzmianka o pasących się koło Pełczyńskiego stawu krowach i byczkach. Ależ to były czasy, gdy w miejscu dzisiejszego Hipoteczne, o Banku szumiał na Pełtwi malowniczy młyn - gdy opodal nieistniejącego już też, zabudowanego muzeami Przemysłowym i Miejskim - placu Castrum, bito piloty dębowe w grzęzawisko, na którym stanął gmach Skarbkowskiego teatru. Plac Castrum jeszcze ja pamiętam, rozległy i pusty ze stadkami małych oberwańców, grających na nim z zapałem "w kiczkę", podobnie jak na sporym, narożnym placyku, na którym za mej pamięci stanął

gmach Sokoła Macierzy.

Gdy hr. Antoni z awansem przeniesiony został do Wiednia podążyła Ciocia za nimi. Przedtem wszakże w r. 1840, na zaproszenie chorej i zapewne skruszałej wskutek stanu zdrowia ciotki Charlotty v. Jordan, pojechała do Pragi, aby ją odwiedzić i poznać. Wrażenia z tego pobytu, niektóre wielce ciekawe dla rodziny znajdują się w dziesięciu listach Cioci, pisanych do sióstr we Lwowie, babci zwanej Dulką i Celestyny, której imię skracano na "Tyna" lub "Tynka". Tam znajduje się wzmianka o podarowanych wówczas Cioci przez "Tante Jordan" portretach familijnych, olejnych i miniaturze Luizy kanoniczki. Ciotka Liza była już zamężna za Antonim Porczyńskim i widzenie z nim po drodze, także opisane jest w tych listach z podróży do Pragi. Tante Jordan była - jak z nich wynika - nudną, zchorowaną, i całkiem nieciekawą "alte Dame", może skutkiem choroby zniedołężniałą fizycznie i duchowo. Miała być bardzo podobna z powierzchowności do brata Leopolda, co rozczulało ciocię Terenię, ruda jak i on, z wydatną dolną wargą i pięknymi rękami. Bawiła przy niej stale krewna przez Ehrenburgów, stara panna, Tekla La Motte de Frintrop, której ciotka Charlotta cały swój majątek zapisała, czyniąc na rzecz bratanek tylko małe legaty. Z tych to legatów wszakże, przez Babcię i Ciocię nie roztrwonionych, kupioną została po 42 latach od praskiej wizyty - Storożka. Gdy ciocia bawiła w Pradze stary radca Jordan już nie żył.

Ale wracam do Reverterów...

Osiemnaście lat przebyła Ciocia w ich kochanym domu i choć wrócić zapragnęła w pobliże sióstr do Polski, najczulsza przyjaźń wzajemna trwała lat kilkadziesiąt, po której została otrzymała - jak na dzisiejsze pojęcia - korespondencja, najstaranniej chowanej nieprzeliczone arkusze, zapisane ręką siostrzenicy Anny, drobnym, przeźroczyście czytelnym pismem hr. Matyldy. Z Rzymu, Toletu, Salzburga, z każdego miejsca pobytu, pełne najpoufniejszych relacji rodzinnych, uwag ogólnej natury, opisów życia sfer dyplomatycznych przy Watykanie - listy wielce zajmujące i jako dokument osobisty i jako źródło dla badacza epoki - kiedyś... Dla nas przede wszystkim jako rozczulające świadectwo jakości obu tych przyjaciółek, które się czule kochały do śmierci. Myślę, że i dla potomków wspaniałego "Fryca" mogłyby się tam znaleźć niejedne ważne szczegóły. Gdy syn jego Mikołaj, zwany w domu Collie, żenił się w Paryżu z ks. Aldobrandini, przyszła do Cioci Tereni paczka spora z cukrami z uczty weselnej i dla mnie okrągłe, prześliczne pudełko z kandyzami ze słynnej cukierni "Marquis". Syn tegoż Mikołaja dał o sobie słyszeć w okazji afery ks. Sykstusa de Bourbon w czasie

wielkiej wojny, a potem jako tragiczny aktor w dramacie rodzinnym, który się już po wojnie rozegrał we Wiedniu. Zastrzelił żonę i jej amanta... O jakże dobrze, że świętobliwa hr. Matylda nie dożyła już tej **wpadki**!

Za parokrotnych późniejszych moich pobytów w jej domu, w przemiłym Fontachhof koło Parsch pod Salzburgiem, miałam sposobność napatrzyć się jej cudownej poprostu pobożności. Była to pobożność najzupełniej franciszkańska. Wesoła- radosna -mądra -dziecinnie prosta zarazem, - jakieś przyswojenie do Bożej ręki, jakoby ptaka, polegające nie na strachu, ale na " bliskiej znajomości" pojęć i spraw, które mają imiona Najwyższych Istot, oglądanych jakby na własne oczy i pozyskanych " na codzień". Cienia bigoterii, ckliwości.. Przeciwnie! Nie znosiła jej, nieraz czyniła ciężkie i śmiałe uwagi na temat księżej, niefortunnej reżyserii za kulisami wiary, reżyserji - nad której szkodliwością ubolewała wymownie, wielbicielka i dobra znajoma Leona XIII-go, który specjalnymi łaskami i przywilejami ją obdarzał. Miała m.p. pozwolenie, jako dama orderu Św. Anny, udzielania sobie samej Komunii św , co czyniła od lat w domowej kaplicy, codziennie. Pamiętam jej białe, śliczne zęby i zielone oczy pod cygańskimi brwiami, gdy się zaśmiewała z żydowskich anegdotek, opowiadanych jej przez Mamę. Pamiętała bowiem z młodości specjalny typ galicyjskiego Żyda z pejsami i w jarmułce, nie mogąc się nadziwić że jeszcze do dziś przetrwał...

Razem z nią zwiedzałyśmy też Salzburg, piękny, jak skomponowany z fantazji obraz, kute w ścianie Mönchsbergu pustelnie, cmentarzyk z grobem wielkiego Haydna, którego capstrzyk usypiał mnie cowieczora przez tyle szczęśliwych lat - zanim o innych, doniesiejszych jego dziełach się dowiedziałam - oglądałyśmy dom Mozarta i jego pomnik na placyku, a potem wstąpiły do małej cukierenki, gdzie uczęstowana zostałam ciastkiem rozmiarów i cnót już dziś zaginionych...

Później znacznie dowiedziałam się o tajemnicy serca tej najmilszej, czarującej, świętej... Gdy młodszy brat Teofil umarł bezżenny, gdy wskutek jakichś przewrotów -nie wiem czy politycznych, czy innych, majątek Reverterów znacznie ucierpiał i cała ambicja rodziny - ojca zwłaszcza - skupiła się na najstarszym, pięknym, zdolnym Fryderyku, siostra zaś jego młodsza, owa też Fryderyka wyszła za świetnego markiza de Quinverchin - o Matyldę starać się zaczął profesor uniwersytetu (podajże wiedeńskiego?) Ludwik von Arnim. Kochali się w sobie od dawna i byli naprawdę jak stworzeni dla siebie. Ładni, młodzi, rzadzy i obaj z ambicjami sięgającymi dużo wyżej umysłowo, niż to w wojsku i arystokracji wymagane. Tym-

czasem stary hrabia - z jedną brwią dużo wyższą i sroższą od drugiej - uznał widocznie że i " Mädchen müssen sekiert werden" i nie sprzeciwił się pomysłowi. Hrabianka Revertera di Salandra, siostra markizy de Quiévrecnin, siostra przyszłego ambasadora, którego marjaż w wysokiej mierze zawisł od skompletowania dostojnych nazwisk w najbliższej rodzinie - nie może sobie pozwolić na profesora, który jest tylko " von" i o którym Almanach Gotajski nie ma nic do powiedzenia... Tak czy owak, dość, że stanowczy sprzeciw ojca był wyrokiem, przeciw któremu nie było rekursu. Wszystko odbyło się cichusieńko, wzorowo, jak obyczaj każe, tylko hrabianka Matylda wypłakawszy się Panu Bogu w rękaw zrezygnowała wprawdzie ze swego najmilszego profesora, ale również cichusieńko i wzorowo wykonała jakieś wiążące, choć świeckie śluby, mocą których nigdy nie miała wyjść zamąż, umykając ojcu tym bodaj sposobem swojej ręki, którą - tak jak wstrzymał - tak i rozporządzić był gotów samowolnie. Nie bardzo rozumiem dlaczego tak właśnie, a nie inaczej postąpiła, dlaczego nie zdołała się zdobyć, zamiast biernego oporu, na postanowienie czynne, ale tłumaczy się to pewno wielkim przywiązaniem do swoich, którym - kosztem osobistego szczęścia - nie chciała przynieść uszczerbku. Ci istotnie źle na tej ofierze nie wyszli. Hrabianka Matylda ślubów dotrzymała (nawiasem mówiąc nie ożenił się też nigdy Ludwik v. Arnim) i osobisty jej majątek stał się z czasem głównym, a wreszcie jedynym oparciem dla trzech bratanic, córek Fryderyka, które również zamąż nie wyszły i które już jako niemłode panny poznałam w Parsen, w r. 1902, gdyśmy bawiąc w pobliskim Reichenhall z Mamą, odwiedziły po raz ostatni Hr. Matyldę.

Najmłodsza z nich Paula, jest świetnie utalentowaną akwarelistką, uczennicą słynnego Carśandiego w Rzymie. Najstarszą Mary malował Laszlo. Smutnie i dostojnie piękna. Średnia, Annie, najdowcipniejsza. Wszystkie trzy, istne " dziewice skał" d Annunzia, stąszejące się z godnością i wdziękiem pośrod arcydzieł sztuki i cudownej, górskiej przyrody. Na ścianie ich salonu wisiał oryginał Rafaela : Madonna z dzieciątkiem - nad kanapą jasno żółtą z malinowym obiciem, profilek anioła Carlo Dolce. W apartamentach ich osobistych, pełnych słońca i mebli w jasne, wielkie kwiaty, wiszą oryginalne sangwiny Andrea del Sarto i stoi duża, żelazna okuta skrzynka, zawierająca wyprawne brylanty ich zmarłej matki Buturlinówny, brylanty, które po niej odziedziczyły, ale których - jako niezbędne - nie włożą na siebie nigdy... Nie mają wcale obyczajów starych panien żadnych psów ani kotów, pieszczoną ich ulubienicą jest dziwnie piękna w kolorze i wymiarach, jedyna smukła kolumna z rudego, alpejskiego marmuru, którą w braku czego innego,

przyzwyczaiły do głaskania mimochodem..

- Sie hat sich schon daran gewönt...Sie hat's gern...- żartowała smutnawo Paula...

X

X X

Pomimo starannej i użytecznej kuracji, zimę po niej przebyłam jeszcze jako rekonwalescentka. Do soboty miałam u siebie znowu zebranie. Zamiast ruchomych gier zaprowadzili Rodzice deklamację - w której odznaczał się zapałem i pamięcią Genio Piasecki, dziś profesor uniwersytetu w Poznaniu - oraz teatrzyk z papierowymi figurkami, na którym " grało się " Balladynę (skróconą oczywiście) niektóre ze Śpiewów Historycznych Niemcewicza, "Powrót Taty" i różności, które rozmiar i dobór figurek umożliwiał. Biruta i Pojata Jakóbowiczówny, córki p. Fryni, z domu Maszkowskiej, Jadwiga Sawczyńska, i Tyńcia Piasecka, choć dużo starsze odemnie, pomagały w tych przedstawieniach. Duszą ich był też, wraz z siostrą Anielką, Karol Maszkowski, później przyjaciel najbliższy Wyspiańskiego, zwany wówczas jeszcze Lolem, który miał zawsze śmiałe a szczęśliwe w tej dziedzinie pomysły. Raz wyklejł mi osobny niby teatrzyk, portyk na greckich kolumnach z metopami i tympanonem, jakby pudełko, ale bez jednej, frontowej ściany. Na ścianie w głębi, wprost " wejścia" widniała naklejona owalna fotografia Madonny Sykstyńskiej... Do czego służyć miała ta świątynia, już nie pamiętamy obaj... Byłam nią jednak zazwycona.

Po produkcjach i przedstawieniach następowała loteryjka fantowa, przy której każdy zawsze coś wygrywał, aby nie było niczyjej krzywdy, choć między fantami były zwykle jakieś bardziej pożądania godne. Takie - niezmiennie wygrywali goście - nigdy ja, domowa. Tatko prowadził tę loteryjkę i zdumiewała mnie trafność z jaką każdy wygrywał to właśnie co najbardziej było dla niego odpowiednie, choć nigdy traf o tym rozstrzygał... Nie odbywało się to za pomocą kart. Kart jak długo dom Rodziców pamiętam, nawet na żart nigdy w nim nie było ! Jeżeli jaka służąca czy krawcowa kląść chciała kabałę, czyniła to zawsze kartami własnymi. Rozdawano nam były wszystkim podłużne tabliczki z numerami, oraz po garstce szklanych kwadracików. Tymi nakrywało się - o ile były na tabliczce - numery przez Tatka wygłaszane. Kto prędzej swoją tabliczkę tymi szklanymi łazankami pokrył, ten wygrywał pierwszy. Potem następni. Fanty to był np. ładny kościany scyzoryk, pularesik z pąsowej skórki, ołówek, notes, szczególnie pięknа pomarańcza lub gruszka bera, tabliczka czekolady w srebrnym pa-

pierku, czasem nawet jakaś książka, czasem ładny garnuszek... Rodzice cały czas byli tym zebraniom obecni i tak znakomicie umieli się z nami bawić, że nie tylko obecność ich w niczym nikomu nie dolegała, ale przeciwnie, brak ich byłby dla programu klęską. Tatko nie szedł w tem dzień do swojej ulubionej kawiarni Schneidera, gdzie chadzał codzień na dzienniki i na pogwarek ze znajomymi, ale zawsze dowcipem swoim i łagodnym żartem dodawał uroku " sobocie".

Szalony mój temperament z przed choroby przygasł znacznie i łatwiejsza się stałam do prowadzenia. Krępidło nie straciło jednak swej władzy nademną i wyobraźnia moja szalała dalej po wiadomych sobie drogach. Każdy wypadek zdawał się puchnąć za pomocą tego cudownego warsztatu na którym który go kładłam natychmiast i wykańczałam po swojemu. W związku z takim " wykańczaniem" zaszedł raz ubolewania godny wypadek, do którego trzeba się tu przyznać.

Oto na jednej z sobót nie zjawiła się, przychodząca jak zwykle z rodzeństwem, mała Zosia Piasecka, dziecko ociężałe i milczące, łagodne i nie biorące jakby udziału w zabawie, słowem dziecko, z którym można się było bawić akurat tak samo - jak bez niego. Palec ją bolał i wolała zostać. Rozpoczęły się produkcje. Bronek Maryański przetrzepał już „ Piotra Pszonkę Jasieńczyka", ja zrzuciłam z serca i pamięci rzecz przydługszą o królewiczu Kaźmierzu w katedrze wawelskiej, Genio tocząc zwycięsko oczami, płynnie i z patosem rzeczoznawcy (ile że jeden z pośród nas znał naprawdę prawdziwe Tatry) głosił ich piękno wierszem Pola " Jak potopu świata fale..." gdy wtedy rozległ się głośny dźwięk dzwonka u wejściowych drzwi - dźwięk, który mnie zawsze do najwyższego stopnia podniecał, otwierając pole wyobraźni, rozległe jak Sahara... Bronek poleciał otworzyć. Kto to może być? Z czym? Zaraz zaczęłam motać... Może Fryc Spanr? Może jakaś pani, której nie znam, a która zaprosi nasz wszystkich do swojej willi koło Florencji ? Jednym słowem zator cudownych możliwości, w formie mieniącej się, tęczowej piguły, która ważyła się w powietrzu za drzwiami i - dzwoniła... Póki się nie wie, wszystko jeszcze może być ! Z twarzą nieruchomą prawie jak jeden z tatkowych plejtramów, patrzyłam w drzwi za którymi znikną Bronek. Do cudownego przedpokoju nie było mi wolno .. wtem wszła Mama mowiąc :

- Ależ się ucieszycie ! Ani byście zgadli kto przyszedł...

Od drzwi szedł Bronek prowadząc za rękę małą Zosię, niosącą swój obandażowany palec, jak białą, sztywną laleczkę... Tylko Zosia !! Żal się jej zrobiło siedzieć samej w domu i poprosiła ani Ją przecie przyprowadzić... Przyszła...

Nic nie wiem z jakich obłoków spadłam na jej widok, dość, że uraza do losu, rozczarowanie gwałtowne, zawód przeraźliwy tak mi zakręciły

w głowie, żem się rzuciła na grube, spokojne dziecko, na tę " tylko Zosię " i zaczęłam ją tłuc z całej siły... Oczywiście przez mgnienie oka tylko, bo mnie Tatko od małej oderwał, nierozumiejąc niczego i nic się nie dziwię, że reszta dzieci myślała żem zwariowała nagle. Ale czyż było możliwe wytłumaczyć czy im czy starszym, właściwy powod uczynku ? Tylko Zosia! Tego nawet wymówić nie można było głosem.. A jednak tylko dlatego ją wytłukłam, że nie była kim innym, czym innym - Bóg wie czym wszystkim - co mogło stać za drzwiami..

Musiałam za karę pocałować Zosię w rękę, co mnie zupełnie nic nie kosztowało, bo istotnie nie o Zosię w gruncie rzeczy mi szło, tylko o to czego nie było. Potem dostałam szeroki kompres i musiałam się położyć na mojej żółtej sofce w drugim pokoju i słuchać przez drzwi, jak się tamci " dobawiają ".

Poza sobotami istniała też inna kryjówka ucieczn, stanowiąca jakby antydotum na moje własne bajania - oto słuchanie opowieści bez początku o którym zapomniałam, ani końca, który nigdy nie nastąpił - z których jedną " O Kukurydzowiczach", druga O przygodach Szczypiańskiego" komponował Tatko dla mnie. Osobną zaś, cudowną bajkę "O Alfie i Marynku" wymyślała Mama.

Kukurydzowiecze to była kresowa szlachta, mieszkająca we dworze dostatnim, gdzieś na Podolu, rodzina ogromnie liczna, której wszystkich członków, gości i rezydentów znałam jak rzeczywistych ludzi. Prali się z hajdamakami, przeżywali wilcze napady w saniach, urządzali kuligi, żenili się, wyjeżdżali do szkół (momenta najbardziej rozdzierające !) Raz wśród największej zadymki, zjawił się na progu zbiegły z Sybiru syn najstarszy.. Do dziś pamiętam wstrząsający opis jednej Pasterki, na którą wzięty został któryś z małych Kukurydzowiczów - wyczarowany świetnym słowem, nastrój mroźnej nocy podolskiej z niebieskim śniegiem i gwiazdami, wnętrze kościółka roziskrzone światłami - gdy wpadł posłaniec z dworu, wołając, że hajdamacy napadli... Opowieść ta zachwycająca bywała czasem w sposób całkiem oryginalny ilustrowana przez Tatka. Oto np. gdy opowiadał, jak to raz wszyscy siedzą już przy wigilijnym stole, pod gwiazdą z opłatków u niskiego sufitu, gdy wtem zdaleka odzywa się orszak dzwoneczków u sanek... Równocześnie zaczynał Tatko dzwonić lekka nożem o szklankę, nie przerywając opowieści.. Zamykałam oczy i złuda była zupełna. Sanki były coraz bliżej i dzwonki coraz głośniejsze - wreszcie w jakiejś chwili zmieniały melodię i rytm - głośne i pomieszane -odzywały się tuż pod gankiem. Ktoś przyjechał...już dziś nie wiem kto, ale ktoś najmniej spodziewany, najdziwniejszy, najpożądańszy... Ach! Naprawdę - nie tylko ja sama, ale i dom Kukurydzowiczów winien był także żem Zosię Piasecką wybiła! Jeżeli opowieść o nim nazwałam

" antydotum",to głównie dlatego,żem podczas słuchania sama niczego motać nie miałam czasu.

Przygody Szczypiańskiego to był znowu całkiem inny świat. Świat wspomnień szkolnych Tatka,gdy bywał"na stancji"w Samborze, gdy ślizganie się na gołoledzi,na podeszwie oczywiście,uważane było przez profesorów za krańcową rozpustę,- gdy mimo ~~xxxxxxxx~~ sumiennie płaconego komornego,dawano chłopcom wciąż kaszę hreczaną,w której nierzadko knot od łojowki znajdowali - gdy raz na parę tygodni zajeżdżała fura z domu pełna wiwendy,której oledne smarkacze nie miały ~~xxxx~~ gdzie i nie umiały konserwować,życie studencików w szkołach, ich dole i niedole,korowody z kolegami,typy profesorow, zimno "w stancji " takie,że woda w miednicach marzła -wreszcie ów postój w ~~xxxxxxxx~~ drodze do oddalonej szkoły,gdy fioletowy i zmieczuiony mrozem uczniak wpadał na momnet do znajomego sklepiku,aby nad blachą kuchenki rozmrozić - lub chyba właśnie odmrozić -ręce, w które czasem sklepikarka,pani Mikułowa,wkładała gorący kartofel. Szczypiański, to było nazwisko jednego z istotnych kolegow Tatka, najpomysłowszego w klasie,którego coraz to nowe psoty,poznawane na raty w miarę przybywających " rozdziałów" eposu,tak mi się pomieszały z własnymi wspomnieniami,że zawsze muszę się chwilę zastanowić nim sobie ustalę,że mnie na pleoańskiej,szarej oerze nie było,gdy się ta gałęź złamała i Szczypiański ramę zwichnął - i że nie wiem jaki naprawdę miały smak owe śliwki z kminkiem na rożenkach,wyjadane w spiżarni pkąpej owej gospodyni,kraszącej hreczaną kaszę łojówkami...

Dziedzina " Alfa i Marynka" to było pogranicze między jawą a snem. Zaczęła się jeszcze ta opowieść gdym była chora i jak palacz papierosa zgłodniała krecidła...Przecież to,że mi powiekają łóżko czystą bielizną,dają lekarstwo,czasem Tatko pokaże jakie ilustrowane pismo, Hózia naleje wiszącą lampę,a Mama wróci z miasta,pachnąca mrozem,z czymś szeleszczącym w zarękawku,co ma być dla mnie - to jeszcze nie jest żadnym " dzianiem się"... I wtedy zaczynała się bajka. Naturalnie dużo w niej było wpływu naszego najmilszego Andersena,ale były i oryginalne motywy. Np. -nie odwiedziny krainy Elfów,ale przeciwnie - Elfy w gościnie u zwykłych dzieci i wynikłe stąd konflikty. Ciocia małego wisusa Marynka i trochę mazgaja Alia która nie orientując się w elfiku,ich przyjacielu,bawiącym się incognito z chłopcami i ich siostrą Różyczką (jakies przeczucie Jasia na Zaświeciu...) posądza go o to,że uciekł z cyrku i psuje porządne dzieci uczeniem ich niebywałych psot,koziołków i tańców. Były jakies psoty tegoż elfika wyczynione tej ciotce a potem pełne wdzięku zadośćuczynienia - ale ~~xxxxxxxxxxxxxx~~ niepodobieństwa

przecie przypomnieć sobie szczegółów tej Fata Morgany na horyzoncie moim dziecinnych oczu - dość, że była piękna, nieporównana z żadną ówczesną książką, posród których chyba jeden Andersen był hors concours !

Dawniejsi ludzie umieli całkiem inaczej opowiadać niż dzisiejsi. To dla mnie pewne. Mniej myśleli cudzymi myślami, dużo mniej czytali, a bystrzej obserwowali sami. Kto by potrafił wyczarować dziś dziecku takimi kilkoma przelotnymi słowami wizję zimy i karnawału, jak mnie to uczyniła Żana Drobczyńska, dyniska przyjaciółki Mamy, gdy świeża od mrozu przyszła raz wieczorem do nas i odpowiadając na moje pytanie : jak tam wygląda na ulicy ? - sypnęła garścią paillietek :

- A cóż? Sanki jeżdżą, dzwoneczki dzwonią, panny w futrach jadą na bal, w nogi zimno, bo mają atłasowe trzewiczki, a w berlaczach pogubione guziki... Jednej wypadł wachlarz na śnieg. Ta Żydówka z maronami go dostrzegła, podniosła, woła..ale sanki już pojechały. Stara Żydówka została ze srebrnym wachlarzem...Dwóch panów w cylindrach śpieszy się... Postawili futrzane kołnierze. Dziad pod murem lichn zaczepia...Weszli do sklepu z pomarańczami...Znowu sanki i dzwoneczki.. Przez szyby słychać muzykę. Zaczyna padać śnieg.. Świat widać jak przez tarlatan ... "

Panny Bronia i Anielka Skólimowskie darowały mi całe pudełko kotylionowych orderów, które im kuzynkowie znosili z balów - zagmione już dziś ze szczętem szkaradzieństwa, które mnie jednak bardzo zachwycały wówczas. Były to płaskie rozety z plisowanego tiulu, okrągłe i kwadratowe, rogate jak gwiazdy, marszczone jak róże, zarzucone złoconymi muszkami z papieru, w których środku widniał nieodmiennie jakiś " objekt" z kolorowego, wytłaczanego en bas relief papieru, bukiecik kwiatków, słońce z szeroko roześmianą gębą, jakaś scenka amoretkowa, owce, serce przebite strzałą...Z tymi, jak słyszałam, trzeba było uważać i nie można było przyszpilać takiego orderu lekkomyślnie...Orderom towarzyszyły bukieciki, owe kalafiorki z farbowanych nieśmiertelników w okrągłym, białym manszecie z kartonu, obszytego brzegiem papierową koronką. Godne akcesoria do ohydnej mody ówczesnej ! Doprawdy historia kostiumów, jak długa i szeroka, nie zdobyła się na nic równie skończenie szkaradnego, jak suknie z makartowskiej epoki ! Mało jaka ewolucja odbędzie się równie szybko, jak się odbyła w dziedzinie sukni kobiecej i podniesienia smaku wogóle. Obok damulek Manetta - taki Poiret czy Doucet ! Takie wreszcie stroje o liniach płomienia i orchidei, jakie przyniosła ostatnia Ilustracja francuska, zdjęte podczas partii Polo w pasyskiej Bagateli ! Porównać je ze sukniami młodości Sary Bernardt, Pauliny Lukki i mego dzieciństwa...Nie! naprawdę nie wszystko z czasem jest gorsze!

X

x x

Jak już raz ze wstydem wyznałam, uczyłam się w dzieciństwie bardzo niechętnie. Gniewały mnie oznaczone godziny i pewna solenność z jaką Ciocia Terenia zwłaszcza, odnosiła się do procederu nauki, czyli - jak mnie się to przedstawiało - przekładania z miejsca na miejsce zapasu wiadomości. Uważałam, że całkiem wystarczy jeśli Ciocia będzie to i tamto wiedziała... Każdej przecie chwili mogłam ją - gdyby zaszła tego potrzeba - zapytać o wszystko. Wiadomym mi było sowiem że Ciocia jest zupełną spiżarnią mądrości... Nie było zatem innej rady, tylko wprowadzać mi w mózg rzeczy niezbędne jakby mimochodem, w formie opowieści, czy wspomnień osobistych. Najsłodsza ta istota czyniła - ciocia Terenia - czyniła to z czasem wysoce chytrze i skutecznie.

Geografii uczyłam się zatem z relacji o podróżach hrabiny Moszyńskiej i Reverterów, przy czym przemycało się podejrzanie dokładne szczegóły o krajach, miastach, mieszkańcach, różne cyfry i daty, z którymi niejeraz coś na rzadkim sitku mojej uwagi zatrzymane, przetrwało do dziś. Ilustracją do kometarzy bywał oszklony Quodlibet cioci, mapy, globus... Czechy, Pragę i Hradczyn poznałam dzięki osobistym wspomnieniom Cioci z tych okolic, z czasów gdy tam bawiła u ciotki Charlotty Jordan. Wizje Katarzyny Emmerich, której kult w naszym domu był dawny i głęboki, stanowiły podstawę do poznania Pisma Swiętego. Dwie były formy w jakich odbywała się ta cudaczna nauka. Zwykle, gdym sobie rysowała w kajecie, zjawiała się czatująca na tę chwilę Ciocia i z jakąś robotą w ręce, sadowiła się opodal. I zaczynał się "dyskurs". Dziś dopiero zrozumieć mogę jaki to był wysiłek z jej strony, to chwytanie " oczka" w ciągle prującej się uwadze, ta baczność z jaką mnie zmierzkowała zamiaru.. Druga forma to były gawędy po ciemku, na długiej, wąskiej kanapce.

Dziwaczny ten kompromis ze swawolą smarkacza, nie był wynikiem braku pedagogii u moich Rodziców. Powód był ten, że latami po przebytej chorobie płuc, po każdej, najlżejszej irytacji, dostawałam gorączki i kłucia w powiększonej śledzionie. Bezradni Rodzice woleli więc tę fuszerkę nauki, którą w tej formie znosiłam, niż łamanie buntu, lub wreszcie danie całkiem za wygraną. Dziś jeszcze żal mi moich późniejszych nauczycielek ! Były to osoby, albo już wtedy święte, albo dziś oddawna - dzięki wyszafowanej względem mnie cierpliwości -zbawione. Bardzo, bardzo nierychło miałam polubić naukę !

Ciocia tedy, w powyżej opisany sposób uczyła mnie religii, historii, geografii i języków. Do rachunków miałam nauczycielkę spe=

cjalną, pannę Julię Abgarowiczównę. Odbywało się to już trochę później, byłam zdrowsza i musiałam cierpieć całe godziny. Rachunki to była zawsze moja najsłabsza strona i pozostała nią bez ratunku. Taki sam fizyczny odrzut jaki się miewa czasem do kota, węża, myszy - ja miałam do matematyki. I - pożal się Boże - co to była za matematyka ! Tabliczka mnożenia i krótkie, nadaremne mocowanie się z ułamkami. Nie mogłam ! I tępota wrodzona na tym punkcie i wstręt jakiś, uczyniły mnie w tej dziedzinie kaleką. Biedna panna Julia! Naczęściej powiem, po godzinie anielskich wysiłków z jej strony i zawziętej bezmyślności z mojej, słyszała zuchwałe pytanie :

- Co pani na tym wszystkim właściwie zależy? Bo mnie nic a nic! Czy nie lepiej, żebym pani coś narysowała?

Chemii - w sztubackim oczywiście zakresie - fizyki z książki i tajnej samej botaniki, uczyła mnie panna Helena Uścieńska. Łagodne, bladozłote stworzenie, które jakoś lepiej znosiłam od biednej panny Julii. Botanikę demonstrowała mi z włosną na żywych kwiatach i trawach i to było zabawne. Natomiast dla opisywanych w książeczce stosów Volty, kociołków Pappina, tłoków i prądu Galvaniego pozostałam najzupełniej obojętna i dopiero w schodnickim warsztacie, dorosła, zrozumiałam że i one mogę być czymś w rodzaju cudu.

Muzyki uczyłam się zrazu u Mamy, ale gdy jej autorytet okazał się za słaby, dostałam nauczycielkę obcą, pannę Brulard. Pamiętam, że ślicznie grała, dziwnie aksamitnie, ale była niezaradna, brzydka, stara i kwaśna. Nic się jej nie dziwię! Dość, że te lekcje były raczej parodią nauki, niż czymś na serio. Za muzyką sama przepadałam, umiałam jej słuchać z pożytkiem i bardzo wcześnie - i nieobecność jej w moim dzisiejszym życiu, to jedna z najbardziej bolących wyrzeczeń, ubóstwo, jedno z najmniej spodziewanych. Nie byłabym uwierzyła, że można żyć bez muzyki -tej wielkiej, prawdziwej... Bardzo szybko uczyłam się na pamięć wszystkich utworów, lekceważąc nuty i jeżąc się nawet na tę szczyptę mizernego rachowania, konieczną aby zrozumieć podział taktu. Było we mnie jakieś nieuleczalne cygaństwo i całkiem nie pojmuję dlaczego, mimo jawnej beznadziejności wysiłków, uczono mnie jednak dalej.

Po p. Brulard wybrano mi nauczycielkę młodszą, przyjemniejszą. Była nią panna Paulina Lachner, uczennica ukończona szkoły L. Marka, która obok K. Mikulego, szopenisty, romantyka -reprezentował we Lwowie kierunek Lisztowski, kładąc raczej nacisk na temperament i siłę. Panna Paulina po kwaśnej i słusznie zwykle mną zgorszonej pani Brulard, wydała mi się miła i ciekawa. Oczywiście nie kieru-

nek,ani metoda jej gry zaważyły na tym wrażeniu. Działało tu całkiem xxxx co innego. Oto panna Lachner miała nieocenioną obyczaj poświęcania znacznej części godziny na wytrząsanie przede mną różnych sensacyjnych wieści z miasta. Była mi jakby arkuszem drukowej gazetki,którego chciwie czekałam. Fortepian był w tym wszystkim jedynie nieznośną przeszkodą. Każdy " straszny wypadek", oparzenie służącej, upadek z piętra,przejechanie i inne nowiny - jaskrawe i popularne jak oleodruk - umiała opowiedzieć niemal szybciej,niż się zdarzały. Prosta rzecz,że wiedziałam poza tym niemal wszystko odrazu o uczennicach panny Pauliny,które były liczne i niechybnie pilniejsze odemnie. Ulubienicą jej była Helenka Feiglówna, wzór pono talentu i cnót. Ojciec tejże Helenki,lekarz sądowy, miewał co moment obowiązek oględzin i orzeczeń po rozmaitych samobójstwach,czy morderstwach. Poprostu zawodowo parał się więcej z trupami,niż z żywymi.

Panna Lachner, bawiąc w owym domu bardzo często,miała zawsze z pierwszej ręki relacje o wypadkach i szczegółach podobnych. Co zaś działało najbardziej na moją wyobraźnię, to okoliczność,że Dr Feigl był jedynym we Lwowie specjalistą od balsamowania nieboszczyków. O tych to ponurych czynnościach dra. Feigla opowiadała mi panna Paulina z nieubłaganym ,holenderskim realizmem. Zupełnie xxxx tak samo byłam chciwa tych szczegółów,jak się ich bałam straszliwie. Jedynie tej ze strachu przed własnymi słowami nie powtarzałam xxxxxx niczego z tych okropności Rodzicom ani ciotce. Napół świadomie zapewne lękałam się także,aby mi mojej ciekawej gazetki " nie zawieszono" nagle.

Jeden zwłaszcza taki opis balsamowania zmarłego we Lwowie jenerała Jósiki,zatruwał latami spokój moich codziennych zasypiań. Tak się złożyło,że doktor Feigl musiał wykonać swój zabieg nocą,sam na sam w ogromnym salonie ze zmarłym,przy blasku licznych lamp i świec i już dniało,gdy zastrzykiwał mu w policzki jakiś czerwony preparat,aby się wydawał tłumiony i nie tak martwy...Ach! I mnóstwo jeszcze innych dodatków w opisie tej nocy...Okropne to było! Gdy austriacki ów dostojnik zachorował,pierwszy raz wówczas widziałam przed domem w którym leżał wysoką warstwę słomy rozłożoną na ulicy,aby go turkot pod oknami nie drażnił. Pamiętam też wspaniały pogrzeb potem,z oddziałem wojska i pułkową muzyką,rydwan pełen wieńców i jadącego konno za karawanem rycerza,zakutego w czarną zbroję,z tarczą herbową nieboszczyka na ramieniu.Ten Jośika był bowiem ostatnim z rodu i tarcza ta miała być strzaskana nad jego grobem. Ten czarny rycerz o zapuszczonej przyłbicy,na karym, zirytowanym koniu,sam mający w sobie coś z żywego trupa i strasz-

nej ballady, ponura, wojskowa muzyka i te szczegóły o barwionych o zaranku policzkach umarłego - wszystko to pozostało mi (w pamięci) jak jakaś przerażająca, płochliwie omijana mysią ciemna wyspa- jak taki czasem jeden kąt w domu, niewiadomo czemu straszniejszy od innych. B.

Bo ostatecznie - niech sobie starsi mówią co chcą- pomimo że dziecko strachu unika i gwałtownie nieraz wskutek tego cierpi - przecie cudownie jest się bać ! Strach tak samo ciągnie, jak odpycha, ten ciekawy, rodzący się w nas - z niewiadomego... Ten który jest stanowczo najsilniejszym co dziecko - a może i człowiek wogóle ? - nerwami może odczuć. Całkiem słusznie czynią rodzice zakazując niańkom straszenia, w każdej jednak biografii dziecinnej znajdzie się taki jakiś balsamowany nocą Bogu ducha winny jenerał Kosika i taka panna Paulina, która o pośmiertnych dziejach nieboszczyka, co wie i nie wie - opowie...

Z tych relacji panny Lachner, obok ponurych, medycznych guseł dra. Feigla, pozostał mi jeszcze we wspomnieniu ...mózg małej dziewczynki stróża rozprysnięty na deskach paki ze śmieciem w jakimś sąsiednim podwórzu.. Coś na nią spadło, skrzynia, czy brama, nie wiem - w same Zielone Święta. Panna Lachner była w domu i gdy w mgnieniu oka całą ulicę Zimorowicza zalała wieść o nieszczęściu, ona naturalnie poszła coprędzej na podolskie podwórko, obejrzała zabitą i przy pierwszej lekcji opowiedziała mi o wszystkim. Przedziwnie trwałe są takie pierwsze zdjęcia na świeżej kliszy dziecinnego umysłu ! Nie widziałam sama tej dziewczynki, znam jej żałosny koniec tylko z opowieści, a jednak ów czerwonawy mozg dziecka, rozprysnięty na szarych deskach śmieciarki, nie " pamiętam" ale wprost widzę... Długo, długo kojarzyło mi się to widzenie z słodkim świegotem szuwaru i zapachem zwiędłej w słońcu zieleniny drzewowych liści na naszym ganku...

Fascynujące nowiny panny Lachner miały podczas moich lekcji znaczenie podobne do smaku malagi w rumbarbarum... Przynajmniej było mi łatwiej przełykać zło konieczne. Postępy moje były w dalszym ciągu znikome i to pewne, że nie one, tylko raczej moja widoczna chciwość na nowiny i towarzyskość, jednały mi serce panny Pauliny. Była to niewiasta bardzo " stuszna", o ówczesnej pięknej figurze, w stanie wciętą jak osa, z bardzo pudrowaną, obszerną twarzą, zdumiewająco czarnymi brwiami, która podczas lekcji - o ile nie opowiadała nowin i nie czyniła uwag fortepianowych - gryzła nieustannie cytrynowe pestki. Miała ich zawsze pełne kieszenie. Do dziś nie wiem dlaczego to robiła ?

Mieszkała z matką i dwiema starymi pannami, ciotkami, na-

przeciw nas w jednopiętrowej kamieniczce, na której tynk pomidorowy patrzyłam przez lat dwadzieścia kilka. Dom ten miał zielony, wąski balkon właśnie przed salonikiem panny Lachner i kryty gontami dach o strychowych okienkach, z wygiętą powierzchnią, niby oczy wielorybа. Nad tym dachem obserwowało się zawsze z zimie chmury kawek, z których zachowania stawiał Tatko horoskopy atmosferyczne. Nad jego ośnieżonymi gontami stale, przez szereg najmilszych lat, wypatrywało się gwiazdy trzykrolskiej, której mroźne jaśnienie było corocznym hasłem do Wilii...

Raz - pamiętam - stałam przy jednym z okien sypialnego pokoju Rodziców, patrząc z Tatkiem, poprzez szyby, całe w diamentowych wodziakach, na zimowe, granatowe niebo. Nagle Tatko pokazał mi nad tym gontowym dachem o wielorybich okienkach gwiazdę, dużo mniejszą od trzykrólskiej i powiedział tonem zupełnie naturalnym, ale takim, który zapamiętałam do dziś :

- Popatrz no, tę gwiazdę ci darowuję ! Jest twoja własna. Niech ci ją kto spróbuje odebrać !

Póki byłam w domu zawsze wiedziałam która to... Potem dom rodziców się skończył, znikła pomidorowa kamieniczka naprzeciw, inna wysoko na jej miejsce wyrosła, ja zamieszkałam gdzieśdziej.. Gdzieś mi się ta gwiazda od Tatka zamyliła na niebie.. Wiem jednak, że jest i że mi jej nikt zaprzeczyć nie zdoła...

...Istniał już wówczas obyczaj odwiedzania na imieniny i obdarowywania nauczycielek przez uczennice. Odbywało się to zawsze - o ile sądzić mogę - o wiele serdeczniej, samorzutniej i skromniej. CHadzałam na kwartalne " popisy" i takie właśnie imieninowe uroczystości naprzeciw (skąd dziwnie było mi popatrzeć na nasze cztery, kochane okna !) gdzie wywierały się na dwu ogoniastych fortepianach kilka razy do roku najzdolniejsze ślewki panny Pauliny. Przy jednej z takich okazji, odegrawszy mężnie na pamięć pamiętaną sonatinę Beethovena, poznałam się z ową niezwykłą Helenką. Nie lubiłam jej z góry tak jak wszystkie dzieci nie znoszą takich, które im się daje za przykład, pokazało się jednak, że Helenka (szlachetna dzisiejsza artystka pani Helena Ottawowa) jest dziewczynką bardzo przyjemną i grzeczną. Powiedziała mi nawet coś miłego o mojej sonatinie. Nosiła, tak jak ja, grzywkę czarną, przystrzyżoną nad brwiami, ale podczas gdy z mojego karku zwisał długi i gruby warkocz, ona nosiła włosy krótko obcięte, w kędziorach. Na szyi miała sznurek różowych paciorek z matowego szkła, których jej czas dłuższy skrycie i mocno zazdrościłam. Już wtedy gra jej była bardzo niezwykła.

Mam wrażenie, że panna Paulina, jej matka i ciotki musiały

mieć razem wziąwszy jakąś niesłychaną ilość lat. Niemniej oznajmiła mi pewnego razu panna Lachner, że wychodzi zamąż. Zdumiałam, a potem zaraz pojęłam dlaczego uderzyły mnie od pewnego czasu znaczne melioracje w jej powierzchowności. Dużo jeszcze czerniejsze brwi, policzki jeszcze bledsze, loczki krucze nad czołem, zawsze podobne do kudełków perskiego baranka - jeszcze bardziej krucze i pokrętne... I suknie w kolorach bardziej młodocianych, jakieś perfumy o zapachu czekolady, czasem świeże kwiaty przypięte do zarękawka i - jeszcze więcej cytrynowych pestek w kieszeni...

Pokazało się, że narzeczonego znałam już z widzenia. Jeszcze w jesieni widywałam to maleństwo z czarnymi baczkami i w żółtych trzewikach, siedzące między dwoma oleandrami na balkonie w żelaznej smukłe " iksy", podczas gdy z głębi saloniku płynęło wspaniale smutne, przejmujące mnie zawsze " Zaproszenie do tańca" Webera. Panna Paulina grała naprawdę bardzo pięknie. Potem jawiły się na balkonie wszystkie trzy grube Parki i ona sama, co - zważywszy konkurenta i dwa oleandry - było niełada ściskiem. Wprawdzie zasiady te trwały długo w mrok i powtarzały się przy pogodzie stale i choć zawsze spostrzegałam naprzeciw tego samego misternego gościa - na myśl mi nie przyszło, żeby za niego można wyjść... A jednak...

Najwspanialsze było na nim nazwisko. Nazywał się Kosciele=cki. Piastował jakiś niewysoki, jak on sam urząd miejski i przyszłość oblubieńców układała się gładko. Pan młody miał się poprostu wprowadzić do poczciwego babińca naprzeciw, wnosząc do wspólnego menażu aport złożony z kilku starych konterfektów rodzinnych, pensyjki comiesięcznej, parawanu o sześciu skrzydłach jak Cheruoin - no i samego siebie... Bardzo ciekawie sposobiłam się na ten ślub, na który mnie ciocia wziąć obiecała. Jakaż była jednak cudowna niespodzianka, gdy mnie panna Lachner, razem z ciocią, zaprosiła na wesele ! Nigdy jeszcze dotąd na żadnym weselu nie byłam i już naprzód pławiła się moja wyobraźnia w jakichś niebywale malowniczych widzeniach.

Niestety jedno z moich częstych wówczas jeszcze zaziębień nie pozwoliło mi na obecność w kościele i tylko, zawinięta, jak cebula, w futrze i szalu, przeszłam z ciocią od bramy do bramy i znalazłam się pośród weselnej parady. Panna Lachner nazywała się już panią Kosciele=cką. Przemiana ta, pierwszy raz tak naocznie oglądana, wydała mi się rodzajem cudu, który mnie przejął do głębi. Choć byłam łakoma, nie rychło otrząsnąć się zdołałam z wrażenia i rzucić okiem na ponęty, pod którymi " uginał" się stół, - ba! - cały archipelag mniejszych, biało okrytych stolików. Wszystkie malutnie pokoiki, znajome mi z poprzednich bytności, zapełniał

szczelnie ścisk młodociany. W wesołej gromadzie gromadzie stawiły się wszystkie uczennice. My z Helenką liczyłyśmy się do młodszych, najmłodszą była,obecna także pięcioletnia Oktawcia Rojekówna. W tym kolorowym orszaku, błyszczącym grzywkami i warkoczami,motylami kokard i szarf ,krążyła jak biały wodotrysk,opłyniętą przejrzystym welonem, czarno-brewa panna młoda. Postrojone bordeaux i brązowo, popielato i biało-koronkowo - przetaczały się z miejsca w miejsce trzy grube Parki,co było tym większym kunsztem,że wszystkiego było dość na tej fecie - prócz miejsca... Na kanapie i foteliikach pod ścianami rozlokowano mamy i przynależne do dziewcząt ciocie. Cały szczupły teren wyglądał jak spolsty marcepan,w którym główną inegrediencję stanowiły podłotki i tak zwane "smarkule". Spodem, między tą masą szmyrgał i nurkował pan młody...

Po wręczeniu pannie młodej jakiegoś zbiorowego upominku od uczennic,rozpoczął się obrzęd heroaciany. Wązka klitka, taki akurat tylko futerał na fortepian, wcmłoną dziś cudem jakimś i stół i długiego jak krokodyl Bösendorfera . Na stole,wśród talerzy malowanych w bukiety kwiatów, stały owe zaginionego dziś gatunku, podwójne konchy porcelanowych etażer,złączone wykrętną, pozłacaną gałęzią,spiętrzone stosami ciastek o kształtach już też zamierzchłych :wielkie banie kawowych planek,makaronikowe łuki osypane listkami krajanych migdałów,- twarde jak minerał, płaskie kreacje z czekolady na opłatku, ciastki, mazurki żółte w rzucik drobnych koryckich rodzynków (zdaleka istne arkusze z mucnami,połapanymi na lep..) środkiem, na obrusie okrągliły się strojne torty,o nazwach które też pustym stają się dźwiękiem. Torty skaliste,linckie, pomadkowe,daktylowe... Kosze pełne pomarańcz i ber,w białych zawojach serwet zdumiewające ilości gorących maronów.. Z domowych

osób nikt nie siadł,wszyscy starali się nieco z wszystkich tortów naraz przychylić gościom. Rodzina - jak wymarkowaliśmy - miała się zająć dopiero po nas,na kolację.

Po heroacie i tortach oznajmiono nam,że będzie przedstawienie. A zatem jeszcze jedna rozkoszna niespodzianka ! W głowę zachodziłyśmy kto i co będzie przedstawiał ? Lawirując nie bez przeszkód między skupionymi w ciasnocie sprzętami,ciągnąc za sobą każda swoje krzesło, zgęściłyśmy się w pok ju obok jadalni,dokąd nas skierowano. Za przepierzeniem improwizowanym z portretów rodzinnych pana młodego i jego wyprawnego parawanu ,znajdowały się łóżka przed tą zaś dyskretną kulisą widniał rodzaj szopki,mała scenka okryta draperiami z firanek,pusta i oświetlona nisy kinkietami, szeregiem płonących stoczków. Zastanowił nas brak pana młodego

na widowni, zaraz wszakże stał się zrozumiałym, gdy z podłogi sceny umieszczonej nieco wyżej, niż nasze nosy, wynikły małe, kolorowo xxxx odziane łaleczki i ozwał się z pomiędzy draperii głos p. Kościeleckiego, naśladujący do złudzenia dialog szmacianych krasnoludków. On to, nadziawszy na palce te nioy osobki, ruszał nimi, mowił za nie, kłocił się, czynił to wszystko tak zręcznie i ucieszne, żesmy się zanosiły od śmiechu. Były to dwie sztuczki : " Berek zapieczętowany " i druga, w której rzecz szła o jakąś bardzo hałaśliwą i pomysłową Małgorzatę... Skakał koło niej diabeł i organista w szafirowej kapocie, xx który ostatecznie w zawikłaniu zwyciężył... Każda z łalek piszczała innym głosem, a najlepszy był szwargot Berka i porywczy dyszkant Małgorzaty. Dziwne wrażenie robiły duże, ciemne, majaczące za teatrzykiem, surowe oblicza antenatów pana młodego.

Notując to wszystko, sama xxxxxxx sobie nie dowierzam chwilami. Przecie nie tak to dawno jeszcze, a niech sobie kto spróbuje odtworzyć dzisiaj nastrój podobny ! Wnętrze skromniuteńkie, nasycone dobrocią i prostotą serc jakgdyby dziecinnych, mieszkanie ludzi żyjących wyłącznie ze swej pracy, którzy obchodząc wesele, pomyśleli przede wszystkim o tym aby zrobić przyjemność gromadzie takich dzieciątek, z których niejednę stokroć lepiej zapatrzyło życie od nich - przyjemność, bądź co bądź, nawet w tamtych łatwych czasach kosztowną, po za którą nie było śladu wyrachowania ! I te ucieszne marionetki pana młodego w asyście starych, karmazynowych konterfektów ! Niedawno z największym rozczuleniem przypomniałyśmy sobie z p. Ottawową owo wesele, niewiarygodną dziś wręcz atmosferę tej chwili, oblepiającą w pamięci tak, jak smak i nazwy niemodnych już tortów, skalistych, lipckich, pomadkowych...

Pogodnie zaczęta nowa era w mieszkaniu naprzeciw, nie trwała długo... Czy antenaci namotali coś na własną, czy sam los tak chciał, dość, że zdawało się czas jakiś, że w miejscu gdzie pieczętowano Berka stanie kołyska, a nowożeniec o nazwisku większym od siebie, zostanie ojcem... Czego tam w odpowiednim terminie dożył sześcioskrzydłowy parawan - nie wiem. Zasłyszałam tylko rozmowę babciów przy komodzie pod oknem, z której wynikało, jakoby jedna z dwu grubych ciotek pani Kościeleckiej wyznała cioci Tereni, że : " pocałowała by się tam gdzie nie dosięgnie, z radości, że zamąż nie wyszła..."

Lekcje z panią Pauliną na zawsze się przerwały. Jedynym zabytkiem moich z nią studiów jest owa słynna "polka niesmiertelna" (która nadomiar była zawsze walcem...) grywana jeszcze przeze mnie do niedawna, ostatni, szczątkowy ślad mojej fortepianowej niesławy...

X

X X

Z rozkoszą wspominam sobie wakacje w Mikuliczynie w roku 1881.

W drodze ze Lwowa Mama, Babcia, ja, czteroletni Adaś i służąca Marcelka, nocowaliśmy w Kołomyi. Wstawszy o świcie w cudny, czerwcowy poranek, zaprowadziła mnie Mama przed pomnik na rynku, cały w łunie wschodzącego słońca.

- Popatrz, to właśnie ten Karpiński, który napisał " Kiedy ranne wstają zorze..."

Znałam go już z kochanego " Przyjaciela Ludu", którego czytywała mi nieraz Ciocia. Pamiętałam, że gdy miał przyjść na świat, napadł na dwór Karpińskich opryszek Dobosz. Usłyszawszy co się święci, nikomu niczego nie zrobił, zażądał tylko, aby to dziecko mógł trzymać do chrztu. Miałam już osiem lat, poprzednia podróż po Styrii i Bawarii nauczyła mnie patrzeć z pożytkiem i całkiem dorzecznie orientować się w nowych wrażeniach. Wskutek tamtych przeżyć miałam się tylko za coś osobliwego... Korespondowałam z Fritzem Spahrem - zrazu naturalnie z pomocą Mamy lub Cioci... Góry i lasy szpilkowe przypominały mi Gleichenberg i Aussee .. Byłam uszczęśliwiona...

W Mikuliczynie mieszkaliśmy w domku niejakiego Greinera, wysoko, nad zboczą okrytą łąkami, na razie sami, gdyż Tatko na wakacje nadążał zwykle później, terminem roku szkolnego skrępowany. Poniżej tej rozległej zboczy, rozciągała się w dolinie wieś, jeszcze wówczas typowa wieś huculska, niesłychanie rozrzucona, podobna zapewne do dzisiejszego Mikuliczyna. Żadnych willi ani dworków, od każdej chaty do następnej przestrzeń ogromna. Rychło odkryłam koło naszej siedziby pewien karkołomny, wysoki przełaz i łączkę za nim. Takiej masy niezabudek, szczawiów wyższych ode mnie jaskierów, firletek, kaszek nie widziałam nigdy z tak bliska. Buchnęłam w nie twarzą jak długa, tarzając się jak pies w zaroszonej, wysokiej, dokiej trawie. Pamiętam użycie szalone, szelest fioletowych dzwonków koło uszu, niebieskość niezabudek pchających mi się między rzęsy, zapach mietej, przygrzanej słońcem zieleniny... Mam wrażenie, że tak od serca przywitałam się z tym wszystkim pierwszy dopiero raz - na tej łące. Trawa była tak wysoka a ja tak mała, że patrząc ku górom nie widziałam wcale drugiego planu, tylko odrazu nad samymi kaszkami i jaskrami, daleki, niebieski łańcuch gór nieznajomych... I to powietrze pierwszy raz zaznane - to powietrze! Takie samo, umiłowane do śmierci, z jakim niestety w swoim

czasie - podobnie jak z Lukiem - pożegnać się dość przytomnie nie zdążyłam...

Nigdy już potem nie spotkałam takich polnych kwiatów. Była zwłaszcza jedna łąka spadzista bardzo, którą się szło w dół po wodę skośną ścieżką, między samymi kwiatami. Rumiany, mieczyki amarantowe, wielkie, białe, pachnące koniczyny, skabiozy liliowe i żółte - kwiaty jakieś kosmate, błękitno granatowe, podobne do grubych, krępych gąsienic. - czy ja już xxxxx wiem dziś co za cuda i jak się one mogły nazywać ?! Dość, że się napatrzeć - nacieszyć nie mogłam. Wodę brało się ze źródła, popod prostopadłym obrywem leśnego jaru. Zarastała go świerczyna, kalina, maliny... Dostęp do samej wody śliski był i stromy, pokonanie tych przeszkód było zawsze satysfakcją osobną i rozkoszną. Łąkę tę i dróżkę wspominać będę zawsze jako jeden z ośmiu cudów mojego dziecinnego świata.

Tam też widziałam najpiękniejszą i najszczęśliwszą ze znanych mi kaczek ! Chowała się z kurami Greinerów i była dzika. Złapano ją przed rokiem, podcinano zawsze skrzydła, aby nie mogła polecieć. Po roku dano jej spokój i chodziła sobie swobodnie między domowym drobiem. Śliczna była jak jakiś klejnot, mieniąca się w słońcu, tylko pono wielce nietykalna. Szłyśmy raz z Marcelką do źródła i mijały miejsce, które zawsze bardzo mnie inspirowało : zbocze obcięte jak olbrzymi, skośny przekładaniec, warstwa ziemi i warstwa kamienia, różnobarwne pasy nachylone raz na zawsze w jedną stronę, po wierzchu porośnięte świerkowym lasem - zbocze, dla moich ówczesnych oczu niebotycznie wysokie i ginące gdzieś w tajemniczym jarze, którego dna nie śmiałam być ciekawa. Bardzo się lubiłam bać tego widoku, wyobrażając sobie zawsze dziwy na tym tle..." chwili gdym się raz zagapiła na ową pasiatą ścianę tonącą właśnie w cieniu, Marcelka wrzasnęła :

- Kaczka ! Nasza kaczka !

Istotnie zobaczyła dziką kaczkę lecącą ciężko przez słoneczne powietrze wprost ku groźnemu przekładańcowi. Leciała tam właśnie, jak w dym. Cudowne barwy świeciły na jej piórach, im pasiate tło było ciemniejsze o tej porze, tym ona jaskrawiej błyszczała. " Że też ona się nie boi ! " - pomyślałam z zachwytem i radością. Ale nie bała się, tylko najwidoczniej poczuwszy siłę w skrzydłach, skorzystała z pierwszej okazji aby drapnąć. Jakaż ona musiała być szczęśliwa ! - Są czasem jakieś bez zrozumiałej racji ostrzejsze klisze w kasecie pamięci... Ten kawałek bolego świata z lecącą przezeń kaczką - mam w oczach tak wyraźnie, jak jakiś rzeczywisty obraz, któremu brakuje tylko ramy i gwoździa. "Szczęśliwa kaczka" nie wróciła już nigdy między kury, w mojej xxx zato głowie została na zawsze...

Z domkiem Greinera sąsiadowało gospodarstwo zasobnego nu = cuła, ktory hodował mnóstwo owiec. Owce te pasły trzy dziewczyny pod= rostki. Codzień widziałam jak wieczorem wracały z całym stadem z pastwiska. Musiało być odległe, bo przed zachodem nigdy nie schodzi= ły z poloniny. Bardzo mnie korciło zapoznać się z nimi. Podniecały mnie wielce jaskrawe stroje huculskie. Po płótniankach dymskich i żurawieńskich, wydawali mi się ci ludzie jakoy jakimś teatrem, ogrom= nymi krasnoludkami, zaczarowanymi lalkami, które chodziły i gadały, a chaty ich, całe z ciemnego drzewa pachniały mi bajką o chałupce z piernika. Długo nie mogłam się uspokoić po widoku niedzielnego nabożeństwa w cerkwi i tego ścisku, ktory wyglądał naprawdę jak scena jakiejś sztuki. Po latach czterdziestu pięciu - myślę dziś, że - jakkolwiek jeszcze i teraz jaskrawy - tłum ten musiał po= szarzeć. Nie wiem czy noszą jeszcze Huculi w Pikuliczynie szafirowe lub czerwone sukienne najdawery, jak wówczas, - pasy nabijane mo= siędzem, czy jawią się na kosmatych głowach dwie czarne włóczko= we przepaski, jakoy greckie, plecione w warkocz i przetykane mosiężnymi guzami ? Czy od warkoczy dziewczęcych wiszą w niedzielę grube, długie chwasty z pąsowej włóczki? Nie chyba... Usłużna, tania, żydow= ska tandeta w kramach, gasi przecie wszędzie koloryt wsi. Błogie, zdrowe, roślinne barwy dawnej chłopskiej odzieży, przedrzeźnia obrzy= dle trutka anilinowych grynszpanów, różów, gumigut..

Poznajomiłam się wreszcie z małymi Huculkami. Najstarsza z nich nazywała się Katrusia, miała chudą, przyjemną twarz z bystrymi siwymi oczyma, włosy tak jasne, że aż białawe, schowane zawsze pod czerwoną chuścinę, związaną w węzeł pod brodą. Dwa wełniane pąsowe fartuszki, jeden przedni, drugi tylny, czyniły ją podobną do półtor = wartego, smukłego strąka. Na ramionach nosiła zwykle szarą, jak i koszula, płócienną płachetkę. Bardzo była śmiała i zabawna. Nie u= miałam jednak zrazu po rusku i trudno nam się było porozumieć. Ba= wiło mnie, że zna wszystkie owce zosobna, jak ja znałam swoje lalki i książki, że o każdej coś potrafi powiedzieć. Wszystkie trzy dziew= czynki były najętymi pastuszkami, których płacę pobierały matki, mieszkające daleko w górach. Straszną miałam ochotę pójść z nimi kiedy na to wysokie, odległe pastwisko...

Pragnienie to było o tyle zrozumiałe, że nie było żadnych in= nych dzieci w pobliżu. Mama tam, dla cierpienia serca, nigdy po go= rach chodzić nie mogła, Tatko miał jakieś zamówienia artystyczne, k tóre go zajmowały, Babcię absorbował Adaś - ja zaś, zdana jedynie na moje kredki i własny przemysł, żadna byłam przygód. Rozstrzygnął wreszcie wątpliwości Rodziców sąd panny Filipki, dojrzałej wielce córki ruskiego proboszcza, która bawiła u Greinerów, mówiła czysto

po polsku, miała mimo brzydoty dotkliwej humor bajeczny i bardzo mi sprzyjała. Zaręczała, że mogę iść z tymi dziewczętami nie na dzień, ale na tydzień choćby i ani krzywdy, ani zgorszenia nie zaznam. I rzeczywiście. Choć potem na całe dnie przepadałam w tej krasej kompanii, nigdy ani oczy moje ani uszy nie zaznały nijakiego uszczerbku.. Co do uszu, to nawet wręcz przeciwnie...

Zaczęły się wspaniałe czasy. Ranniuteńko przylatywała po mnie Kataryna - i ta wczesna pora była jedyną, niełatwo stroną całej imprezy... Szłyśmy między płotami z drania, kamienistą drożką pełną drepcących owiec, ku lasowi, przez który trzeba się było piąć dość długo. Świerki w nim rosły ogromne, obwieszone brodami białodzielonych mchów, rosły paprocie piórzaste sięgające wolcn uszu, grzyby i - pod koniec lata - wisiory szafirowej gencjany. My z Katarynę wzłyśmy zwykle z tyłu, potem owce, a przodem tamte dwie, świecące pąsowymi łupinami swoich zapasek. Każda z pastuszek miała wełnianą torbinę w kratkę czarno białe, zawieszoną na postronku przez plecy, w niej zapasy ubogie na cały dzień, siarniczki i kozik. Ja miałam także tórbkę podobną, tyle że pąsową. Dostałam też z czasem kierpce, które tam nazywają się postoły.

Pastwisko do którego się szło -to była bardzo spadzista połonina, porosła jałowcami, na którą wychodziło się z lasu. Pobrzeże tego lasu to był jakby jeden wał kwiatów, przerosłych maliniakiem. Z najwyższego punktu polany rozciągał się na góry widok przecudny. Zmiarkowałam rychło, że pasienie owiec nie jest taką znowuż najprostszą robotą. Rzadkie były chwile, kiedyśmy się wszystkie cztery mogły zgromadzić na miejscu. Ale zdarzało się, że dziewczęta bawiły się ze mną w gry jakieś, których nazw nie pamiętam, a zasad nie zupełnie dobrze rozumiałam i wówczas. Zupełnie odrębne, dość nawet skomplikowane mi się wydały. Dużo było przy tym biegania i śmiechu, szybkiej gadaniny i śpiewanek. W południe rozpalało się ostrożny ogieniek gdzieś w cieniu a nie na wietrze, piekło kukurudzę, ziemniaki i grzyby czasem, opiekało placki z mamałygi, podgryzało bundzem - owczym serem -poczem występowała na deser czekolada z mej tórbki, lub blaszane pudełko z lepkimi rocks-dropsami...

Nauczyły mnie wycinać kozikiem z młodych świerków kawały kory na króbki, które potem, gładko ostruganymi patyczkami, spinało się po bokach, - ze szczytu świerczka sporządzić zgrabną kołotuszkę, mątewkę do kwaśnego mleka... Dowiedziałam się, że biała, jodłowa żywica, gdy na niej węgielek położyć, pachnie najpiękniej, że nie wolno- broń Boże! - pluć na ogień, że grzyb znaleziony w lesie trzeba na miejscu oczyścić kozikiem, żeby się nowe nasiały - nauczyły mnie wreszcie grać na drewnianej fujarce, tak jak same umiały. Tylko do

owiec nie nabrałam przekonania...Odrażały mnie ich czarcie jakby twarze, bek niepokojąco ludzki, brudna, skołtuniona wełna, moc pcheł i zapach. One też były winne, że nie można się było ciągle bawić z pastuszkami....

Najcudowniejsze jednak czego zaznałam na tych moich pasterskich włóczęgach - był głos Kataryny.

Pierwszy raz usłyszałam go znienacka, zdaleka i pewna byłam że to ktoś obcy, całkiem dorosły zaśpiewał. Zapędziłyśmy się trochę w jar z tamtymi, Kataryna przyzostała pod lasem i nagle, stamtąd gdzie była nadniósł się nie śpiew żaden, nie wołanie, ale to coś, co tylko górale umieją - melodyjny okrzyk jakby, z kilku wysokich nut złożony, dobyty nie z głowy, ale z piersi - silny, tak cudnie przeczysty, taki jakiś masywnie złoty- że do dziś, po latach, poznałabym go chyba natychmiast. Doprawdy pojąć było trudno skąd w tym trzynasto- czternastoletnim, chudym strąku, bierze się taka rakieta dźwięków, świetlista, wysoka, lekka a mocna, która potem w drugim i trzecim echu, wracała słabsza, ale tak samo nieskażenie czysta, nieprawdopodobnie wysoka.

Nie umiałabym była jeszcze wówczas tak tego powiedzieć, alem stanęła, jak wryta. Kataryna zdziwiona było moim zdziwieniem. Cud, na moje prośby powtórzył się zaraz kilkakrotnie, zawsze jednako zdumiewający. Choć mała - śpiew słyszałam często, oswojona byłam z głosem Mamy i pani Ledererowej, pamiętałam skrzypce Fryca, nie było więc dla mnie wątpliwości, że to co robi Kataryna jest niesłychane ! Wytłumaczyła mi potem, że to się nazywa " wiukać" i że trzeba to w lesie koniecznie umieć. Inaczej- kogoś kto się zgubił, czy przyzostał - nie usłyszą...

Gdy zaś Mama usłyszała to "wiukanie", osłupiała jeszcze bardzieć odemnie. Nie zaznała już od tego chwili spokoju i - choć to było szaleństwem w naszych skromniuteńkich warunkach - wymogła zgodę Tatka, abyśmy Katarynę zabrali ze sobą do Lwowa i żeby się śpiewu uczyła. W kole naszych znajomych dość było przecie artystów i pedagogów muzyki, co by się na takim cudzie poznali i co by go poprowadzili bezinteresownie. Kataryna miała kopalnię złota w krtani, Mama zaś energii i entuzjazmu całkiem dość, aby zdobyć dla niej wykrztałcenie i przyszłość świetną. Muzykalność słuchu niezawodną u Rusinów, posiadała też Kataryna w najwyższym stopniu.

Rozpoczęły się rokowania najpierw z chlebodawcami Kataryny, potem z jej matką, po którą do trzeciej wsi trzeba było posyłać. Kataryna sama gotowa była odrazu. Korowody bez końca, jak przy kupnie gruntu chytra, chłopska, pozorna tępota dla zyskania czasu do namysłu. W każdym razie wypadek niebywały. I znowu z ruskiej plebanii przyszedł sukurs. Tym razem sam kanonik, ojciec panny Filipki, zaczął

tłumaczyć właścicielom Kataryny, że dziewczyna los zrobi i że to łaska, nie interes ze strony " państwa" ...Wreszcie doszło do zgody. Mama napisała do p.Ledererowej, do panny Żłobickiej, do panny Róży Ziętkiewiczównej - prostując ścieżki złotemu głosowi Kataryny. Było tu już niemal na samym odjezdnym. Wtem - najniespodziewanniej i matka i chlebodawcy rozwiedli lamenty gwałtowne, pierwsza za " doczką", której i tak cały rok bożyi nie widywała, widując tylko jej biedny zarobek - drudzy za tanią sługę, łatwę wszakże do zastąpienia przy baranach przez byle kogo. Oświadczono bez ogródek, że " państwo" musi coś płacić rocznie nie za Katarynę matce. Ręce Marie opadły. Nie była tak naiwną aby uwierzyć, że baba na tym żądaniu poprzestanie. Zaczęłyby się licytacje bez końca, a tu i na początek ledwie by było starczyło środków....

Katarynа została przy swoich owcach...

I ani się domyśliła kiedy, że ominęła ją dola świetna, kto wie jak świetna, może taka jak sława innej pasterki owiec, szwedzkiej śpiewaczki Jenny Lind, tej samej, którą Andersen uwiecznił w swej bajce " Pod wierzbą" i w której do końca życia ponoć się miłował.

Z wakacji w Mikuliczynie zachowałam wspomnienie jakiejś mało wyraźnej grupki osób, w którą Rodzice w ciągu lata się zaznajomili, jacyś państwo Eminowicze, Święciccy - panna Wanda Święcicka pływała ślicznie w czarno zielonej wodzie Prutu pod skalistym urwiskiem lasu- bodaj-że w Jamnie? - profesor Bąkowski, który badał górskie kałuże i bagna, znawca wymoczków, w dziwnym okryciu głowy z jakiejś osobliwej pleciонki -młody pan Penda, panny Łempickie.. W gronie tym odbywały się spacery i duża wycieczka na Czarnohorę, na którą i ja zostałam wzięta. Jechaliśmy wszyscy konno, na drewnianych terlicach, przez las, stromo, jak piec, potem przez kamienistą zbocz...Ale wyprawa skończyła się ucieczką z powrotem w dół, na łeb na szyję, gdyż straszliwa ulewa spłukała nas poprostu z pochyłości. Ja odbyłam powrotną drogę w worku z ziemniaków, przytroczonym do pleców Hucuła, który ze mną biegł pędem - już nie drogą, ale korytem górskiego strumienia, w który się zmieniła w momencie...

Potem mokry, nieznośny nocleg w pobliżu szluzy na Prucie, huczącej jak piekło...

X X

X

Po kolei, czy nie po kolei - dość, że przymykam oczy i przypominam...

Nasz salon przy ulicy Zimorowicza. Chwila : już po dniu, a jeszcze przed zapaleniem światła. Wielki pokój tonie w mroku. Gdzieniegdzie błyskają wąskie prążki ram na znajomych obrazach, błękitnieje bladawe odbicie okien w politurze fortepianu. Widzę coraz mniej, czuję wszakże wszystkie domowe sprzęty, jak obecność osób, do których mamy zaufanie bez granic i kochamy je, ani myśląc, tak jak się bez myśli oddycha. Czułam, że cokolwiek stanie się ze mną i tym pokojem, dla mnie b ę d z i e on zawsze. Nie zapomnę jego przestrzeni, jego zapachu, rozmieszczenia obrazów i mebli... Dziwnie mocno wiem, że na pamięć moją mogę tu liczyć i uświadamiam to sobie, jak rodzaj zasobu i udręki równocześnie.

Obok pieca trymódka z białą lampą, nad nią grottgerowski portret Marcela i wokół niego na ścianie fotografie Lituanii. W trymotce " gościnna" porcelana, wyjmowana zawsze w czwartki, gdy wieczorem, co tydzień, przychodzili goście... Za piecem rulon transparentów, wysokich niemal jak on sam, nadpalony brzegami. Jeden : Jagiełło i Zygmunt August w koronach i paradzie., drugi : Polska, Ruś i Litwa. Stały te obydwa w zwiniętym rulonie, namalowane przez Tatka do jakiejś narodowej okazji i gdy podczas jednego z czwartków rzucił ktoś z palaczy niedogaszoną zapałkę za piec, oliwą napuszczone płótno buchnęło wysokim płomieniem. Podczas gdy, nerwowy do śmieszności Chochlik Zagórski uciekł na widok ognia i zemdlał gruntownie w przedpokoju, otoczony ratującymi go paniami - Tatko z panią Aszpergerową wydobyli gorejącą trąbę na środek salonu i ugasili dość prędko. Niemniej Tatko oparzył sobie mocno palce, a pani Aniela osmaliła "filuty", jak nazywała swe siwe loczki nad czołem...

Na głównej ścianie nad kapapą " Wojna", z lewej serwantka prababki, z prawej biurko Mamy. Po śmierci pana Tadeusza Żuliń-skiego, kupili je rodzice na pamiątkę. Na nim kałamarz z Centaurem obok długi liść chrzanu z francuskiej majolíki z pełznącym przez jego rozdziałek ślimakiem. Na liściu pióra i ołówki, mała muszelka z pieczątką herbową i wązkie, złocone pudełko na pocztowe znaczki. Nad biurkiem smutny chłopczyk Grottgera, Grabińskiego " Brzoza", okrągły widoczek olejny na miedzi, jakoby Claude Lorain (jedyny pono, poza jego miniaturą przedmiot w domu pochodzący od Jacques'a Monné i tej rodziny) - medalion matki Dory,

śpiący piesek Grottgera i tamte wszystkie kochane obrazki...

W szafie orzechowej, tej koło drzwi od pracowni Tatka, leży na półce maminej szafy grottgerowskie album. Rzadko kiedy ogląda je ktokolwiek, ale wówczas zawsze jestem przy tatkowym łokciu, gdy sam obraca kartki ostrożnymi, rozumnymi rękami - i patrzę. Jest to zawsze jakby jakieś nabożeństwo rzadkie i solenne. Mało kto umie tak patrzeć, jak trzeba. Mnie, z oglądających najnabożniejszymi wydały się oczy niełatnej, niemłodej literatki Malwiny Ogonowskiej, córki profesora literatury w uniwersytecie bolońskim, która parę dni była u nas gościem w domu, potem Anny Potockiej z Rymanowa, z domu Działyńskiej, a wreszcie mojej najmilszej, niezapomnianej uroczej, dobroci Stasi Tarnawieckiej, Szwarcównej z domu, córki dyrektora Twa. Muzycznego, jednej z ostatnich tego typu i polotu entuzjastek na świecie...

W tamtej szafie, koło pieca, na swój ze strojami Matejki nawinięty, schowany jest ów czwarty, ocalały smok chiński, faworyt wielki Tatka, i wisi tatkowe futro z szopów. Tak cudownie wpaść ciepłą twarzą w jego podniesiony ośnieżony kołnierz, gdy Tatko do domu wraca i wiedzieć że już dziś nigdzie nie wyjdzie!! Że niedługo wyjmę szachy z pudełka i przy jasnej lampie z trzema sfinksami na posturencie, grać zaczniemy oboje, a gdy zbliżać się będzie pora mego dobrze zasłużonego mata, Tatko uroczyście i nieco ponuro zanuci marsza weselnego z Lohengrina, - znak umówiony między nami, gdy klęska już bliska.. A po partji wywiady bez końca i kochane, niewyczerpane wspominki o Tatkowej młodości.

Strasznie kochałam tę ojcową młodość.

Znałam jak żywe z opowiadań miejsca w których szczęśliwy był i wesoły, znałam z rysunków mnogość ludzi, którzy go otaczali którzy mu byli bliscy i drodzy.

Więc najpierw dziadków : Babkę - Karolinę z Komarnickich, męża jej, dziadka Ignacego, siostry Tatkowe Emilię i Anielę, brata Edmunda... Potem dzieciństwo Tatka w Waszawie, gdy to już wówczas prawy aż do sztywności, sprawiedliwy dla samego siebie, po zbiciu jakiejś z cennych porcelan w serwantce, sam, nie czekając na karę, stanął sobie w kąciku salonu na pokucie. W Waszawie umarła najmłodsza siostrzyczka Tatka, Sabinka, zażywszy dane jej przez pomyłkę z rąk niańki, palące jakieś lekarstwo zapisane dla konia i do stajni jeszcze nie zabrane... Pamiętałam jak się Tatko dzieckiem bał organów w Żydaczowie, gdy go zabierano na sumę, - jak raz, po wilii na sianie pod stołem zasnął, pod namiotem zwisa=

jącego obrusa,wśród bakalii i podarków,a potem,gdy brak dziecka spostrzeżono,sądny dzień się zrobił i szukanie od strychu do piwnic,dopiero pies,mędry kondel domowy,odszukał " Lolińcia". Jednego zwłaszcza epizodu lubiłam słuchać po niezliczone razy.. Był to obraz nocy miesięcznej w Lubieńcach,w którą,gdy była pogoda,Ojciec ze stryjem Edrundem uciekali wbrew zakazowi niskim oknem w sad,a potem w pola " do księżyca". Stryj ze skrzypcami -Tatko z gitarą. Małe chłopcy,podrostki zaledwie,leciali w koszulach daleko miedzami,między zboża i konopie i tam dopiero urządzali sobie koncert,jak polne koniki,jak jakie chochoły łąkowe...

Strasznie ich lubiłam i czasem wręcz trudno mi pojąć dlaczego nie byłam tam razem. Znam tak dobrze krajobraz,równinę wesołą, przez którą płynie spokojny,szafirowy Stryj, pola żółtych owiesków i konopi,olbrzymie zawieruchy ślazu o oladorózowych kwiatach,podobnych do roż polnych, jarzębiny strojne koralami przy gościńcu...

A i te ,dużo późniejsze wakacje Tatkowe w Skolem,gdy ciotki moje były ślicznymi pannami, gdy się Lucjan Tatomir starał o ciotkę Anielę,a babka,rozmiłowana w literaturze i poezji, obdarzona konspiracyjną pamięcią ówczesnych ludzi,całymi pieśniami deklamowała " Pana Tadeusza",umiejąc go całego na pamięć. Książkom Mickiewicza nie wolno było bowiem krążyć swobodnie i zwykle tylko jakiś jeden śmielszy egzemplarz kursował ukradnier po okolicy. Stryj akompaniował na skrzypcach,a Tatko na gitarze do chóralnych śpiewów, także niezbyt cenzuralnych... Śpiewało się " Za Niemen" "Warszawiankę" już głośniej,a także i Ständchen Schuberta.. Babka w towarzystwie Hanusi,sługi dawnego typu,która jeszcze i mnie - już jako staruszka - woziła po latach z okładem czterdziestu - zbierała z pasją grzyby.. Wieczorami czytało się głośno dobierane umiejętnie przez pana Lucjana dzieła naukowe i historyczne.. Raz na tydzień przynosiła urzędowa i jedyna w Galicji gazeta " Lembergerka" dodatek " literacki" do tejże " Lwowskiej Gazety",biedne, skrępowane cenzurą jak powrozem,ale niedwuznacznie na ruch polskiej myśli ciekawe " Rozmaitości.".

Pamiętam też niemal, pewien zimowy przyjazd Tatka ze Stryja do Skolego, kiedy to,naprzeciw żółtego dyliżansu (było to na zjeździe z ośnieżonej górki ...) wyszedł dziadek Ignacy i zamiast powitania wymówił tylko dwa słowa :

- Mickiewicz umarł !

Czułam zawsze razem z Ojcem to nagłe ściśnienie młodzień-

czego serca i niemożność wyrzeczenia słowa przez resztę powrotnej drogi...

A potem Berezinica, macierzyński dom pani Sabiny z Pawlikowskich Korzelińskiej, 1-o voto Dobrzańskiej. Jej zacny mąż, poszukiwacz złota w Australii, który wszakże tylko z cnotą z za mórz powrócił, a którego pani Sabina dlatego jedynie poślubiła, że mieszkając po owdowieniu sama w pobliżu Karpat, bała się straszliwie słynnego opryszka Neczczuperowicza, który wówczas na podgórzu grasował. Roił się zawsze jej dom od gości kochanych. Więc : pani Julia z Cukrowiczów Śliwińska z mężem Alojzym, tzw. "poczciwym Lolkiem", magnaci, nie znający wręcz wartości swego majątku, który utracili później ze szczętem w sławnym bankructwie Heferna, - pan Felix Kremarski, rejent, pan Tytus Jachimowski, skrzypek doskonały z ułomną siostrą muzyczkę pannę Olimpią, - panny Wila i Aniela Miodnickie, przyjaciółka ich Stasia Berska i cały bukiet ślicznych dziewcząt, których gładko uczesane, ołówkowe portreciki znałam z tek ojcowych, jak osobiste znajome. Widzę ich wszystkich tam, gdzie i mnie, przeszło w pół wieku później, olśniła oczy pierwsza, wielka, nagła radość życia...Oni również umieli zbierać na żorawkowskich polach posępne tulipany " tureckiego ziela", ciemno purpurową Fritillaria meleagris, musieli widzieć je nisko nad wilgotną ziemią, w pierwszych dniach maja płonące o zachodzie, zapalone jak cudowne lampiony na to powrotne święto wiosny...

I ten humor wspominam, co minął, co się prześnił bezpowrotnie usty w proch dziś rozsypanymi...

X

X X

Powołanie Tatka artystyczne wcześnie poczęło się zaznaczać. Rysował w szkole karykatury profesorów, w Bolechowie malował miniaturowe martwe naturki do panieńskich sztambuchów, W Skolem narysował z natury ciekawą bramę wjazdową zaginionego już typu, na modnym wówczas papierze pelé podłożonym warstewką białej kredy, do której po skończeniu rysunku dobierał się ostry scyzoryk dla wyskrobiania tak zwanych " Błyszczków", czyli światełek na końcu nosa, w tęczówce oka - robił portreciki sióstr, widoczki księżycowe gór nad Oporem, okopiska pod lasem...Bardzo protegowały talent Ojca panie Sabina Korzelińska i Felicja z Sożańskich Dobrzańska, poznał się na nim światły i przemiły Emil Strzelecki, guwerner młodych Pietruskich z Błoni,..On to zainteresował dla chłopca ich ojca, pana Teofila, oraz przedstawił go

tam panu Mieczysławowi Darowskiemu, przyszłemu opiekunowi ojcowej młodości, przyjacielowi najukochańszemu naszego domu, który nim pozostał do śmierci - dooremu duchowi mojego dzieciństwa i wszystkich lat dziewczęcych. Pan Darowski z własnej, zasobnej jeszcze wówczas szkatuły, mając - jak to u narodowego obywatela było wówczas z zwyczaju - paru młodzieńczyków na oku i pieczy, wykształceniem ich i wychowaniem duchowym kierował. Jego to najusilniejszym, najczulszym staraniem, wyjechał Ojciec w r.1857 w kwietniu, razem z Marcelem Maszkowskim do Monachium.

Stypendiów krajowych nie było, rodzice albo niezbyt ufali artystycznej karierze, albo - jak to było u moich dziadków - nie bardzo na podobne ryzyko mieli.. Dla żadnego z uczących się nie stanowiło ujmy, gdy w zastępstwie własnego rządu, który nie istniał, troskę o kształcenie ich brali na siebie ochotniczo światli a bogaci ludzie prywatni, jak np. Włodzimierz Dzieduszycki, Gwalbert Pawlikowscy z Medyki, Lewicki z Barszczowic, Pietruski z Błonia - łożąc na ten cel sami, bądź tak jak M. Darowski, częściowo, zbierając brakującą resztę posród bliskich sobie rodaków i " dam ".

Malarzyki miały obowiązek przysyłać od czasu do czasu mecenasowi dowody swoich postępów, za co wzamian otrzymywały albo pochwałę i sumkę jakąś nadliczbową, albo - bo i to się zdarzało - list z krytyką i morałami.

Stary Maszkowski Jan, portrecista dobry a pedagog znakomity, z pod którego szczęśliwej ręki wyszli Kossak, Grottger, Tepa i innych szereg, wyróżniał Ojca wielce i dużą przywiązywał wagę do wpływu jego na swego najmłodszego, najmłodszego syna, Marcela...

Marcel...

Właściwie Marceli Zyndram z Maszkowic, herbu Słońce... Praszczurem jego był istotnie ów luty rycerz z pod Grunwaldu...

"Marcel" wszelako - zwany tak i w domu i przez kolegów- mało miał zmysłu na tę świetną parantelę. Sam jaśnie-dziedzic talentu i szampańskiej fantazji, dzierżący swą przyszłość we własnej, mistrzowskiej garści, mógł nie dbać o przeszłość i przodków, chociaż by z pod Grunwaldu. Nigdy też nie fatygował swego słonecznego herbu na codzień posługując się tylko skromną pieczątką, z małym gotyckim "mm." która okopcona nad świecą i przyłożona na rożku kartki, dawała rysunkom Marcela znajomą sygnaturę.

Nigdy się nie pogodzę z tą posępną prawdą, żem go nie znała ! Skoro kawaler umarł w r 1862, niepodobna mu było przedstawić się pannie, która przyszła na świat o jedenaście lat później... To

proste... A i wowczas jeszcze, Ojciec mój, nosząc mnie małą, rozkrzyczaną kukłą po pokoju, na którego ścianie wisiał olejny, grottgerowski portret Marcela, uważał za wskazane powtarzać z naciskiem:

- Wszystko dobrze, ale Maszkowskich sobie wyperswaduj ! Bawić się - dobrze. Tańczyć - dobrze. Ale resztę sobie wyperswaduj !"

Było to tym zabawniejsze, że sam mało kogo tak bardzo kochał jak Maszkowskich, a Marcela przede wszystkim - i że Ojciec sam później zapoznał mnie z nim tak blisko i serdecznie, jak z równym kolegą. Marcel niestety nie słynął wcale statkiem i tymi cnotami, które " zdobić" zwykły młodzieńców. I ostrzeżenie owo wygłaszane żartem nad kukłą w powiciu, miało zapewne na celu uchylenie wczas możliwych niebezpieczeństw, grożących jej w przyszłości ze strony nowej, podrastającej generacji Maszkowskich, której stateczność Ojciec, jako doświadczony rzeczoznawca, miał prawo kwestionować...

Ale tak samo przestroga jak i obawa okazały się zbyteczne. Pokochałam Maszkowskich i żywych i umarłych, bez żadnego dla wzajemnej doli uszczerbku, tak, jak ich kochał mój Ojciec.

I nie ma na to rady : mimo wszystkie, dzielące mnie dziś lata, Marcel był moim znajomym - więcej! - był naszym domownikiem, kimś stale między nami przytomnym, o kim mówiło się, jak o żywym człowieku, bardziej swojskim i rzeczywistym od wielu, którzy u nas naprawdę bywali, jakkolwiek nad trymotką w salonie wisiał tylko jego portret... Namalował go Grottger w Barszczowicach, w r. 1860. Zagapiony po malarsku profil w żółtej konfederatce, z białym rękawem koszuli, widnym z pod kamizelki. Nosili się tak Maszkowscy podczas malowani. W czerwonej rogatywce przedstawił się też na autoportrecie ojciec, tak zwany " stary Maszkowski" Jan. Taka była pracowniana ich moda. Skorzystał z niej Grottger malując wedle głowy kolegi studium do swej " Modlitwy konfederatów", podczas gdy Marcel, aby nie tracić czasu, rysował kogo innego. Ma on też na grottgerowskim wizerunku wyraz doskonale znajomy każdemu, kto kiedykolwiek malarzowi pozował. Takie malarskie oczy patrzą całkiem inaczej, niż zwyczajne. Jest w nich wytężenie zmysłu, podobne do nasłuchiwania. Tak i na tym portrecie. Ruch zadartej głowy, wyciągnięta szyja, wszystko pomaga wzrokowi, aby lepiej dostrzegał, dosledził, przychwycił... Usta nieco otwarte, brew lekko podniesiona, oko skupione na jednym jakimś punkcie. Zwyczajnie jak kiedy malarz zagapi się w modela i o bożym świecie zapomni.

Nie tylko wzrok ale i dusza Marcela zagapić się tak umiała i zaciekać we wszystkim, widzianym, czy żytym, -do bezpamięci. Nic dziwnego, że świat boży zapominał co moment o nim i że o nie-

jedną twardę latarnię po drodze uderzyć musiał głową. Dziwniejsze, że się sam temu nigdy nie dziwił, że na ojczyźnie, w najczarniejszych nawet godzinach, gdy tyle tylko świeciło nad nim słońca, ile go miał w swym herbie - nie złorzeczył światu, ale tak dziecinnie szczerze i rozdzierająco bezradnie, oskarżać się potrafił przed kolegą przyjacielem :

- Nie umię ja żyć, nie umię...

Istotnie żyć nie umiał. Umiał natomiast - podajże już w powijakach, tak rysować, że oczom wierzyć trudno.

Przedziwny to wogóle był dom tych Maszkowskich. Zapewne. Ojciec sam tęgi malarz, pedagog wytrawny, człowiek zagospodarowany w sztuce, jak w domu - matka wykształcona, muzykalna, entuzjastka, umiejąca patrzeć i czuć i mówić (n b. Niemka z rodu). Ale ani wysoka kultura obojga, ani stopień zdolności ojca nie tłumaczą jeszcze bengalskich światłotrysków tej fantazji i tych talentów, jakie im się po kołyskach zaległy.

Było z tego - oczywista- wiele pociechy, ale i zmartwienia nie mało. Zupełnie jak bajka : Był raz jeden malarz, miał trzech synów i trzy córki...

Karol, w męskim szeregu najstarszy, umysł leonardowej jakiejś rasy na słowiańskim wydmuchu zaklękany. Więcej ziarna, niż zbioru. Inżynier, muzyk, rzeźbiarz, malarz, poeta, żołnierz z 1863 r , społecznik i organizator, który z pod lawiny darów bożych do końca życia wydobyć się nie mógł. Umarł jako profesor politechnikiwe Lwowie.

Młodszy, Rafał, wysokiej miary skrzypek, artysta pełnej krwi, później wytrawny teoretyk muzyki, przez całe wyborne Niemcy podziwiany dyrygent, koncertmistrz i znawca. Ma dowiar o rysach takiej urody, że idealista Grottger wyznaje z zachwytem, że piękniejszego nadeń człowieka nie widział.

Wreszcie Marcel, mistrz ołówka, wirtuoz rysunku, o technice wręcz jedynej w Polsce, nad którego " główkami" -gdy on sam w usta nie miał co włożyć - nieraz gęby otwierały Bawary i inne Szwaby, jak mawiał.

Talent trzech córek pana Jana ograniczał się - czego bynajmniej lekceważyć nie należy ! - do czułego i ofiarnego kochania swoich genialnych braci. Naturalnie, że wszystkie były muzykalne i - jakkolwiek Bóg je ustrzegł same od talentów, miały w mniejszym lub większym stopniu słoneczny humor Maszkowskich, ich dowcip i jedyną w swoim rodzaju życiową fantazję.

Najwczesniejszy znany mi wizerunek Marcela własny, wykonany w roku 1855, gdy miał lat 18 - zachował się na rzadkiej dziś wielce

a i wówczas w podobno osmiu zaledwie egzemplarzach odbitej litografii. Jest to grupa ówczesnych przyjaciół, której ośrodek świetlany stanowiła dusza Mieczysława Pawlikowskiego, aczkolwiek na rysunku, choć sam niewątpliwy iniciator i fundator tej wspólnej pamiątki, ustąpił pierwszego miejsca poecie Romanowskiemu. Są tam: Mieczysław Romanowski, Pawlikowski, Wolski Ludwik, Ignacy Karliński, Kalmucki, Sztymer, Bruno Bielawski, August Bielowski, Karol Maszkowski i Marcel. Pośrod dziesiątka postaci Marcel jest najmłodszy. Zupełnie jeszcze pacholęca, ładna twarz, z długimi, zaczesanymi za uszy włosami... wierzyć się nie chce, że to on narysował te żywe, tak rozmaite głowy, te oczy patrzące każde po swojemu, twarze z których kilka stanowi do dziś dokument doskonały rodzinnych podobieństw... Naturalnie, że zaważył tu wpływ Kriehubera i gładkie akwarele starego Rejchana, przede wszystkim jednak zaważyło to, że stary Maszkowski umiał ustawić wzrok, jak Garcia stawiała głos, - że codzienna tresura młodych oczu patrzących na " porządne" rysowanie w pracowni Ojca, dopomagała do absolutnie pewnego widzenia i przytrzymywania na gorąco natury i prawdy.

Dom Maszkowskich żył sztuką w dosłownym znaczeniu tych wyrazów. Obraz nowy, książka, utwór muzyczny, odegrany porywająco, to były najważniejsze wypadki, jakie się mogły zdarzyć. Dobra muzyka zwłaszcza była potrzebna tym ludziom, jak innym posiłek. Postacie Schillerowskich tragedii i liryka Heinego były źródłem, z którego czerpali nigdy nie słabnący zachwyt i moc codziennych cytatów. Maszkowscy, zaprzyjaźnieni z Teofilem Januszewskim, mieli -jedni z pierwszych - dostęp do niewydanych jeszcze wówczas pism posmiertnych Słowackiego. Marcel wyrzeźbił pierwszy i najlepszy dotąd biust Juliusza, obaj z moim Ojcem byli jednymi z pierwszych zaprzysiężonych we Lwowie jego wielbicieli. Poza tym, wskutek niemieckości szkół i podświadomego może nawet wpływu matki, Niemki, pomimo konfederatek - nazbyt po polsku w domu nie było... Karol tłumaczył Heinego, komponował do jego wierszy muzykę. Jedną pieśń " Der Fichtenbaum steht einsam.." śpiewała nieraz Mama z jego akompaniamentem. Podobała mi się, ale nie musiała być prosta, bo jej nie zapamiętałam. Rafał grywał na skrzypcach - akompaniowały siostry: Frynia Minia i Joasia, a przy każdej nadarzonej okazji, gdy się tylko parę osób zeszło, wieczorem czy popołudniu, tańcowano na zabój. Maszkowscy, Grottger - z którym przyjaźń zawiązała się była na długo przed wyjazdem na studia tamtych - Ojciec mój, mieli sławę świetnych tancerzy, a już niedoścignionych wprost mazurzystów.

Materialnie stale bywało kuso, co jednak nigdy nie krępowało gościnności i rzadki bywał w tym domu zasiad bez jakichś gości nadarzonych czy przygarniętych. Warsztat sztuki nie spoczywał nigdy. Zawsze się coś ciekawego zaczynało, działo, czy kończyło. Ktoś komus pozował.. Ktoś coś głośno czytał, czy deklamował. Muzyka rozmaita, do tańca i do różańca rozlegała się niemal zawsze w zimnawych często, niedopalonych pokojach. Dopiero zaślubieństwo Fryni, ktora wyszła za Ignacego Jakubowicza, zamożnego orlanina, człowieka niepo-równanego serca, który pokochawszy całą rodzinę żony otworzył jej i to serce poczciwe i kieszeń - zrobiło się nieco swobodniej wszystkim. Potrzeba wrażeń i zachwytu była u tych ludzie tak wielka, że starzy już - miewali jeszcze fantazje szesnastoletnie...

Przypomnijmy sobie naprzykład pewnego dnia, że "stary Maszkowski" nie był w życiu we Włoszech. Pod wpływem tego faktu, pod działaniem nagłej, zbiorowej tęsknoty do słońca i piękna, zabrał Jakubowicz osoje starych Maszkowskich, żonę i dwie małe córeczki coprędzej i pojechali wszyscy do Neapolu.

Chłopcy kończyli szkoły we Lwowie. Karol świetnie, tamci ociągliwie, zwłaszcza Marcel. Gdyby tego chłopca wziął był wtedy kto za łokieć, jakiś impresario opatrznościowy i wywiózł zagranicę, karmił, pilnował, odziewał i uczył - byłby się Marcel napewno gorzej bawił, ale byłby żył dłużej, było by po nim zostało więcej, i jeszcze świetniejszego niż te brylantowe opiłki talentu, który szlifował się samorzutnie, dopadkami, a którego całego zapasu Marcel nawet rozpakować nie zdążył. Był, jak cudowne dziecko puszczone samopas w świat, rozbawione i beztroskie, które każda przeszkoda wprawiała w osłupienie.

Wartości pieniędzy nie pojmował zupełnie. Dużo-mało-nie ma -- to były pojęcia. Pamiętał conajwyżej cyfry sum potrzebnych do wykupienia zastawionych rzeczy. A bywały posród nich takie skarby, jak paltot zimowy i - o zgrozo! - ukochane skrzypce Rafała. Pieniądze to było powietrze do oddychania, takie jakieś złośliwe powietrze, którego raptem umiało zabraknąć i gdy on się dusił wtedy, inni jakimś cudem oddychali swobodnie. Coś się robi podobno, żeby nie mieć niespodzianek, ale jak i co, tego nie dociekał nigdy. I do rozsprzedaży rysunków byłby potrzeby impresario. Opowiadał mi Tatko, jak nieraz w monachijskiej piwiarni, do ktorej chadzali, robił się ścisk koło ich stolika. Marcel rysował błyskawicznie szkice głów obecnych, a potem królewskim gestem rozdawał każdemu, kto sięgnął. gdy brakło papieru w teczce, rysował na marmurze stolika, z którym potem zachwycony gospodarz nie wiedział co począć. Rozumiał pewien związek między obrazem a kupującym, ale go ten proceder nie

cierpliwił i mierził.

Jak dalece oryginalne były jego poglądy na sprawy tego świata, dowiódł pewnego razu, gdy jeszcze w szkołach, nie mając własnego grosza przy duszy, wybrał z pięknej, rodzicielskiej biblioteki naręcz książek - dla niepoznaki każdego dzieła po jednym tomie! - aby sprzedawszy je za bezcen na tandecie, kupić parle na imieniny nowe rękawiczki... Fakt! Ostatnią parę butów byłby się podzielił z kolegą, gdyby wogóle buty jego przedstawiały częściej jakąś uchwytną wartość.. Wydać - pożyczyć - nie mieć... Tak szło zawsze w kółko. Naturalnie, że póki było w domu, niedaleko mamy i sióstr, każda sytuacja przedstawiała się lżej. Zagranicą dopiero stanął oko w oko lekceważonym mocom.

Monachium było wprawdzie tanie, ale obyczaj płacenia istniał. Co gorsza, istniały pokusy we Lwowie bądź nieznane, bądź niedostępne. Monachijski karnawał w zimie, gromadne wycieczki z wiosną, modelki, ("piękne mnichowianki" jak je określa przemiły trzpiot Dyliczyński w swych listach do Ojca,) jakieś Emilie i Pepi -ta Pepi której żałosne wspomnienie spać nie daje Marcelowi w Lipsku i w pustym żołądku potomka Zyndrama w Maszkowic budzi głód okrutny. Marcel bowiem zakochany był stale, zmieniał się tylko przedmiot jego afektu i to w tempie dość szybkim.

Raz, zagorzał dla jakiegoś vis-a-vis... Dla istoty, którą widywał szyjącą w oknie. Szyła albo czytała... widział jedynie jej profil, ale za to przecudny. [illegible] nie był już nawet ciekaw. Rysował - kochał! Koledzy zadali sobie trudu by wytropić [illegible] obiekt z oliska, [illegible] po czym wyszło na jaw, że "cudna" miała tylko jedno oko. Druga połowa twarzy [illegible] bez oka była jakimś wypadkiem uszkodzona.

-Ależ Marcel! Ona ma tylko jedno oko! -szydzili bez litości

- Ale jakie! - odpowiadał niezłomny wielbiciel.

Cała młoda malaria, oraz znajomi serdeczni z innych zawodów trzymali się wiernie razem, tak jak ich widać na dwu małych daguerotypach, które posiadam i jakich replika znajduje się w Ossolineum. Izydor Jabłoński, Pentner Antoni Rejchenberg, nieoszacowany, najpoczciwszy "świętek", pogotowie ratunkowe kolegów!- Grottger, Marcel, mój Ojciec, [illegible] Później przybyli Matejko, Wodowicz, Filippi Dyliczyński Rafał i kochany przez wszystkich Oleś Gryglewski.

Działo się bractwu rozmaicie, bo wydatki były różnolite, a posyłki pieniężne z kraju spaźniały się nieraz dotkliwie. Mecenasi jak Dzieduszycki, Pawlikowski, Pietruski, Lewicki - każdy miał swego ptaka niebieskiego albo i kilku na wikcie, któremu od czasu do czasu przygarść ziemienia sypnął.. Utuczyć się tym było trudno, ale żyć

się dało i błogie było poczucie, że jakieś tam " pańskie oko" śledzi chudzinę aż z kraju i do ostatniej zagłady nie dopuści. Maszkowscy dostawali zasiłki głównie od rodziny, co miało swoje dobre xxxx ale i złe strony. Lżej było sumieniu, jeżeli się na lekkoduchа oburszał mecenas, niż gdy się zgryzli rodzice.

Gdy Marcel i Ojciec - z wielkimi, przez siostry włóczką haftowanymi torbami w ręku, w płaskich czapkach z lakierowanym daszkiem, szkatułkami farb, w rozwianych surducikach i spodeńkach w dużą kraty - przybyli do Monachium, xxx gdy - jak to uwiecznił Marcel w karykaturze - stanęli z zadartymi głowami przed mariackim turem " Mnichowa", z dwiema, charakterystycznymi dla sylwety miasta wieżycami, podobnymi do smukłych kufli piwa, - gdy się rozlokowali w xx nowej kwaterze i Ojciec mój przybił na gołej ścianie pracowni xxxx swój z dwu kawałków składany, czarny krzyż "podróżny", który go nigdy nie opuszczał - pierwszą pielgrzymkę obydwu była oczywiście stara Pinakoteka.

Szwagier Maszkowskich - z niewiadomych mi dziś podowów, podążył też na studia aż do Monachium i słuchał tam wykładów chemii słynnego Liebiga. Znając wszelako temperament rodzinnych uczuć Maszkowskich, skłonna jestem przypuścić, że zaważyła tu nie tylko xxxxx firma Liebiga, ile kochająca intryga Fryni, która, tęskniącym w Mnichowie braciom, chciała tam stworzyć od wniechcenia przytulną, własną ambasadę...

A było to oparcie nielada! Bo i dom ciepły, swojski, rodzinny, - ludzie dobrzy i wykształceni, towarzyscy i zamożni - słowem : przystań do której zawijały nieraz lwowskie okręty w różnym, przeróżnym stanie.

I jakubowiecze właśnie zapoznali zczasem ich obu z bawiącą w bawarskiej stolicy Polonią. Rozpoczęła się nauka a równocześnie, z wiosną zwłaszcza, wycieczki w prześliczne okolice miasta - do Nymphenburga i Grosshesslohe... Muzykowano, zwiedzano gromadnie piękne zbiory - tańczyło się często i namiętnie.

Strasznie kochałam tę ojcową młodość ! Znałam jak żywe z opowiadań miejsca w których był wesoły i szczęśliwy, znałam z rysunków i daguerotypów wszystkich ludzi, którzy go otaczali wówczas, którzy mu byli bliscy i drodzy, którzy kochali go wzajemnie. Czasy, gdy mu się jawiła wielka pani Sztuka, jak owa przecudna a kusząca " Królowa Śniegu " z bajki Andersena, za którą biedny chłopak w zadymkę i noc, na ubożuchnych swoich saneczkach xxxxxxxx podąża.. I jemu marzyło się jakieś wielkie dzieło życia, o jakim później pisał z Lipska Marcel..." dzieło wielkie, ukończone, przemyślane, xxxxxxxxxxxx

imponujące..." Niestety życie - mecenas bogaty lecz diablo kapryśny, i jednemu i drugiemu nie pozwoliło wyśnić marzenia...

W jednej z najgłębszych, najmniej dostępnych szuflad Ojca, spoczęło po latach wszystko : teki ojcowe, szkicowniki, świetne studia i karykatury ówczesne, a w nich ta ich wspólna szczęśliwa młodość " monachijskie czasy" o których opowiadał doskonale, acz rzadko... Człowiek wielkiego dowcipu i pogodnego napozór humoru, taił w sobie głęboką i dośmiertną melancholię, której toń ciemna dzieliła go od tamtych czasów bezpowrotnie... Marcel umarł młodzieńcem, spalił się, jak świetny ogniotrysk, umarł na własne swoje -życie! Ojcu wypadło wybrać między dalszym, żmudnym dążeniem ku ideałom i Sztuce, a stworzeniem sobie rodziny i domu, które, w jego warunkach zwłaszcza ciasnych i mozolnych - tamtą swobodę wykluczały na zawsze. Wybrał dom. Wybrał nas. Zamiast zdobywczego pędu, utalentowany i w kunszt niepośledni zasobny, zaprzągł swe siły i umiejętność do pracy niekochanej, do szkolnej nauki rysunku, gdzie wśród ornamentów i gipsów -on - entuzjasta, przyjaciel i towarzysz największych, sługa ideału, miłośnik i poezji - niepocieszony, choć milczący zachodził w cień, starzał się i nieraz, gdy gadała zręczna a wygadana miernota zdobywała sobie w jego oczach, pod jego ręką nieomal uznanie, rozgłos ba! nawet i sławę - cierpiał pewno głęboko, ale zawsze bez słów... Żył domem, wspomnieniami, dobrą lekturą, muzyką - kochający, przemiły, przeważnie pogodny a Marcel żył razem z nami...

Do tek ojcowych zachodziło się rzadko. Zwłaszcza do tej jednej, wyszarzałej... Między twardszy papier jej czystych stronnic powkładane starannie, jak wiązki opłatków, leżały pożółkłe brzegami karteluszki z Marcelowymi szkicami. Nazywało się to "szkice" a było nieraz wykończone, jak banknot.

Pamiętam sposób z jakim Tatko nabożnie i umiejętnie, ujmował w palce te arkusiki cienkiego papieru, z ciemnym, gotyckim "m" na prawym rożku. A na nich szarzały arcydzieła humoru, sentymentu i tej wirtuozowskiej marcelowej techniki, polegającej na zatrzęsieniu kresek ostrych, jak igła, lekkich jak włos, świadomych każda z osobna zbiorowego sensu i wyrazu głowy. Wyraz ! Otóż to właśnie. Jak się to działo, że ten lekkomyślny chłopiec, naiwny dzieciak w życiu, rozbawiony wiecznie, o ile nie głodny, tak mógł rozumieć duszę ludzką, tak ją podpatrzeć do korzenia ? Jakim cudem, rysując z natury młodzieńczą głowę jego ojca w monachium -dał jej - już wówczas - wyraz hardego, zatajonego smutku, który miał jego duszą zawładnąć dopiero po latach? Rysunek ten przepyszny darowałam do Muzeum Narodowego w Krakowie, gdzie przepadł bez śladu.

Gdyby nie pokwitowanie dra. Kopery, rogatym przypuszczać, że mi się tylko śniło. Albo taka głowa Schillera ! Profil bujnowłosy, młody, o wyrazie skupionej ekstazy rysunek-wizja, oparty w równej mierze na materiałach do Schillerowskiej ikonografii, jak na własnym, medialnym odczuciu rys'w ukochanego poety, najbardziej może mistrzowski okaz kreskowej Marcelowej maniery, modelujący ostrym ołówkiem w niewiarygodnie subtelny sposób " wywoływane" rysy.

Nie był Marcel zapoznany w Monachium. Niczym osobliwym nie zastanawiał wówczas profesorów Matejko, nie bardzo się poznawali na Grottgerze, zwłaszcza, że obaj nazwani, do zbyt pilnych bywalców Akademii nie należeli. Marcel jeden zdumiewał i radował pedagogów takich jak Moritz Schwind i stary Kaulbach, budził niepokój i ciekawość kolegów jak np. Lienzen Mayer, Węgier, o niemieckim nazwisku, tęgi malarz, z czasem i szlachetny rysownik ilustrator.

Gdyby tylko nie te " piękne Miechowianki" , nie ta nieuchwytność pieniędza, nie ta nieodporność na pokusy, tak w skutkach swoich żałosne ! I te zupełnie- ale to zupełnie opaczne poglądy, na " ma " i " winien" ! Po tym ostatnim następowało nieodmiennie słowo " pożycz" ! -proste i krótkie, którego chyciony często efekt raczej rozżalał, niż obrażał. Gdy między najbliższymi kredyt wysechł apelowało się przez Olesia Gryglewskiego do Fryni, a przez nią do Jakubowicza. Niewyczerpanie poczciwy szwagier bywał jednak czasem zacięty, pewno dla pedagogiki raczej, niż skąpstwa, czasem i Fryni już bywało za dużo i wtedy rozlegał się lament w listach do domu i nieobecnych kolegów. W tych terminach jednakże, podobnych żywcem do niektórych scen " Cyganerii" (bo i Marcel i pracownia i pożegnanie z odzieżą idącą do lombardu i różne Mimi i Musetty, nazywające się tu Pepi i Emilie...) kruszyło się i marnowało niezbyt zresztą stalowe od urodzenia zdrowie i życie Marcela.

Powoli kolonia malarska urosła do sporej gromadki rodaków. Epokę tę opisał sumiennie acz ni zbyt wprawnie Izydor Jabłoński we wspomnieniach swoich, ogłoszonych w " Larusie". Różne były stopnie talentów, różnolite charaktery pośród tej grupy, bardzo nierówne drogi, jakimi się rozproszyła później po świecie, ale ciepło przyjaźni jaka złączyła tych ludzi już wtedy, nie ostygła z latami i w rękach stosy jej moich znalazły się całe ślady, do pożółkłych papierów i starych fotografii przywartych, w których dusza tamtych czasów, dziecinna trochę, ale lotna, wesoła, jak ptak, choć przygłodna czasami - dusza Tatkowych " monachijskich czasów" i tamtych wszystkich lekko i piękno- ducnów, żyje i albo się śmieje wgłos, albo się skarży rozdzierająco...

Tatko mieszkał zrazu z Marcelem. Lokal był jakiś sympatyczny, że zaś obaj lubieni przez wszystkich (mieli w sobie magnes humoru i towarzyskości, który pociągał..) u nich gromadziła się wieczorami " malaria". Każdy przynosił jakie tam miał zapasięta i szło to uczciwie do podziału. Tatko miał gitarę, więc była i muzyka na tych sympozjonach. Daniel Pentner deklamował niemieckich klasyków, którymi się chłopcy entuzjazmowali srodze. " Des Sängers Fluch " Uhlanda, " Schilfflieder " Lanaua...Schiller zwłaszcza był ukochaniem wszystkich lwowian. Zjawiał się Matejko, któremu, gdy jechał za granicę, dał był M. Darowski list do mego Ojca, kierujący doń pana " Maciejkę " przyswojony serdecznie, ale cichy i jakiś " osobny", przepadnięty całymi dniami po bibliotekach i zakrystiach, muzeach i zaułkach, zbierający motywy i materiały do wydanych później "Strojów polskich ". Na zebraniach koleżeńskich mało był wydatny, czasem tylko, gdy się kto najmniej spodziewał, zaciął dowcipem, jak szpicrutą. Występował z reguły jako tępiciel zagranicy, drwił z entuzjastów niemieckiej literatury, po niemiecku jakby z umysłu, gadał byle jak, ścigał szkolne makaronizmy, którymi grzeszyli lwowianie w niemieckich gimnazjach " uszkoleni"... Przeciwległe pendent do Matejki szanował Pentner. Ten, rzecz prosta, jako Niemiec z rodu choć mówił dość dobrze po polsku, po za kulturą niemiecką świata nie widział i widzieć nie chciał. Na tym tle bywały lekkie przygryzki..

Raz, na jednym z takich zebrań u Tatka i Marcela, wydobył Tatko swój zabrany z sobą tom Wypisów Siegielskiego, w którym wydrukowany był cały " Jan Bielecki ". Tatko, jak i Waszkowscy, znał już Słowackiego i uwielbiał go fanatycznie, że zaś doskonale czytał głośno, zaproponował że ten utwór, reszcie obecnych nieznany, -przeczyta. Matejko, który ze Słowackim wogóle się był się jeszcze zeszedł - olśnił poprostu. Dobrze znający go Tatko, twierdził, że tak uniesionym nigdy go nie widział. Blada zazwyczaj jak pergamin twarz zabarwiła się, wielkie, ciemne oczy błyszczały :

- Otóż to jest poezja! Co wobec tego Schiller !Te kolory, ten charakter rodzimy ! Musisz mi pożyczyć do domu tę książkę. !

Na krótko przed śmiercią opowiadał mi Tatko raz jeszcze wspomnienie tego wieczoru. Ostatnią książką, jaką czytał w życiu były Listy Słowackiego do Matki. Bieleckiego wiele ustępów umiał na pamięć i wówczas też zacytował mi jeszcze końcowe strofy tego poematu .

- Zawsze mi Bielecki Matejkę przypomni.... - mówił - To jest naprawdę jakby wizja jego własnej sztuki. Ta sama technika i patos,

Oprócz Jakubowiczów, gdzie się polska młodzież zbierała i tańcowano w karnawale na xxxxx umor choć bez dam -jak relacjonuje Babłoński - przy zimnej zakąsce i piwku,ale za to przy skrzypcach Rafała i takim taperze jak Matejko,który nie tańczył wcale, grał za to świetnie do tańca - bywała swojska gromadka u pułkownikowstwa Tenorzanckich.

Pani domu, nr.Buttler z domu i jej bardzo dobrze ułożona córka,czyniły atmosferę trochę mniej dorową,niż u Jakubowiczów. Trzeba było dbać bardziej o strój,xxxx

Kochany Karolu !

Posłuchaj pierwej, a potem sędź, bo musisz pewno myśleć o nas niewiadzieć co, że tak długo nie piszemy, pomimo, żeś nas prosił w ostatnim liście o prędką odpowiedź. Otóż słuchaj :

Najpierw dlatego tak długo nie pisaliśmy, bo nie mieliśmy czym zamarkować listu; nie dlatego abyśmy nie chcieli wydać tych 9,- bo obiad za nie dostać można, tylko dlatego, bośmy wcale nie mieli tych 9. I jeszcze się gniewasz na mnie, że nie odpowiadam? Oj, Karolu! My tu kiepskie czasy przeżyli, bardzo kiepskie ! Może to kara za to wszystko co narobiłem do tej pory, a dałby Bóg aby koniec na tym był, ale mnie się zdaje, że to dopiero początek. Cóż ja się mam rozpisywać nad tę biedą, na cóż Cię mam detalami smutnymi robić, bo wątpię abyś szedł za przykładem Ostrowskiego i z tej strony na rzecz patrzył, jak on . - ja znam Twoje serce i wiem, że u Ciebie głowa z sercem razem pracuje ! - Muszę Cię jednak jako tako obeznać z dotychczasowém naszém życiem tutaj, a niech Ci tych kilka faktów służą za miarę.:

Nasze rzeczy wszystkie w zastawię, prócz tych, które na siebie mamy, a drugie : żeśmy przez 4 - sage ' vier Tage, nic nie jedli prócz herbaty, którą Rafał dostawał rano od gospodyni, będąc przymuszonym udawać chorego, bo butów nie miał i przez 14 dni w domu biedaczysko siedział. Więc wygłodziwszy się przez kilka dni, a co przez tydzień najmniej ! na suchym chlebie /!/ poczęliśmy nareszcie tych 4 dni o pół porcji herbaty rano. Może się spytasz czego do gospodyni nie poszedłem ? Zaraz Ci odpowiem na to.

Jak wiesz Rafał nie ma skrzypców i okropnie przytym cierpiał, bo przy kiepskim wegetowaniu musiał siedzieć z założonemi rękami i słuchać, jak mu w żołądku gra - to mnie spowodowało na wszystkie strony miny popodkładać, ale żadna nie poszła w górę. Najpierw zrobiłem parę aquarelle i dałem za einem Spottpreis na Kunstverein tutaj. - potem zrobiłem naszej gospodyni cztery portrety, aby kto widział i może głupi dał się zrobić...chciałem koniecznie tych 30 f. skąd dostać, aby skrzypce Rafałowi sprokurować. Tymczasem mi się nie udało, z Kunstvereinu do tej pory niema odpowiedzi, a za portrety, które już wiszą w ramach ładnych, nie wiedzę jak dziękować (chociaż wyprosiłem sobie jede Erkenntlichkeit) ale nikt się nie pytał o cenę.

Więc jak ta bieda na nas nastała, nie mogłem się w żaden sposób do gospodyni udać - woleliśmy byli pochorować się z głodu, jak do niej się udać. Auf der mensch denkt, Gott lenkt...Ja czwartego dnia leżę już ostatecznie na sofie, a Rafał mi z łóżka powiada, że jemu się słabo robi - ja klnąłem na los za..... i poszedłem do gospodyni -ona

nas wyratowała od głodu. Ale, jak wczoraj przekonaliśmy się, to tylko początek był, ein komisches Vorspiel zum Drama : dostajemy wczoraj list z domu z pieniędzmi, pierwszy list z domu w Lipsku. Nie mogłem się doczekać i na ulicy czytałem,- ale włosy ~~xxxxxxxx~~ mi na głowie stają... co tu gadać, co powtarzać ! tylko tyle wiedz że ~~Xxxxx~~ Tato do nas oboydwuch razem, bez przedmowy " moi kochani" ect. w krótkich słowach powiada, że ostatni raz do nas pisze! Niech Pan Bóg Fryni to zapomni !

Moje szczęście, że nie posłałem roboty te, które tutaj robiłem, bo to są zwyczajne lekkie aquarelle, lepsze jak do tej pory robiłem bo więcej rysowałem niż malowałem, ale posłać do Lwowa na pokaz - to nie można! To bez przesady musi być dzieło wielkie, ukończone, przemyślane -imponujące ! To jedno może mnie wyratować ! Jeżeli Bóg mnie dopomoże do takiego dzieła, jeżeli On nie jest zagniewany na mnie i ja będę mógł ~~xxxxxxxxxxxxx~~ takie dzieło posłać - to jestem wyratowanym i mogę z czystym sumieniem i czołem na łono moich kochanych, biednych rodziców wrócić -jeżeli zaś to przekleństwo, które na mnie ciąży - i ja nie znajdę w sobie dość ~~xxxx~~ sił, aby wykonać te dzieło, wtedy sobie w łeb palnę, albo o mnie nikt nie będzie wiedział.

Ale do tego czasu potrzeba, a moi Mecenassy już są na granicy cierpliwości... Dzieduszycki coś komuś mówił, że tylko ten rok mnie wspierać będzie, a Lewicki zaczyna zwątpiać o moim talencie. I tak wszystko przeciwko mnie teraz się skupia, właśnie gdy powinieniem mieć głowę najspokojniejszą ! Ale to jest chwila decydująca - tu się pokaże czy ja wart żyć na świecie i czy mam charakter i silną wolę?

.....

Karolu! Ja Ciebie nie przeprosił za wszystko co musisz dla mnie wycierpieć, ale cóż to Tobie pomoże, jeżeli przytym pieniędzy nie będzie, abyś mógł pozaspakajać dłużników - a ja nie mam teraz pieniędzy, ale niezadługo sam im pozapłacam. Powiedz mnie mój kochany Karolu, czy nie mam napisać do Hakla i do drugich ? może by to ich zaspokoiło? Powiedz mi co ja mam robić, a ja zupełnie Ciebie się będę trzymał.

Co tam z Pepi ? Nie śmiem nawet myśleć o tym wszystkim, to mi po nocach spać nie daje - nawet w nocy czułem żem głodny. Nie umię ja żyć, nie umię... Z tyloma ludźmi stykałem się w życiu razem, a żaden o mnie z szacunkiem nie wspomina -a o kochaniu ani mowy.. Olesia przeproś że do tej pory nie dotrzymałem słowa i nie pisałem, ale moje usposobienie nie po temu, pocałuj wszystkich jaknajserdeczniej od nas a jeżeli pieniądze przyjdą, to na miłość

boskę zaraz mi przyszlij,abysmy mogli rzeczy wykupić,bo chodzimy jak drapy. Napisz mi także czy przyjedziesz i kto więcej i kiedy? wiele masz zrobionego w robotach. A odpisz prędko bracie i dosyć a schonnend pisz,bo dość kiepskich listów otrzymałem. Mój nowy adres Dresdenerstrasse nro 63 III bei Frau Knauer.

Do Państwa Wilkoszewskich będę teraz niedługo pisał,bo trudno było do tej pory xxxx to zrobić..."

I teraz drugi list z Lipska,bez daty,jak zwykle :

wtorek,zaraz po obiedzie.

Kochany Karolu!

Wystaw sobie, ja do Ciebie znowu muszę pisać i to o pieniądze. My mamy teraz w kieszeni 2 talary !! A w policii nie byliśmy jeszcze,co nie wiemy ile kosztować będzie. Kawę kiepską domu pijemy,stancię na miesiąc naprzód musieliśmy dać -ale obiad i podwieczorek musimy zaraz płacić. Nam włosy na głowie stają,gdy sobie pomyślimy,co to będzie,jak pieniędzy nie będzie - o jutrze ani myślę. Musiałem wydać na niektóre rzeczy do rysowania,które tutaj są drogie,jeżeli tak w Dreźnie - to padam do nóg.Jemy obiady za 15 f. (5 Silbergrosz) taki o jakim w Monachium nie śniłem - kawa droższa,ale dobra,mieszkamy we dwóch ciupach na 4 p. i oglądamy się za inną stancią,bo jak Rafał grać będzie xx miał na czym ,to tutaj nie można zostać... Żeby on tylko miał na czem, to bieda! Bardzo cierpi bez skrzypców,a to trzeba 30 f.na wykupienie - ale co tam o skrzypcach myśleć,kiedy się niema co jeść.. Wiesz, ta myśl mnie sprawia zawrót głowy,że my może za dwa dni nie mamy ani dutka w obcym mieście. Dlaczego też xxxxxxx Olesiu drogi lass alle Minen springen i przyślij nam,staraj się, bo tu nas nikt nie poratuje. Od naszej gospodyni nie możemy żądać gdybyśmy mieli z głodu umierać,bo wymówilismy stancię,czego widać xx gniewała się - sprzedać -słowo honoru - nie ma co. Uważże sam Kochanku,xxxx czy nie byłoby nasze położenie okropne ?

Tak nam tu Was brakuje,także Olesia mit seinem praktischen Sinn, ale co ! każden,moja największa antypatia byłaby xx mi tu aj wilkommen, tylko aby można do kogoś powiedzieć: jak się masz ? co tam robią? - Dlatego kto ma przyjechać,niech przyjeżdża prędko,bo pieniędzy nie wyda więcej,niż w Monachium,a jest miasto miłe i ciekawe. Muzeum co 2 dni otworzone,a Delaroche,xxxxxxxxx Calame i Vernet zasługują aby parę tygodni tu zabawić.

Karolu drogi ! co tam moje interessa,czy nie obiegają Cię jeszcze ? Jak to miło być w mieście,gdzie się jest w tym względzie spokojnym. Nie ma to jak być porządnym ! Od teraz daleko mniej długów robię,jak do tej pory. Bądźże zdrów Ty i oznajm zaraz

Olesia i wszystkich innych o naszym stanie, może któren będzie miał choć cokolwiek, a posełaj tak jak Cię prosiłem : poste restan te pieniądze, a list z oznajmnieniem do nas pod adres Wintergarten strasse No. 5 .4te Etage.

Napisz nam kiedy przyjedziesz, a my możemy Ci tanią stancię mając na tydzień, dwa. Bywaj zdrów Lubciu

Marcell

I jeszcze jeden list z Lipska :

Czwartek 18

"Mało brakowało a byłbyś już przedwczoraj od nas list dostał, ale nie chciałem Cię nudzić tak często i wolałem sprzedać burnus za bezcen i pod najprzykrzejszymi dla nas formalnosciami i odczekać jakiś czas na pieniądze od Olesia. Dziś te pieniądze ku schyłkowi, trudno mi zatem dłużej milczeć a nie mamy nic, co by my mogli sprzedać, albo zastawić. Jeżeli zaś Oleś nie wystara się do 23, to jest w najkrótszym czasie pieniędzy, to słowo honoru daję, nie wiem co będzie. 20 mamy się stąd wyprowadzić, a tu ani śniadania i inne małe rzeczy nie są zapłacone. Na przeprowadzenie także potrzeba będzie coś - a na życie ?!! Karolu dalibog znajdujemy się w najdjabelniejszym sosie i spuszczam się na Ciebie, że z pewnością Olesiowi ten list przeczytasz, a koniecznie spodziewamy się pieniędzy, innego nie możemy się spodziewać, dlatego też na pewne rachujemy, że zaraz po odebraniu tego listu odeszlecie pieniądze, bo próżny list to byłby głód.

List Twój odebrałem i cieszyłem się nim, choć był krótki trochę. Co Wy tam porabiacie, czy nie myśli nikt z Was tutaj przyjechać, bo my bardzo na tem cierpimy, że jesteśmy sami. Może Ostrosło albo Rajchenberg ? A Ty kochany kiedy do nas zagościsz? Czy zacząłeś olejno malować swój obraz ? Wystaw sobie do czego ja się odważył ? - z biedy - zrobiłem akwarelle i oddałem na wystawę na sprzedaż, ale będę mógł czekać długo nim dostanę pieniądze choć cena bardzo mała w porównaniu xxxxxxx do tamtych : 20 talarów. Teraz robię drugi i trzeci obrazek -tylko do Judyty potrzeba mi koniecznie modelki- bo Rafał za chudy. On biedak cierpi bardzo, że nie ma skrzypców, albo fortepianu bodaj, nima nic robić, nudzi się okropnie, - wczoraj jak się dorwał fortepianu u sąsiada, to grał do ciemnej nocy, a ja śpiewał.. ale co ja tu gadam, a tu nie ma xxxx co jeść i butów niema .Wystaw sobie, ja chodzę w butach podartych, czy nie możnaby jakim sposobem dostać się do moich grubych, które zastawiłem?

A jeszcze jedno : jeżeli Oleś da pieniądze, to u fotografa są moje fotografie, które zostawiłem u niego, weź je, a jeżeli nie zechce dać, to poszlę Ci kartkę dla niego.

Bywaj zdrów kochany i nie gniewaj się na twego Marcella.

Jak Matejko? Pozdrawiam Was wszystkich serdecznie.

Olesiu! Olesiu! ój Olesiu ! "

.....

Takie się to dostawało listy z " monachijskich czasów". Marcelowe chowane były zawsze osobno w małej, płaskiej, mahoniowej skrzyneczce i głód jego, jego dziecinny krzyk o ratunek, rozdzierał Ojcu serce nawet po latach. Naturalna rzecz, że takie życie nie konserwowało, że nieubłagany los uparł się w końcu o ostatni przyodziewek Marcela, ten w którym się tłukła jego znękana, niedokarmiona, niedośpiewana dusza artysty -ptaka, głodna radości i kochania, cudownie prosta i szczera, kajająca się w gorzkiej pokucie za swoje naiwne winy.

Cztery lata żył jeszcze Marcel od tamtej, monachijskiej doby. Ratowano go pewno w suchotach, jak to wtedy był zwyczaj - żętycą - ba! nawet do Wenecji wysłali rodzice biedaka, aby miał i " południe" lecznicze i piękne... Ale już go ten pobyt nie cieszył. Sił nie miał na zwiedzanie. W 26-tym roku życia dogasał.

Gdy w 1862 w marcu umarł we Lwowie, Ojciec mój bawił na studiach w Paryżu i tylko w liście od Jakubowiczowej i jego odpowiedzi pani Fryni utrwalił się głęboki ślad tego ciosu.

W liście pod datą 23/ 3 pisanym tego roku przez siostrę Tatka młodszą, Anielę, do przyjaciółek Cyryli i Julii Płoszczakównych w Mikołajowie, mam też świadectwo wystawione tej chwili. Silnie odczuwająca ucisk moralny, gniotący kraj w przededniu powstania, wrażliwa i bardzo lotna umysłowo panna Młodnicka, tak się odzywa do bliskich sobie dziewcząt :

....." pisząc do Was, chciałam żeby list był w treść bogaty, i- w dobrym humorze i spokojnie napisany. W przeciwnym usposobieniu nie chciałam pisać, -bo wiem, że i Wy macie swego mola, na co ja mam dodawać ? bo w smutku myśli się, że smutny każden, tak jak w szczęściu nie wierzy się w nieszczęście - otóż i ja byłam przekonana, że i Wy macie pewnie dość swego i nie chciałam pisać o mojem. Na objaśnienie tego co powiedziałam, dość gdy dodam, czem Lwów mnie przywitał : pogrzebem Marcela Waszkowskiego. Więcej Wam pisać nie potrzebuję...."

Na grób Marcela z prostym, drewnianym krzyżykiem i blaszaną paletką z nazwiskiem i datami, kładło się rokrocznie wian k

zielony i paliło światełko zaduszne. A gdy z latami krzyż sprochniał, Tatko postarał się o nowy, blaszana paletka została odmalowana i świeżym opatrzona napisem. Pojechaliśmy z tym krzyżykiem na cmentarz Łyczakowski, aby w Tatka obecności został ustawiony. Paletę xxxxxxxxxx przybił sam na nowo. Podczas wojny dopiero, straciwszy z oczu mogiłkę, już jej teraz odszukać nie mogę. Przekopana niechybnie...

Ale po domu jeszcze pełno Marcela. Jego portret w żółtej konfederatce, cudny profil Schillera, ołówkowy portrecik profilu Ojca, karteluszki wątłe z karykaturami, ręce Grottgera, podobizna mistrzowska Jakubowicza, Liszt wedle fotografii Kriehubera ojcowe rysunki, daguerotypy, listy.. I jeden jeszcze przedmiot od niego pochodzący : żelazne wieszadełko na siarniczki z niezgrabnym motywem nietoperza, które gdzieś zawsze w pobliżu Tatka wisiało i miało nazwę " poczwary". Mogło to służyć równie dobrze xxxxxxxxx za schowek dla zapałek, jak za jakąś czarnoksięską kropielnicę. "Poczwara " ocalała i wisi ze czcią należną na jednej z moich ścian.

Przepadł natomiast kałamarz o wieczku z czterema rybkami - kałamarz xxxxxxx po Marcelu - który mi służył całą młodość i był powiernikiem moich pierwszych wierszy, chowanych po schowkach przemyślnych, z których wszelako zawsze wydobyć je umiał Adaś i opatrzywszy wykrzyknikami czerwonymi, pękatymi jak balony, podrzucał na widoczniejszych miejscach mieszkania...

Z kałamarzem tym kochanym rozeszłam się po zamęściu i już go na Zaświeciu nie pamiętam....

X

X X

Niecierpliwi mnie samą chaotyczność tego mego gadania. Jak koronczarka, mam przed sobą rój klocków, każdy owinięty inną nicią...W miarę jak się wzór snuje, biorę to ten klocek, to drugi, z każdego ciągnie się nić odrębna, wszystkie zosobna są potrzebne i co chwila znów się po ten sam sięga...

Po Marcelu najbliższym przyjacielem Ojca był Grottger. W życiu, xxxxxx równolegle do wysoczyzny i głębi swego ducha, był Artnur tej samej rasy, co Marcel. O ile umysłowo górował nad nim o całe nieba i skalę talentu przewyższał go bez porównania, w stosunku do samego siebie, do sił i zapasów na życie od Boga wziętych był takim samym rozrzutnikiem i "putał " sobą nieopatrznie, jak tamten.. W przeciwieństwie do xxx nich obu, Ojciec mój, choć pełen humoru, świetny kompan do zabaw, młody i urodziwy, miał w sobie dziw=

nie wcześnie tę równowagę charakteru, ten spokój sądu i rozumu, któ-
re tak cenili xxxxx jego koledzy, a które nieraz w późniejszych
latach Ojca, opierali się niejedni w środowisku w którym żył. Po=
dobnie jak Marcel poddający się ślepo jego zdaniu w opresji, tak
i Grottger szukał nieraz towarzystwa Ojca, aby się czy wyskarżyć,
czy poradzić, czy choćby tylko wydyszeć w jego pobliżu po jakichś
szalonych tygodniach... Umysł Ojca jasny i precyzyjnie sprawiedli-
wy, rozwadzał często powaśnionych, rozsędzał różne przewlekłe zwa=
dy. I, o dziwo ! - szaławiły serdeczne rozumiały się na tych
cnotach - i po latach, kilka takich słów uznania, z jakimi Grottger
wymienił przed panną Wandę nonne nazwisko Karola Młodnickiego, ja-
ko jedn-go z najlepszych ludzi, jakich znał, człowieka jeszcze wów=
czas nieznajomego jej zupełnie sprawiło, że gdy jej go po śmierci
Grottgera przedstawił w swej pracowni Parys Filippi, odczuła xxxx
xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx uscisk jego
dłoni jakoy jakieś przekazanie z zaświata.

Kult Ojca dla pamięci Grottgera oył też czymś głęboko wzru=
szającym. Pamiętam, gdy kartony z albumu Mamy szły na wystawę któ-
rąkolwiek, -Ojciec sam wkładał je pod szkło i nigdy żaden introli-
gator nie tknął ram z nimi. Sam na gumowanych paseczkach kitajki
przytwierdzał je do paspartusów, sam zaklejał teksturę na plecach
obrazu. Gdy ciężkie położenie materialne i niedomaganie Ojca skło-
niło Mamę do rozstania się z całym szeregiem tych rysunków xxxxxx
w r. 1894 - odczuł to Ojciec jako moralną katastrofę, której nie
przeboleł nigdy. Zwłaszcza gdy w roku 1893 Karol Lanckoroński z
Rozdołu przybył wybrać który w grottgerowskich rysunków - pamię=
tam wrażenie tej chwili w domu...

Nad kanapą w salonie wisiała wstępna karta " Wojny" - ów
widmowy hufiec klęsk otaczających jadącą konno niewieścią postać
o zasuniętej na profil przyłbicy... Na pierwszym planie postacie
Artysty i Muzy. Na tym jedynym rysunku pozostawił Grottger własne
swoje rysy Artyście... Pamiętam ten obraz od chwili gdym zaczęła
patrzeć i spostrzegać... W jego szybie odbijały się wszystkie świe-
czki naszych choinek.. Nie oył nigdy przeznaczony na sprzedaż. Nic
wogóle xx z tego co wisiało xxxxx na naszych ścianach...

Przyszedł Lanckoroński. Oczywiście nie oyła Mama obecna,
tylko sam Ojciec go przyjmował. Wyjęte już naprzód kartony Albumu
zostały mu pokazane, jako te jedyne, które oyły do nabycia. Pamiętam
wysoki, zabawnie krzykliwy głos mecenasa i w niezoyt pewnej polsz
czyźnie wygłaszane zachwyty. Byłysmy obie z Mamą w przyległym do
salonu pokoju i serce ściskała nam żałość okrutna. Czas jakiś tx
trwało oglądanie, poczem wynikła rozmowa, w której nie odrazu wyzna=

łyśmy się. Wreszcie nie było wątpliwości. Pamiętam oczy Mamy, gdy na mnie popatrzyła, rozszerzone strachem. Łanckoroński, obejrzawszy wszystko, co było do nabycia, oświadczył Ojcu, że nabyć gotów tylko ów pierwszy karton do " Wojny", ten ze ściany, który do kupienia nie był... Tatko tłumaczył, przedstawiał... Bez żony oczywiście decydować nie mógł. Kupiec - kaprysem magnata i zbieracza - uparł się. Wyszedł Tatko z salonu. Miał na twarzy wypieki i oczy strwożone, bezradne.. Niedomagał już wtedy często na serce. Prawie bez słów wydała Mama wyrok na obraz kochany.

Gdy znikł ze ściany było w domu, jak po pogrzebie.

X

X X

Chodzili jeszcze tacy ludzie po Lwowie, jak taka np. pani Brühlowa... Właścicielka wyborednego korzennego sklepu naprzeciw ulicy Halickiej, matka pani Andrzejowej Grabowskiej, żony malarza " Grabca" - sama doskonała muzyczka, której dom zasobny gromadził u siebie przez lata całe muzykalny Lwów.

Grywali tu pani Leonia Wildowa, Antym Nikorowicz, Rudolf Schwarz, śpiewała pani Marcela Lederrerowa, Ujejski czytał najnowsze swoje utwory... Otóż pani Brühlowa, gdy za mojej już pamięci szła przez miasto malutka, stara a gruba jak dzwon, w swej czarnej, jedwabnej, bramowanej sobolami, opiętej salopie, miała zawsze pod pachą torbę papierową, pełną hiszpańskich winogron, daktyli ✱ fig czy rodzynków, lub bodaj migdałów w łupce, którymi częstowała znajomych. Ileż razy korzystałam z tych słodkich spotkań ! Tu wspomnę - bo już się z nią, ani z jej winogronami nie zejdę chyba w tych zapiskach - jak raz, idącą drobnym kroczkiem, odzianą w tę samą salopę z sobolami, zaczepiła ją jakaś żebraczka z trojgiem małych dzieci, domagając się jałmużny.

- Jeszcze mam czworo w domu, prosze pani dobrodziejki... Co roku mam przybytek...

- Po cóż miewasz? - zauważyła spokojnie pani Brühlowa, dając babie centy a dzieciom daktyle. To " po cóż miewasz?" pani Brühlowej zostało między nami jako bon mot, nieraz przy różnych okazjach stosowane...

X X X

Gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych sprowadzili się na pierwsze piętro pod nami państwo Bełzowie...

Pan Władysław Bełza był mi znajomy jeszcze pierwej... Tatko

w czasach gdy rysował ilustracje do " Strzechy",a potem do " Różowego Domina",czasopism wydawanych przez F.H.Richtera, bywał już w kontakcie z Bełzą,tkwiącym od młodości pośród książek,nakładców,wydawnictw...On to zresztą redagował przez lat szereg swego doskonałego " Towarzysza Młodzieży",którego komplet dostałam od niego w podarku,czytałam z upodobaniem i wiele ważnych pierwszych wiadomości tyczących polskich spraw,zawdzięczam tym rocznikom. I do " Towarzystwa" też narysował Tatko niejedno... Znaczna także część dziecinnych książek,które się stały zawiązkiem mej osobistej biblioteczki w białej wąskiej szafce,której wierzch zdobiła latami zielona klatka z kanarkami Pucem i Pucą, pochodziła z poczciwych darów pana Bełzy. Nieraz,gdyśmy go spotykali na ulicy,wyjmował z kieszeni jakąś wydawniczą,dziecinną " nowość" i zaraz mi ją ofiarowywał z czułością. Sam bezdzietny osobliwie kochał dzieci,które podziwiał i rozpieszczał,darząc tym na co go stać było najczęściej - książkami.

Wielka była tedy uciecha w nowego sąsiedztwa na pierwszym piętrze. Znajomość z latami zmieniła się na przyjaźń serdeczną i przetrwała do końca. Bełza był to jeden z tych ludzi,o jakich Tatko mawiał :"Wiecie - on jest nadzwyczajny,ale takich już nie ma.." Istotnie do nadzwyczajności sam nie miał pretensji,ale dziś wspominam go ze ściśnieniem serca żałosnym, jako typ przeżyły,nieodżałowany,zaginiony już całkowicie.Czy można wyobrazić sobie dziś człowieka, któryby był zasadniczo,do gruntu,przychylny i życzliwy drugiemu ? Człowieka,który lubił- naprawdę lubił- zrobić - czy powiedzieć bodaj - tamtemu przyjemność ? Bełza taki był. A to,że miał powierzchowność ujmującą,godną i ogładę na co dzień, nie odświętną, ale tę nie bijącą fornirem- masywną,dziedziczną - to już był tylko naddatek miły.

Kilkanaście lat,aż do mego zamęścia,przeżyłam z tymi dwojgiem kochanych ludzi pod jednym dachem i doprawdy -z wyjątkiem tylko wakacji - nie było dnia aby ktoś z nas u nich,albo od nich u nas się nie pokazał. Bodaj jakaś książka odesłana z góry,z paroma słowami na świstku, bodaj talerz świeżych ptysiów,które z dołu ruda Lola przyniosła dla mnie od pani Bełzowej. Otrzymywał xxxBełzaxxx i Bełza czasem jakieś takie jadalne pozdrowienia, na które odpowiadał wierszem. Początek jednego ocalał mi w pamięci :

" Przez słodycze i przez pluszcze
rym mój słodki do Was pluszcze..."

Bełza miał wszelako daleko większy talent bycia i słowa,niż tak zwanego " pióra ". Był jak najciekawszy, żywy xxxxxxxxxxx rapsodiarz który można było czytać z pożytkiem zawsze,na którejkolwiek stronni-

cy by się otworzył. Był słuszny, trzymał się niezmiernie prosto, miał śliczny dźwięk głosu, dykcję i polszczyznę znakomitę (w młodości próbował sił przez czas pewien na scenie poznańskiego teatru) co wszystko podnosiło jeszcze użycie słuchacza. Znał Warszawę i Paryż, znał moc najciekawszych ludzi, o każdym pamiętał mnóstwo, każdego sposób mówienia, gesty, głos umiał naśladować. Do takich arcydzieł odtwórczych Bełzy liczył się czcigodny jąkała Platon Kostecki, hr. Karol Lanckoroński, a wreszcie koledzy z Ossolineum, np. stary Pawłowicz, Kętrzyński i inni, których " pokazywał " tak bajecznie, że się nie raz sami z siebie zaśmiewali...

Żona pana Bełzy była z domu Ostrowska, siostra nie żyjącego oddawna rzeźbiarza, po którym zaadoptowali oboje synka sierotę, nazywającego się po ojcu Kazimierz. Udało im się to nad podziw. Wyrósł z tego Kazia naprawdę syn, jakby najrodzeńszy, kochający najwdzięczniej, człowiek rozumny, zacny i dzielny. Wtedy gdyśmy się poznali, był jeszcze chłoptasiem z grzywką i kłapouszkami czarnymi, naszał marynarskie kołnierze i krótkie spodeńki. Dziś jest dyrektorem tytoniowego monopolu w Warszawie.

Szukam słów na wizerunek pani Bełzowej, ale wszystko na nic.. Trzeba było ją znać. Najmilsza i najszczersza mieszanina rozsądku z naiwnością, dobroci z dowcipem. Bystrość niespodziana a zarazem łagodność w sądach o ludziach, która to kombinacja sprawiała, że potrafiła mówić o bliźnich w sposób taki, jak nikt, robić ze słodyczą istotną spostrzeżenia tak nieocenione, zdumiewające humorem i trafnością, a zarazem takie prostoduszne i dobrotliwe, że nie była to nigdy obmowa.

Dzięki tym niezwykłym przymiotom, możliwymi były stosunki ścisłe z bezprzykładnie liczną rodziną, których cnoty i zalety znała pani Bełzowa na wylot i radziła sobie z nimi wybornie. Codzień po herbacie po piątej, liczne grono krewnych zasiadało z nią do " labeta". Z całego tego zastępu najbardziej mnie zaciekawiał brat pani Bełzowej, pan Jan, radca kolei de facto, a wedle przeznaczenia jeden z najbardziej utalentowanych komików, najdowcipniejszych ludzi jakich znałam. Chudy, czarny jak cygan, z ponurą twarzą - coś à la Słowacki - gdyby się był postarzał - i mówiący z miną niezłomnie grobową głupstwa najrozkoszniejsze. Inna w tym zespole osoba, która mnie zaciekawiała, to była żona Antoniego, drugiego z licznych braci pani Bełzowej, pani Rafaela z Żółkowskich, najmłodsza wnuczka słynnego Alojzego, aktora i twórcy " Momusa", zwana w rodzinie " Rafcią". Miała także dzieci bez liku i umiała to jakoś tak, że była długo najładniejsza ze swoich córek...

Podczas gdy w jadalnym, przy udziale wszelakich Ostrowskich, Hofmoklów, pani Studzieńskiej siostry Bełzy i pani Gottliebowej Julii, jednej z sióstr Pani (jak się później pokazało chrzestnej matki Wacka...) szła codzienna partia tarota, Bełza miał także swą godzinę przyjęć u siebie. Cały dzień od świtu niemal zajęty w umiłowanym Zakładzie czyli Ossolineum, zaraz popołudniu o pierwej, kładł się do łóżka,- tak, bez żadnej choroby, poprostu z obyczaju - i wtedy szło się do niego na pogawędkę.

Leżał w bardzo zawsze starannej celi, pod błękitną kołdrą, miał na czole zieloną umbrelkę, obok na stoliku paliła się świeca, gdyż lampy do czytania nie znosił, i piętrzyły się stosy wydawniczych nowości. Ileż takich godzin pamiętam przegwarzonych przez Mamę i Bełzę, z rolą coraz większym z latami udziałem! Czy Czułam zawsze, że wracam bogatsza, czy o jakąś znamienną wieść polityczną ze świata - do jakiej niteczkę nadziei czy otuchy dochepiało się wtedy tak ochotnie! - czy o żywe jakie wspomnienie o kimś z ludzi wyoltnych, czy świeżo dobyty jaki szczegół historyczny, czy o treści jakiejś najnowszej książki - a choćby tylko o Bełzy własne, aktualne przeżycia w Zakładzie.

Ossolineum ówczesne była to kopalnia typów tak dostojnych jak stary Małecki lub tak charakterystycznych, jak jego niemniej a może bardziej wiekowa żona - czy też smutnawo śmiesznych, jak stary Antoni Pawłowicz, kustosz muzeum, istny " biały okularnik" z historii o " Ankusie królewskim" Kiplinga... Galeria tych postaci była mi w relacji Bełzy tak plastyczna, że słuchając o nich siedziałam jakby na coraz to nowej odsłonie sztuki.

Oboje Małeccy, sędziwi wielce i mający życie do ostatka błogie i dostatnie, chorowali ciągle, raz on, raz ona, nie koniecznie na choroby rzeczywiste, ale lęk, że to już może " TA właśnie choroba..." Była między staruszkami, jakby konkurencja cicha, podobna do owej w bajce o Dziadu i Babie Kraszewskiego : " Które pierwej?"... Najpierw - streszczam wedle Bełzy - wmawiali w siebie samych dolegliwości, aby wywołać zaprzeczenie drugiego, co ich nawzajem uspokajało. Potem zaczynali podejrzewać się o ukrywanie przed tamtym bądź zdrowia, bądź choroby... Czasem istotnie któreś zaniemogło. Wtedy sędny dzień nastawał w Zakładzie! To - z dwojga chwilowo zdrowe, posyłało natychmiast po księdza, który najczęściej przyszedł daremnie, bo poprawa następowała na jego widok prawie natychmiast. Zdarzało się, że gdy pani Małecka zasłabła i już od księcia kuratora aż do woźnego Micnała wiedziało się o nowinie, gdy ktoś polecił wysłany

przez pana Małeckiego po doktora i księdza, staruszka, dotknięta do żywego posądzeniem, że to mogło by być " już.." wstawała czem= prędzej, a nadchodzący ksiądz i doktor, zastawali ją siedzącą przy fortepianie i wygrywającą najsiarczystsze mazury... Hulała bowiem za młodu szalenie, a za danserów miewała dość powiedzieć wszystkich trzech Maszkowskich, Grottgera i mego Ojca. (Nieraz o nią Marcel zapytuje w swoich listach z Monachium) Mam wrażenie że żyli oboje tak długo jak chcieli, pomarli zaś tylko dlatego, że już mieli ochotę. Ona pierwszej, on po niej.

Starego Pawłowicza znałam także jak i staruszkow Małec= kich, nie tylko z opowiadań Bełzy. Gorzki, jak proszek chininy, zamknięty w starokawalerstwie, warował na straży swego muzeum, nie mogąc ukryć pasji wobec zwiedzających. Ze śmiercią był na stopie podobnej co PP. Małeccy, tyle, że samotnikowi brakło emula= cji... Najbliżej był z rodziną dyrektora Kętrzyńskiego, którego syn Staś, był jego chrześniakiem. W braku innych dziedziców, postanowił Pawłowicz przekazać wszystko co posiadał temuż Sta= siowi. " Wszystko" Pawłowicza był to jakiś chromy stolik, krze= sła nie lepsze, trochę papierów, pamiętnik, trochę gratów... Napi= sał testament i poprosił Bełzę, aby się podpisał jako świadek. Aliści mieszkanie Kętrzyńskich znajdowało się akurat nad głową starego Litwina, Staś zaś był małym chłopcem, który się ruszał i biegał właśnie wtedy, gdy to wadziło Pawłowiczowi. Po pewnym cza= sie otrzymał Bełza od Pawłowicza wezwanie, aby do niego zaszedł Okazało się, że testator postanowił zmienić zapis. Przeliczył się,..Chłopcu który takie brewerie wyprawia nad głową skołata= nego starca, niepodobna powierzać pamiątek...Bełza opanował wesołość i począł orędować za Stasiem, przedkładać okoliczności łagodzące...Biały okularnik był jednak nieubłagany i głosem, który niegdyś zachęcał jego uczennice rysunku przy lekcji, mówiąc " Stawiaj panna pałki..." kazał też i Bełzie " postawić" swe nazwisko pod dokumentem. Staś najformalniej został wydziedzi= czony. -" Sam sobie winien..." objaśnił z irytacją Pawłowicz. Minął znow pewien czas i Bełza znów dostaje wezwanie od Pawło= wicza... Czy następny spadkobierca okazał się jeszcze mniej god= ny od Stasia, czy tenże poskromił swe obyczaje - dość, że poprzed= ni zapis uległ znów zmianie. Bełza miał tym razem podpisać po raz wtóry testament, mocą którego " wszystko" dziedziczy Staś Kęt= rzyński... I nie byłoby w tych falowaniach woli białego okular= nika nic tak znow dziwnego, gdyby nie okoliczność, że proceder ten odbył się wiele, wiele razy, tak że Staś do ostatniej chwili ży=

cia swego chrzestnego ojca pozostawać musiał w napięciu. A i mnie nie wiadomo kto ostatecznie stał się dziedzicem " wszystkiego " po Pawłowiczu.

To były rzeczy zabawne, ale ileż innych, charakterystycznych szczegółów nasypać umiał Bełza na poczekaniu! Został po nim pamiętnik, bardzo dokładny z całego życia, który prowadził o ile wiem do śmierci. Tam pewno znajdą się zczasem te ważniejsze relacje o Kraszewskim, Goszczyńskim, o Kaczkowskim, Lenartowiczu, Polu, rodzinie Mickiewicza... Trudno dać mi pojęcie o tym, jak innym treściwszym, ciekawszym, świeższym umysłowo był sam Bełza, w porównaniu z tym co napisał. Myślę tu przede wszystkim o jego prozie i o tym co wydał o Mickiewiczu. Są ludzie, którzy muszą pisać, aby się ich zobaczyło. Są na odwrót tacy, którzy aby się stali sobą, muszą " pióro" odłożyć.... Właśnie takim był Bełza. Mam przekonanie, że jedynie jego "Katechizm polskiego dziecka"- do pewnej mety oczywiście ! -próbę czasu wytrzyma. Podobnie jak po Konopnickiej - zczasem zostanie tylko " Rota", wzięta przypadkowo na skrzydła muzyki. Pamięć o Bełzie zatrzyma się najdłużej na powadze owego patrzącego dzieciom w oczy pytania : Kto ty jesteś ?

Zastrzegam się tu oczywiście przed posądzaniem, jakobym te dwie firmy literackie stawiała obok siebie na równi. Konopnicka była " większa", ale po obojgu zostanie tylko to, co w zwięzłych słowach potrafili powiedzieć o rzeczy " Największej".

Co wiosny, na wielkanocne ferie, wyruszał Bełza do Wenecji. Rzadko gdzieś dalej... To był adres, pod który dowoził zazwyczaj bez szwanku swoje coraz mniej pewne serce. Wyrzucam sobie, żeśmy sobie dworowali z niego, posądzając o urojenie, gdy czasem wracał z Wiednia, przepłoszony lękiem, aby gdzieś po drodze nie zamrzeć, - gdyśmy patrzyli, jak na dziwactwo, na jego przesadnie powolny chód... A to była choroba, podchodząca coraz śmielej...

Z Wenecji wracał zawsze odświeżony, odmłodniały, rad, że się nawdychał po antykwarniach i miał dla każdego za powrotem jakiś ładnie obmyślany gościniec. Dostałam raz przy takiej okazji autentyczny, starorzymski " stylos", nie kupiony, ale otrzymany wprost od znajomego archeologa. Taki kościany rylec do pisania na woskowych tabliczkach...

W roku 1897 zjechaliśmy się raz, ja i Wacek, z Bełzami i Gawalewiczem w Wenecji. Akurat biedna pani Bełzowa zasłabła na żołądek i Bełza wezwał doktora, Niemca. Ani ona, ani on, królewiak, nie mówili dobrze po niemiecku. Miał konsyljarz zabawę, gdy mu pacjentka oznajmiła na wstępie, że ma "kranke Wurste". Doktor

pojąwszy o co chodzi, a słysząc że chora nie wyrzuca sobie żadnego przestępstwa kulinarnego zagadnął, czy to aby nie zaziębienie ?

- W hotelu było zimno, to prawda - przyznała - ale ich have mit einem Jäger geschlafen..."

Tu, gdy już doktór nie zdołał ~~pohamować~~ pohamować radości, zmiarkował i Belza, że coś nie w porządku i nauczywszy się na pamięć tej weneckiej niemieczczyzny żony, ufetował następnie i nas i Gawalewicza..

Gawalewicz! Także taki typ, który dopiero wtedy zaczynał być oryginalny i ciekawy, mieć swój kontur i talent, gdy mówił, gdy się zapominało i gdy on zapominał o powieściach Gawalewicza! Świetna, cięta, bystra plecuga, znająca ~~coroczną~~ swoją Warszawkę jak własną biografię, kronika nieoszacowana o żywych ludziach i rzeczach, człowiek, który tracił wszystek czas na wymyślanie rzeczy i ludzi - nieżywych.

Czegoż on nam wszystkim nie naopowiadał wtedy u Sandwirtha lub w czarnym kaloszu gondoli! Choćby tę anegdotkę o Deotymie i Henryku Sienkiewiczu, jej nb. kuzynku.

Pytał ktoś Sienkiewicza jak wygląda Deotyma ?Zaczął ją tedy Sienkiewicz opisywać, ostrożnie, gdyż była już wtedy niemłoda, ~~zaraz~~ zatrzymując się głównie nad szatą w jakiej się jawiła na swoich słynnych wieczorach literackich, powłoczystą z "greckim" rękawem i złotą przepaską.

-We włosach miała - mówił - ~~we~~ diadem i różę tu..."dotknął swej piersi. W tejże chwili poprawił się i pokazał palcem locum róży o piędź dalej od kamizelki. - " Nie! -- poprawił się ponownie. Tu ! -- i wyciągnął rękę na całą długość. Poetessa była powiem ~~bardzo~~ gruba i sięgała daleko w przestrzeń nie tylko samą wyobraźnią... Koncept był dobry, więc poszedł na Warszawę i znalazł się rychło u stóp wieszczki, która bardzo długo potem robiła chłód Sienkiewiczowi.

Potoczyła się rozmowa o Sienkiewiczu, o niemiłych małościach wielkiego pisarza.

- To jest taki człowiek, - powiedział pan Maryś -- że gdyby ktoś z jego wielbicieli, zrobił sobie w jego oczach nara-kiri i ginął u jego stóp ze słowami : Mistrzu! Dla ciebie! - Sienkiewicz bez słowa zatkałby sobie nos chusteczką i przeszedł mimo, nie obejrzawszy się..."

W wiele lat później opowiadała mi pani Gawalewiczowa, jak to - gdy była cudną, młodziutką panną, Sienkiewicz kochał się w

niej, jak xxxxxx jej widoku szukał, towarzyszył jej wszędzie jak cień, on - skromny literacik na dorobku, ona zamożna, świetna - piękność poprostu. Wyszła za Gawalewicza i drogi ich rozeszły się daleko... Lata minęły, Gawalewicz był dyrektorem teatru w Łodzi, żona jego zaś rozczarowana, zrażona, piękna tylko zawsze xxxxxxni cudownie, znosiła z męstwem artystyczną biedę, byleby tylko on - Marian - miał dom wygodny i życie gładkie... Jednego ranka, Gawalewicz miał jechać rano do Warszawy, a szło o zaoszczędzenie paru kopiejek na dorożkę. Wyszła tedy pani Marianowa jeszcze wcześniej, aby własnoręcznie odnieść mężowską walizkę na dworzec. Gdy szła, wlokąc się z ciężkim bagażem, wprost siebie ujrzała nadchodzącego Sienkiewicza. Był już wtedy xxxxxxxx uszczytu sławy, a ona jeszcze może bardziej dojrzała urodą. Nie można było jej nie poznać. Ulica była jeszcze pustawa, więc tymbardziej wpaść mu w oczy musiała śliczna, młoda kobieta z ciężką walizką w ręku. Ta sama o której marzył studentem... Sienkiewicz, z mgnieniem ambarasu na twarzy, minął ją bez słowa, ni gestu.

Zgadało się także xxPaderewskimxx o Paderewskim. Posypały się szczegóły, jak z rękawa. Przypominam tylko niektóre, bo i zapomniałam wiele i wolę niejednego nie pamiętać, raczej ze względu na niego, którego można pod światło potrzymać jak kryształ - niż ze względu na panią Helenę... Latami nie brałam na serio tych warszawskich jej i egipskich tradycji, wierząc, że on był w jej życiu jeden, że tylko zawiść ludzka skuwie jej sukcie - dopiero opłakana rola pani prezydentowej polskich ministrów uczyniła mnie podejrzliwszą i wstecz... Niestety, choć i zamilczę niejedno, pewna jestem, że się znajdą tacy, którzy w swoim czasie, gdy wzgląd na niego ustanie, a przynajmniej osłabnie, wrócą i pozbierają wszystko. Za ciężkie ma historia polska porachunki z panią Helenę !

Paderewskiego znał już Gawalewicz w czasie, gdy był wdowcem po swej pierwszej żonie, Korsakownej - i ubogi jak mysz kościelna, sławny był na razie tym tylko, że go Noskowski za talent zbyt wybitny i tupet wyrzucił z konserwatorium. Nie uczniem już był wtedy, ale jednym z młodszych profesorów. Ożenił się był - wbrew woli, czy pono nawet bez wiedzy rodziców żony, z panną Korsakówną, która żyła z nim bardzo krótko i umarła na płuca. Syn ich jedyny, Alfred, umarł mając lat dwadzieścia. Gawalewicz był na pogrzebie pierwszej pani Paderewskiej i pamięta jego, jak szedł za trumną w wyświerzanym paltocinie, butach z cholewami i cylindrze. Przytaczam te szczegóły na wyłączną odpowiedzialność pana Marysia.

Już na horyzoncie Warszawy widać było i panią Paderewską

przyszłą... Nazywała się wtedy pani Górska, a mąż jej Władysław, był cenionym skrzypkiem. Pamiętano ją jako baronównę Rosen, bywającą pod opieką starej cioci, przez długi szereg bezowocnych karnawałów piękną, ale nie lubianą... Tymczasem kędyś w zaułku mieścił się sklepik, którego właścicielem był przyszły teść pani Heleny Górski. Sprzedawał ptaszki i białe myszy, morskie świnki wiewiórki... Wielkie też było zdumienie, gdy się jego syn zaręczył z baronówną Rosen. Zapewne, dosyć już dojrzała panna, której ciotka wolała iść spać, niż na bal, obliczyła minione karnawały i wyszła za skrzypka, który i jako sybirak i jako zacny człowiek i wirtuoz ceniony, ogólną miał sympatię. Że zaś był z tej racji ostatniej w świecie sztuki i artystów, otwierało się przed nią pole dla pięknej, muzykalnej panny wcale nęcące... I zaczęła się dola pani Heleny, którą już znamy wszyscy...

X

X X

Ale wracam na Zimorowicza, do Bełzy.

W miarę mijających lat podnosił się ten poziom umysłowy i na zawsze zachowuję wdzięczność dla kochanego Bełzy za tę masę najlepszych książek, do jakich- dzięki jego dobroci - miałam dostęp bezprzestanny. Wszelkie nowości polskie, wszystkie najlepsze przekłady, czasopisma - były do mojej dyspozycji. A także i pierwsze kity bzu otrzymywałam zwykle " z dołu", Gdy się rozkwitły przed Ossolineum, a woźny, Michał Saturski, taki sam jak dziś, różowy i przychylny, tyle, że młodszy o lat z okładem trzydzieści, przynosił ich bukiet dla pani Bełzowej... Kazikowi z pierwszego piętra zawdzięczam także jedną radość dozgonną ! On to zaznajomił mnie w czasach, gdym była raczej dziewczyną jeszcze niż panną, z najmilszym " Bajarzem Polskim" Glińskiego. Cóż to było za odkrycie cudowne !

Nasz ganek, na drugim piętrze, na który wychodziło się od klatki schodowej i naszej kuchni, był słoneczniejszy od dolnego, miał widok na całuteńki Lwów i lewy jego kąt obok kuchni, zwieszony nad dachem szopy pod którą nocowały fiakry gospodyni,- kąt gdzie stała moja drewniana kanapka dziecinna i dwie konewki, zawsze pełne wody, w której pływała pałka chrzanu -- był ulubionym miejscem zasiadów. Popołudnia całe prażyło to słońce, za to ranki i pozachodnie godziny bywały rozkoszne. Tu był też prawomocny teren Katuli, mojej ukochanej suczki-przyjaciółki, matki Nolki, a babki Kadurci , - tu w Zielone Święta

pachła liściasta altana z grabiny i brzóz i skrzypiał pod pięta=
mi, podsypany białym piaskiem szuwar...

Pewnego lata wymyśliliśmy sobie z Kazikiem i Adasiem
- choć obaj chłopcy młodsi byli znacznie ode mnie - wspólną za=
bawę czarnoksięsko- medyczną. Polegała na tym, żeśmy flaszki na=
pełnione czystą wodą stawiali na górnym, najbardziej na spieką
eksponowanym ganku i w świetle naszej wiary, tudzież słonecznych
promieni, zabieg ten czynił jakoby z wody zwykłej, wodę leczniczą
o uniwersalnych skutkach. Choć nie znajdowała poparcia u star=
szych, fabrykacja naszego wynalazku trwała aż do wakacji i -jak
dziś widzę - była dość genialnym przeczuciem praktykowanych obec=
nie szeroko, konfidencji ze słońcem...

Otóż raz, gdy się bateria naszych flaszek " nasłoneczniała" na ganku, a my wedle zwycza=
ju, poszliśmy na ostatnie, najstromsze cztery schodki pod naszym
strychem, gdzie było chłodno, zatulnie i - co najważniejsze -nie=
zwykle ! - i gdzie dla zabicia czasu czytało się coś wspólnie
- pokazał mi Kazio "Bajarza." Dwa tomy oprawne razem, jak cegła,
pierwsze wileńskie wydanie. Jakżeśmy dali nura w ten cud !
Jakże mi się fantazja w tym chlapać zaczęła, jak kaczka ! Kocha=
ny Bajarz! Przyjaciel wypróbowany, któregom dostała potem
do wyprawy, ten sam znów "wyprawny " Bajarz Leli!

Nie ma już słonecznego naszego ganku ! Przeróbka
kamienicy skasowała oba, a i patrzeć, co prawda, nie ma tak daleco
już na co... Kamienice wypiętrzyły się bezczelnie i brudne para=
wany ich pleców zasłoniły widok prześliczny.

W miarę lat i postępu sercowej choroby, która go miała
- jak mego Tatka - zabrać przedwcześnie, kochany pan Bełza dzi=
waczał. Wstawał w nocy i z jakiejś niedocieczonej przyczyny, nie
zapalając świecy, dążył do salonu, gdzie na ogonie fortepianu sta=
ły zawsze, przygotowane umyślnie w tym a nie innym miejscu -kon=
fitury... Spożywszy je, szedł - również po ciemku - do jadalni, aby
wypić tam szklankę mleka, którą co wieczór stawiało się dla niego
na bufecie. Po tych czynnościach kładł się znowu i zasypiał.

Owe dziwaczne wyprawy " na łów" po omacku byłyby może us=
prawiedliwione, gdyby je motywował lęk, by nagłe błyśnięcie świat=
ła nie zbudziło pani Bełzowej. Ten wzgląd niestety odpadał. Pani
Bełzowa - o ile się nie mylę - na tle zaniku nerwu wzrokowego -
ociemniała biedaczka tak dokładnie, że do śmierci poruszała się
po znajomym mieszkaniu także po omacku, pogrążona raz na zaw=
sze w takiej ciemności, w jakiej on grążył się czasem tylko i dla=
tego, że chciał. Nie zdążało go przy tym bynajmniej, że z powodu

braku światła zdarzały mu się w czasie nocnych łowów fatalne, spożywcze pomyłki i że niejeden - cały z wieczora talerzyk - budził się rano w czerepach...

Pan Bełza natomiast - przeciwnie! Budził się świeży i wypoczęty o godzinie czwartej rano. Wstawał, zasiadał do biurka i jak codzień od niepamiętnych czasów, dopisywał w swym pamiętniku dzieje dnia wczorajszego...

Tymczasem lata mijały. Ja wyszłam zamąż, wyjechałam do Schodnicy. Znaleźli się na świecie Luk, Kazio, Dziodzia. Rodzice mieszkali już na Zaświeciu. Niedawem mieliśmy tam nadążyć i my..I znowu - choć dalsze o dwie ulice - odżyło dawne, kochane sąsiedztwo. Znowu chodziło się o piątej na pogwarek do Bełzy. Jak ongiś mnie, tak samo Luka teraz -swego pochrześnika -Bełza począł obdarzać książkami. ..Gdy już Kazio dużą głową stołu dosięgał, zaczęło się i jemu dorywać...Nie kto inny, tylko Bełza uczcił pierwszym madrygałem Beatę.

" Takam piękna, takam gładka
i nazywam się Beatka.
Istny portret mojej mamy
tylko mnie oprawić w ramy...
I cóż warta marna sława
pana Bełzy, Władysława ?

Wszystkie dzieła w piec by włożył
gdybym takie dzieło stworzył!!

Gdy Bełza napisał swój słynny " Katechizm "który dedykowany Lukowi rozejść się miał z czasem po świecie polskim w tysiącach i tysięcach odbitek, Luk był pierwszym ~~xxxxx~~ dzieckiem w Polsce, który go umiał na pamięć.

Pamiętam ten popis...Poszłyśmy z Mamą i obydwoma chłopcami około piątej do Bełzy. Leżał już oczywiście pod swoją błękitną kołdrą, założoną książkami, czyściutki w zielonym daszku nad oczyma i złotym pince-nez. Ona, mimo ślepoty niezmiennie pogodna i miła, " oglądała" życzliwymi rękami pyszczki malców, doszukując się rodzinnych podobieństw i dziwując różnicy między miękkimi kudełkami Luka a wątłym meszkiem na łebku Kaziowym.

Luk śmiało wyrecytował wstępny wiersz " Katechizmu". Bełza wzruszył się mocno, wciągnął go na kołdrę, wyściskał i wycałował, a potem, półżartem, pół serio, zapytał :

- No cóż? Jakby tak kiedyś naprawdę przyszli Moskale, czy byś oddał życie?

- Oddałbym...- napuszył się z przekonaniem Luk.

- A ty? - zwrócił się Bełza do Kazia.

- A pan ? - odpalił głowacz spokojnie, godząc w Bełzę tłus-

tym, niebieskim okiem.

- Poszedłbym razem z wami ! A jakże ! - śmiał się Bełza.

A na to Kazio :

- Jak my pójdziemy, to pan już..oho !", i uciął, czując, że się zapędził nieładnie...

- Masz rację ,obywatelu ! - rad nie rad, śmiejąc się wy= krzyknął Bełza. - Mnie już wtedy nie będzie...

Bardzośmy były oburzone za trzeźwą śmiałość naszego xxxx " twardego" kocura, ale jakże się było nie śmiać ?

A po latach, spełniło się i to, za co ręczył Luk i to co Bełzie przepowiedział Ziuba...

Umarł Bełza w sam czas, jeden z tych szczęśliwych, ktorzy czekali wierząc - zniewagi spełnienia nie dożywszy !

.....

.....

Przerywam te zapiski, ten brulion wspomnień w najczarniej= szej, najstraszniejszej dobie polskiej historii. W przeddzień Zgromadzenia Narodowego w Warszawie d. 30 maja 1926 roku.

Jestem w Medyce, w domu z którego wywozi się na zachód cenniejsze dzieła sztuki, pamiątki, archiwum. Z nimi idą i te zapiski. Czy się zejdą kiedy jeszcze z tymi kartkami? Czy dopi= szę co jeszcze ? Bogu jedynie wiadomo ! Czy warto będzie jesz= xze żyć na tej ziemi najdroższej, splugawionej, okrwawionej, no= wym, najhani bniejszycm z rozbiorów, spętanej, opętanej, wydanej wrogom na łup - wrogom mówiącym po polsku !

Im straszniejsza, nikczemniejsza teraźniejszość, tym niżej kłaniam się w podzięce szczęśliwemu, bogatemu, pięknemu życiu, jakie mi Bóg przeżyć pozwolił, tym wdzięczniej błogosławię pa= mięć Ich wszystkich, którzy je tak szczęśliwym, bogatym, pięknym uczynili !

Niechże mi Oni jeszcze i śmierć niezapóźną, miłosierną uproszą !

Amen

Medyka 30 maj 1926

Marcel... Właściwie Marceli Zyndram z Maszkowic, herbu Słońce... Praszczurem jego był bowiem istotnie ów luty rycerz z pod Grunwaldu. "Marcel" pszelako - tak zwany i w domu i przez kolegów - mało miał zmysłu na tę świetną parentelę. Sam jaśnie-dziedzic talentu i szampańskiej fantazyi, dzierżący swoją przyszłość we własnej, mistrzowskiej garści, mógł nie dbać o przeszłość i przodków, chociażby z pod Grunwaldu. Nigdy też nie fatygował swojego słonecznego herbu na codzień, posługując się tylko skromną pieczątką z małem gotyckiem "m", która okopcona nad świecą i przyłożona na rożku kartki, dawała rysunkom Marcela znajomą sygnaturę.

Nigdy się nie pogodzę z tą posępną prawdą żem go nie znała. Skoro kawaler umarł w r. 1868, nie podobna mu było przedstawić się pannie, która przyszła na świat o jedenaście lat później... To proste. A i wówczas jeszcze Ojciec mój, nosząc mnie, małą, rozkrzyczaną kukłę po pokoju, na którego ścianie wisiał olejny, grottgerowski portret Marcela, uważał za wskazane powtarzać z naciskiem:

- "Wszystko dobrze, ale Maszkowskich sobie wyperswaduj! Bawić się -dobrze! Tańczyć - dobrze! Ale resztę sobie wyperswaduj!"

Było to tem zabawniejsze, że sam mało kogo tak bardzo kochał jak Maszkowskich, a Marcela przedewszystkiem,- i że Ojciec sam później zapoznał mnie z nim tak blizko i serdecznie, jak z rówieśnym kolegą. Marcel niestety nie słynął wcale statkiem i temi cnotami, które "zdobić" zwykły młodzieńców. I zastrzeżenie owo wygłaszane żartem nad kukłą w powiciu, miało zapewne na celu uchylenie wczas możliwych niebezpieczeństw, grożących jej w przyszłości ze strony nowej, podrastającej już generacyi Maszkowskich, której stateczność Ojciec, jako doświadczony rzeczoznawca, miał prawo kwe-

stycznować.

Ale tak zwana przestroga, jak i obawa okazały się zbyteczne. Pokochałam Haszkowskich i żywych i umarłych, bez żadnego dla wzajemnej dobri uszczerbku, tak jak ich kochał mój Ojciec.

I miała na to rację. Bo wszystkie, dziesięć [illegible] lat, Paweł był moim [illegible],- ojcem, [illegible], ale [illegible] i przyjacielem, i [illegible] jak o [illegible], bardziej znającym i rozumiejącym [illegible], który i nas [illegible] bywali, [illegible] w [illegible] [illegible] jego portret. [illegible] w [illegible] w r. [illegible]. [illegible] [illegible] rafil w rozmaitej [illegible], i [illegible] rękawem [illegible] [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible] malowali. [illegible] [illegible] przedstawił się [illegible] [illegible] ojciec, [illegible] 'stary [illegible]', Jan. [illegible] [illegible] [illegible]. [illegible] stał [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] 'Wielkiej Konfederacji', [illegible] Paweł, [illegible] [illegible], [illegible] [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible], kto [illegible] [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]. [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible], [illegible] [illegible], [illegible] [illegible], [illegible] [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

cinnie szczerze i rozdzierająco bezradnie oskarżyć się potrafi przed kolegą przyjacielem:

- Nie umię ja żyć, nie umię!

Istotnie, żyć nie umiał. Miał natomiast, bodaj że już w powijakach, tak rysować, że oczom wierzyć trudno.-

Przedziwny bo wogóle był dom tych kaszkowskich. Zapewne. Ojciec sam ~~był~~ malarz, pedagog wytrawny, człowiek zagospodarowany w sztuce, jak w domu. Matka wykształcona, muzykalna, entuzjastka, umiejąca i patrzeć i czuć i mówić, /n.b. niemka z rodu/. Ale ani wysoka kultura obojga, ani stopień zaciekłości ojca nie tłómaczą jeszcze bengalskich światłotrysków tej fantazyi ~~i tych talentów~~ i tych talentów, jakie im się po kołyskach zaległy. Było z tego - oczywista- wiele pociechy, ale i zmartwienia niemało. Zupełnie jak bajka: Był raz jeden malarz, miał trzech synów i trzy córki...

Karol, w męskim szeregu najstarszy, umysł leonardowej jakiejś rasy na słowiańskim wymuchu zabłąkany. Więcej ziarna niż zbioru. Inżynier, muzyk, rzeźbiarz, malarz, poeta, żołnierz w ludzkim, społecznik nadto i organizator, który z pod lawiny darów bożych do końca życia wydobyć się nie mógł. Umarł jako profesor politechniki we Lwowie.

Młodszy, Rafał, wysokiej miary skrzypek, artysta pełnej krwi, później wytrawny teoretyk muzyki, przez całe wybredne Niemcy podziwiany dyrygent, koncertmistrz i znawca. Na domiar o rysach takiej urody, że idealista Grottger wyznaje z zachwytem, że piękniejszego nadeń człowieka nie widział.

Wreszcie Marcel, mistrz ołówka, wirtuoz rysunku, o technice wręcz jedynej w Polsce, na którego "główkami" - gdy on sam w usta nie miał co włożyć,- nieraz gęby otwierały bawary i inne takie "Szwaby", jak mawiał.

Talent trzech córek pana Jana ograniczał się,- czego bynajmniej lekceważyć nie należy.- do czułego i ofiarnego kochania swoich genialnych braci. Naturalnie że wszystkie były muzykalne i, jakiekolwiek bóg je ustrzegł same od talentów, miały w mniejszym lub większym stopniu słoneczny humor

Kaszkowskich, ich dobroć i jedyną w swoim rodzaju życiową fantazyę.

Najwcześniejszy znany mi wizerunek Marcela własny, bo z r. 1855., wykonany gdy miał lat 16, zachował się na rzadkiej dziś wielce, a i wówczas w podobno ośmiu zaledwie egzemplarzach odbitej litografii. Jestto grupa ówczesnych przyjaciół, której ośrodek świetlany stanowiła dusza Mieczysława Pawlikowskiego, aczkolwiek na rysunku, choć sam niewątpliwy inicyator i fundator tej wspólnej pamiątki, ustąpił pierwszego miejsca poecie Romanowskiemu. Są tam: Mieczysław Romanowski, Pawlikowski, Ludwik Belski, Ignacy Kamiński, Kałmucki, Sztyrmer, Bruno Bielawski, August Bielawski, Karol Kaszkowski i Marcel. Pośród dziesiątka postaci Marcel jest najmłodszy. Zupełnie jeszcze pachołęca, łagodna twarz, z długiemi, zaczesanemi na uszy włosami.- Wierzyć się nie chce że to on narysował te żywe, tak rozmaite głowy, te oczy, patrzące, każde po swojemu, twarze z których kilka stanowi do dziś dokument doskonały rodzinnych podobieństw. Naturalnie że zaważył tu wpływ Kriehubera i gładkie akwarele starego Kejcmana, przedewszystkiem jednak zaważyło to że stary Kaszkowski umiał ustawić wzrok ucznia, jak Garcia stawiała głos,- że codzienna tresura młodych oczu, patrzących na "porządne" rysowanie w pracowni ojca, dopomogła do absolutnie pewnego widzenia i przytrzymania na gorąco natury i prawdy.

Dom Kaszkowskich żył sztuką w dosłownem znaczeniu tych wyrazów. Obraz nowy, książka, utwor muzyczny, odegrany porywająco, to były najważniejsze wypadki jakie się mogły zdarzyć. Dobra muzyka zwłaszcza była potrzebna tym ludziom jak innym posiłek. Postacie Schillerowskich tragedyi i liryka Heinego były źródłem, z którego czerpali nigdy nie słabnący zachwyt i moc codziennych cytatów. Kaszkowscy, zaprzyjaźnieni z Teofilostwem Januszewskimi, mieli, jedni z pierwszych dostęp do niewydanych jeszcze wówczas pism pośmiertnych Słowackiego. Marcel wyrzeźbił pierwszy i najlepszy dotąd (zaprzysiężonych) biust Juliusza, obaj z moim Ojcem byli jednymi z pierwszych we Lwowie jego wielbicieli. Rezatem, wskutek niemieckości szkół i podświadomego moto

nawet wpływu matki, Niemki, pomimo konfederatek, nazbyt po polsku w domu nie było... Karol tłómaczył Heinego, komponował do jego wierszy muzykę. Jedną pieśń: "Der Fichtenbaum steht einsam" śpiewała nieraz Mama z jego akompaniamentem. Podobała mi się, ale nie musiała być prosta, bo jej nie zapamiętałam... Rafał grywał na skrzypcach,- akompaniowały siostry: Frynia, Minia albo Jeasia, a przy każdej nadarzonej okazyi, gdy się tylko parę osób zeszło, wieczorem czy popołudniu, tańcowano na zabój. Raszkowscy, Gretiger,- z którym przyjaźń zawiązała się była na długo przed wyjazdem na studya tamtych -, ojciec mój, mieli sławę świetnych tancerzy, a już niedoścignionych wprost mazurzystów.

Materyalnie stale bywało kusso, co jednak nigdy nie krępowało gościnności i rzadki bywał w tym domu zasiad bez jakichś gości nadarzonych czy przygarniętych. Warsztat sztuki nie spoczywał nigdy. Zawsze się coś ciekawego zaczynało, działo, czy kończyło. Ktoś komuś pozował. Ktoś coś czytał głośno, czy deklamował. Muzyka rozmaita, do tańca i do romansu rozlegała się niemal zawsze w zimnawych często, niedopalonych pokojach. Dopiero z małżeństwem Fryni, która wyszła za Ignacego Jakubowicza, zamożnego ormianina, człowieka niezrównanego serca, który pokochawszy całą rodzinę żony, otworzył jej i to serce poczciwe i kieszeń, zrobiło się nieco swobodniej wszystkim. Potrzeba wrażeń i zachwytu była u tych ludzi tak wielka, że starzy już mieszali jeszcze fantazye szesnastoletnie... Przypomniano sobie naprzykład pewnego dnia że "stary Raszkowski" nie był w życiu we Włoszech. Pod wpływem tego faktu, pod działaniem nagłej, zbiorowej tęsknoty do słońca i piękna, zabrał Jakubowicz oboje starych Raszkowskich, żonę i dwie małe córeczki coprędzej i pojechali wszyscy do Neapolu.

Chłopcy kończyły szkoły we Lwowie. Karol świetnie, tanci dwaj celująco, zwłaszcza Marcel. Gdyby tego chłopca wziął był kto wtedy za łokieć, jakiś impresaryo opatrznościowy i wywiózłszy zagranicę, karmił, pilnował, odziewał, uczył - byłby się Marcel napewno gorzej bawił, ale byłby żył

dłużej, byłoby po nim zostało więcej i jeszcze świetniejszego niż te brylantowe opiłki talentu, który szlifował się zamorzutnie, dopadkami, a którego całego zapasu Marcel nawet rozpakować nie zdążył. Był, jak cudowne dziecko puszczone samopas w świat, rozbawione i beztroskie, które każda przeszkoda wprawiała w osłupienie.

Wartości pieniędzy nie pojmował zupełnie. Dużo, mało, niema,- to były pojęcia. Pamiętał cenę jego cyfry tam potrzebnych do wykupienia zastawionych rzeczy. A bywały pośród nich takie skarby jak paltot zimowy, jak - o zgrozo! - ukochane skrzypce Rafała. Pieniądze, to było powietrze do oddychania, takie jakieś złośliwe powietrze, którego raptem umiało zabraknąć, i gdy on się dusił wtedy - inni jakimś cudem oddychali swobodnie. Coś się robi podobno, żeby nie mieć niespodziewek, ale jak i co, tego nie nauczył nigdy. Do rozsprzedaży rysunków byłby potrzebny impresaryo. Opowiadał mi Rafko jak nieraz w monachijskiej piwiarni, do której chadzali, robił się ścisk koło ich stolika. Marcel rysował błyskawiczne szkice głów obecnych, a potem królewskim gestem rozdawał każdemu kto się nawinął. Gdy brakło papieru w tece, rysował na marmurze stolika, z którym potem zachwycony gospodarz nie wiedział co począć. Rozumiał pewien związek między obrazem, a kupującym, ale go ten proceder niecierpliwił i mierził.

Jak dalece oryginalne były jego poglądy na sprawy tego świata, dowiódł pewnego razu, gdy jeszcze w szkołach, nie mając własnego grosza przy duszy, wybrał z pięknej rodzicielskiej biblioteki garnek książek, - dla niepoznaki każdego dzieła po jednym tomie!- aby sprzedawszy je za bezcen na tandecie, kupić mamie na imieniny nowe rękawiczki... Fakt. Ostatnią parą butów byłby się podzielił z kolegą, gdyby wogóle buty jego przedstawiały częściej jakąś uchwytną wartość. Żyć - pożyczać - niemieć... Tak szło zawsze w kółko. Naturalnie, że póki się było w domu, niedaleko mamy i sióstr, każda sytuacya przedstawiała się lżej. Zagranicą dopiero stanął oko w oko lekceważonym mecom.

Monachium było wprawdzie tanie, ale obyczaj płacenia istniał. Co gorsza, istniały pokusy, we Lwowie bądź nieznane, bądź niedostępne. Monachijski karnawał w zimie, gromadne wycieczki z wiosną, medelki, "piękne mnichewianki" jak je określa przemiły trzpiot Cypryan Dylczyński w swych listach do Ojca, jakaś Emilie, i Pepi - ta Pepi, której żałosne wspomnienie spać nie daje Marcelowi w Lipsku - i w pustym żołądku potomka Zyndrama z Maszkowic budzi głód okrutny. Marcel bowiem zakochany był stale, zmieniał się tylko przedmiot jego afektu, i to w tempie dość szybkiem.

Raz, zagorzał dla jakiegoś vis-a-vis... Dla istoty, którą widywał szyjącą w oknie. Szyła, lub czytała... widział jedynie jej profil, ale zato przecudny. Na en face nie był już nawet ciekaw. Rysował - kochał!- Koledzy zadali sobie trudu by wytropić objekt z blizka, przyczem wyszło na jaw że "cudna" miała tylko jedno oko. Druga połowa twarzy bez oka była jakimś wypadkiem uszkodzona.

- Marcel! Ależ ona ma tylko jedno oko! - szydzili bez litości.

- Ale jakie! - odpowiadał niezłomny wielbiciel.

Cała młoda malarya, oraz znajomi serdeczni z innych zawodów trzymali się wiernie razem, tak jak ich widać na dwu małych daguerotypach, które posiadam i jakich replika znajduje się w Ossolineum. Izydor Jabłoński, Ostrowski, Penther, Antoni Rejchenberg, nieoszacowany, najpoczciwszy "świątek", pogotowie ratunkowe kolonii,- Grottger, Marcel, mój Ojciec, później przybyli Matejko, Wołłowicz, Filippi, Dylczyński, Rafał i kochany przez wszystkich Oleś Gryglewski.

Działo się bractwu rozmaicie, bo wydatki były różnolite, a posyłki pieniężne z kraju spaźniały się nieraz dotkliwie. Mecenasi jak Dzieduszycki, Pawlikowski, Pietruski, Lewicki,- każdy miał swojego ptaka niebieskiego, albo i kilku na wikcie, któremu od czasu do czasu przygarść siemienia sypnął. Utuczyć się tem było trudno, ale żyć się dało i błogie było poczucie że jakieś tam "pańskie oko" śledzi chudzinę aż z kraju i do ostatniej za-

głady nie dopuści. Maszkowscy dostawali zasiłki głównie od rodziny, co miało swoje dobre, ale i złe czasem strony. Lżej było sumieniu jeżeli się na lekkoducha obruszył mecenas, niż gdy się zgryźli rodzice.

Gdy Marcel i Ojciec z wielkiemi, haftowanemi włóczką przez siostry torbami w ręku, w płaskich czapkach z lakierowanym daszkiem, szkatułkami farb, w rozwianych surducikach i spodeńkach w duże kraty, przybyli do Monachium, gdy -jak to uwiecznił Marcel w karykaturze- stanęli z zadartemi głowami przed maryackim tumem "Mnichowa", dwiema charakterystycznemi dla sylwety miasta wieżycami, podobnemi do smukłych kufli piwa, gdy się rozlokowali w nowej kwaterze i Ojciec mój przybił na gołej ścianie pracowni swój, z dwu kawałków składany, czarny krzyż "podróżny", który go nigdy nie opuszczał, pierwszą pielgrzymką obydwu była oczywiście stara Pinakoteka...

Szwagier Maszkowskich z niewiadomych mi dziś powodów podążył też na studya aż do Monachium i słuchał tam wykładów chemii słynnego Liebiga. Znając wszelako temperaturę rodzinnych uczuć Maszkowskich, skłonna jestem przypuścić że zaważyła tu nietyle firma Liebiga, ile kochająca intryga Fryni, która tęskniącym w Mnichowie braciom, chciała tam stworzyć od niechcenia przytulną własną ambasadę. A było to oparcie nielada. Bo i dom ciepły, swojski, rodzony- ludzie dobrzy i wykształceni, towarzyscy i zamożni, słowem: przystań, do której zawijały nieraz lwowskie okręty w różnym, przeróżnym stanie.- I Jakubowicze właśnie zapoznali zczasem obydwu z bawiącą w bawarskiej stolicy Polonią. Rozpoczęła się nauka a rownocześnie, z wiosną zwłaszcza, wycieczki w prześliczne okolice miasta,-wycieczki do Nymphenburga i Grosshesslohe. Muzykowano, zwiedzano gromadnie piękne zbiory,- tańczyło się często i namiętnie...

Strasznie kochałam tę ojcową młodość. Znałam jak żywe z opowiadań, miejsca w których był wesoły i szczęśliwy, znałam z rysunków i daguerotypów wszystkich ludzi, którzy go otaczali wówczas, którzy mu byli blizcy i drodzy, którzy kochali go nawzajem. Czasy gdy mu się jawiła wielka pani Sztuka,

jak owa przecudna a kusząca "Królowa Śniegu" Andersena, za którą biedny chłopak w zadymkę i noc na ubożuchnych swoich saneczkach podąża. I jemu marzyło się jakieś wielkie dzieło życia, o jakiem później pisał z Lipska Marcel... "dzieło wielkie, ukończone, przemyślane - imponujące!" Niestety życie, mecenas bogaty lecz dyable kapryśny, i jednemu i drugiemu nie pozwoliło wyśnić marzenia.

W jednej z najgłębszych, najmniej dostępnych szuflad Ojca, spoczęło po latach wszystko: teki ojcowe, szkicowniki, świetne studya i karykatury ówczesne, a w nich ta ich wspólna szczęśliwa młodość- "monachijskie czasy", o których opowiadał doskonale, acz rzadko. Człowiek wielkiego dowcipu i pogodnego na pozór humoru, taił w sobie głęboką i dośmiertną melancholię, której ten ciemna dzieliła go od tamtych czasów bezpowrotnie. Marcel umarł młodzieńcem, spalił się jak świetny ogniotrysk, umarł na własne swoje - życie. Ojcu wypadło wybrać między dalszem, żmudnem dążeniem ku ideałom i Sztuce, a stworzeniem sobie rodziny i domu, które, w jego warunkach zwłaszcza ciasnych i mozolnych, tamtą swobodę wykluczało na zawsze. Wybrał dom, wybrał - nas. Zamiast zdobywczego pędu, utalentowany i w kunszt niepośledni zasobny, zaprzągł swe siły i umiejętność do pracy niekochanej, do szkolnej nauki rysunku, gdzie wśród ornamentów i gipsów, on, entuzyasta, przyjaciel i towarzysz największych, służebnik wolnego piękna, miłośnik ideału i poezyi, niepocieszony choć milczący zachodził w cień, starzał się i nieraz gdy jaka zręczna a wygadana miernota zdobywała sobie w jego oczach, pod jego ręką niemal, uznanie, rozgłos, bo nawet i sławę, cierpiał pewno głęboko, ale zawsze bez słów... Żył domem, wspomnieniami, dobrą lekturą, muzyką,- kochający i przemiły, przeważnie pogodny, a Marcel żył razem z nami...

Do tek ojcowych zachodziło się rzadko. Zwłaszcza do tej jednej, wyszarzanej, między twardszy papier jej czystych stronnic powkładane starannie jak wąskie opłatki, leżały pożółkłe brzegami karteluszki z Marcelowemi

szkicami. Nazywało się to "szkice", a było nieraz wykończone jak banknot.

Pamiętam sposób z jakim Tatko nabożnie i umiejętnie ujmował w palce te arkusiki cienkiego papieru, z ciemnem gotyckiem "m" w prawym rożku. A na nich szarzały arcydzieła humoru, sentymentu i tej wirtuozowskiej Marcelowej techniki, polegającej na zatrzęsieniu kresek ostrych jak igła, lekkich jak włos, świetnych, każda z osobna, zbiorowego sensu i wyrazu głowy. Wyraz... Otóż to właśnie. Jak się to działo że ten lekkomyślny chłopiec, naiwny dzieciak w życiu, rozrywkowy wiecznie, o ile nie głupi, tak mógł rozumieć duszę ludzką, tak ją podpatrzeć do korzenia? Jakim cudem, rysując z natury młodzieńcza głowę na Bojsa w Monachium, czy jej -już wówczas- wyraz harmonijny, zatajonego smutku, który miał jego duszę zawładnąć dopiero po latach? Rysunek ten przepadł bez śladu. Gdyby nie potwierdzenie dyr. Kopery, mógłbym przypuszczać że mi się tylko śniło.- Albo taka głowa Schillera! Profil bujnowłosy, młody, o wyrazie skupionej ekstazy, rysunek-wizya, opary w równej mierze na materyałach do Schillerowskiej ikonografii, jak na własnem, wewnętrznem odczuciu rysów ukochanego poety. Najbardziej może mistrzowski okaz kreskowej Marcelowej maniery, modelujący ostrym ołówkiem w niewiarygodnie subtelny sposób rysy "wywoływane".

Nie był Marcel zapoznany w Monachium. Liczeni osobliwie nie zastanawiał wówczas profesorów Matejko, nie bardzo się poznawali na grotesce, zwłaszcza że obaj nazwani, do zbyt pilnych bywalców akademii nie należeli. Marcel jeden zdumiewał i radował pedagogów takich jak Moritz Schiner i stary Kaulbach, budził niepokój i ciekawość kolegów jak np. Liezen Mayer, Węgier o niemieckim nazwisku, tęgi malarz z czasem i szlachetny rysownik ilustrator.

Gdybyż tylko nie te "piękne marcinianki", nie ta nieuleczalna nędza, nie ta nieodporność na pokusy tak w skutkach zwichrzone! I te zupełnie, ale to zupełnie opaczne pogłoski na 'ha' i 'winien'! Do tem os-

tatniem następowało nieodmienne słowo "pożycz"!, proste i krótkie, którego chybiony często efekt, raczej rozżalał niż obrażał. Gdy między najbliższymi kredyt wysychał, apelowało się przez Olesia Gryglewskiego do Fryni, a przez nią do Jakubowicza. Niewyczerpanie poczciwy szwagier bywał jednak czasem zacięty, pewno dla pedagogii raczej niż skąpstwa, czasem i Fryni już bywało za dużo i wtedy rozlegał się lament w listach do domu i nieobecnych kolegów. W tych terminach jednakże, podobnych żywcem do niektórych scen "Cyganeryi" /bo i Marcel i pracownia i pożegnanie z odzieżą idącą do lombardu i różne Mimi i Musetty, nazywające się tu Pepi i Emilie/ kruszyło się i marnowało, niezbyt zresztą stalowe od urodzenia, zdrowie i życie Marcela...

Powoli kolonia malarska urosła do sporej gromadki "rodaków". Epokę tę opisał sumiennie acz niezbyt wprawnie Izydor Jabłoński we wspomnieniach swoich, ogłoszonych w "Lamusie". Rożne były stopnie talentów, różnolite charaktery pośród tej grupy, bardzo nierowne drogi, jakiemi się rozproszyła po świecie później, ale ciepłe przyjaźni, jaka złączyła tych ludzi już wtedy wtedy, nie ostygło z latami i w rękach moich znalazły się całe stosy jej śladów, do pożółkłych papierów i starych fotografii przywarłych, w których dusza tamtych czasów, dziecinna trochę, ale lotna, wesoła jak ptak, choć przygłodna czasami, dusza tatkowych "monachijskich czasów" i tamtych wszystkich lekko i piękno-duchów żyje i albo się śmieje wgłos, albo się skarży rozdzierająco...

Tatko mieszkał zrazu z Marcelem. Lokal był jakiś sympatyczny, że zaś obaj lubieni przez wszystkich, mieli w sobie magnes humoru i towarzyskości, który pociągał, u nich gromadziła się wieczorami "Malarya". Każdy przynosił, jakie tam miał zapasięta jadalne i szło to uczciwie do podziału. Tatko miał gitarę, Rafał Maszkowski, przybyły w czas jakiś z kraju, swoje wytworne skrzypce, więc była i muzyka na tych sympozyonach. Daniel Penther deklamował niemieckich klasyków, którymi się chłopcy entuzyazmowały srodze. "Des Sängers Fluch" Uhlanda, "Schilflieder" Lenaua... Schiller zwłaszcza był u-

Lamus

kochaniem wszystkich lwowian. Zjawiał się i Matejko, któremu, gdy jechał zagranicę, dał był M. Tarnowski list do mego Ojca, kierujący dań pana "Maciejkę"- przystojny serdecznie, ale cichy i jakiś "osobny", przepadnięty całymi dniami po bibliotekach i zakrystyach, muzeach i zaułkach, zbierający motywy i materyały do wydanych później "Strojów Polskich". Do zabrania [illegible] nie był wydany, czasem tylko, gdy się kto najmniej spodziewał, zaciął dowcipem jak szabelką. Wystąpował z reguły jako teoretyk [illegible], drwił z estetyzmu niemieckiej literatury, po niemiecku, jakby z wstydu, gdzie było jak, ściągał szkolne wspomnienia, którymi przeszyli [illegible] w niemieckich gimnazyach "Laskowianki"... Przeciwieństwo pełnego [illegible] stanowił Fendler. Ten, niech przepadnie, jakiś Niemiec z rodu, choć mówił [illegible] dobrze po polsku, [illegible] kultury niemieckiej świata nie widział i widzieć nie chciał. [illegible] tle bywały lekkie przygryzki.

Raz, na jednem z takich zebrań u Tatka i Karola, tj. gdy był Tatko swój zabrany tom wypisów Szujskiego, w którym wydrukowany był cały "Jan Bielecki". Tatko, jak i Laskowscy znał już Słowackiego i uwielbiał go fanatycznie, że nad dziecinnie czytał [illegible], zapoznawał się tem wtedy, teraz cie obecnych nieznany, przeczyta. Matejko, który ze Słowackim wogóle nie był się jeszcze zeszedł,- słuchał pogardliwie. Zebrani zwłaszcza po Tatko tolerancji [illegible] tego [illegible] nie widział. Gdzie zazwyczaj jak perkoz [illegible] zaperzał się, wielki, ciemny oczy błyskały.

-"Ktoś jest poczyn! Co wolno tego Achillesa! Te kolory, ten [illegible] rodziny. Kwiaty mi przyszyć do demo tej kapitki"!

Na krotko przed śmiercią opowiadała mi Tatko raz jeszcze szczegółowo tego [illegible]. Ostatnią książką, jaką czytał w życiu były listy Słowackiego do Tatki. Bieleckiego wiele ustępów umiał na pamięć i wówczas też znajdował mi jeszcze końcowe wiersze tego poematu. -"Zdaje mi Bielecki Matejki przypomni"- mówił- "To jest zapewne jakby ciąg jego własnej sztuki! Ta sama technika i patos.".

Oprocz Jakubowiczów, gdzie się polska młodzież zbierała i tańczono w karnawale na umor choć bez dam, jak relacyonuje Jabłoński,- przy zimnej zakąsce i piwku, ale zato przy skrzypcach Rafała i takim taperze jak - Matejko, który nie tańczył wcale, grał zato świetnie do tańca,- bywała swojska gromadka u pułkownikostwa Ichórznickich. Pani domu, hr Buttler z domu i jej bardzo dobrze uczona córka, czyniły atmosferę trochę mniej domową niż u Jakubowiczów. Trzeba było dbać bardziej o strój, mozolny -wiadomo- czasami, gdy się jest na studyach i ma wiele przeszkód do elegancyi. Pan pułkownik natomiast bywając już bez swoich pań, na różnych wycieczkach i wieczorynkach malarskich, był zgoła nie uroczysty... Jawiła się tu u jego boku niejaka Alma von Westphalen, jedna z tych komecich istot, których nie lubią żony, a za któremi przepadają starsi panowie... Rzeczona Alma stała się osełką na której języki młodzianków ostrzyły się do woli. Stary pułkownik, srodze o jej względy zazdrosny, ona poza jego szerokiemi plecami kopcąca oczkiem do Marcela... ten miał swoją Pepi, ale dlaczegóż nie odpowiedzieś zaczepce?... Oczywiście, nikt dziś nie dojdzie jak to tam ono było naprawdę, dość, że dbały o spokój w domu pułkownik, choć jątrzyły go wielce niepokojące symptomy spostrzegane bądź u Almy, bądź u Marcela - i podkreślane z umyślną a szatańską nonszalancyą przez resztę wtajemniczonych trzpiotów,- bolał z godnością i opanowując się dla pozorów, dostarczał swem zachowaniem rozkosznych emocyi śmiejącemu się w kułak audytoryum. W pewnej burej, wąskiej teczce z Monachium znajduje się szereg ilustracyi do tej na spisku opartej komedyi, z których można powziąć wyobrażenie o jej aktorach... Jest tam i Alma, jakaś"westfalska"Idalia z "Niepoprawnych", obstarnia zalotnica z jastrzębim, szwabskim profilem, twardemi, jasnemi oczyma w sentymentalnej berżerce i pelerynce w kraty,- jest Tatko w swoim berecie przy sztaludze, w furyi tworzenia, Marcel śpiący, któremu przez sen jawi się Alma uduchowiona, jakieś niemiecki dopiski i wiersze niedocieczonego dziś sensu... jest ołówkowy profil pułkownika...

Niema wątpliwości że niewszystkiemu co się działo w Kniehowie mogli byli przyklasnąć "Mecenasi" w Galicyi. Toteż gdy Marcel po jakiejś seryi past przyrubszych uznał za właściwe przenieść się z talentem i pudełkiem farb do Lipska, gdzie mieszkał Rafał, podczas gdy mój ojciec został jeszcze w Kniehinie, nadszedł -też ciety, bo i pocóż?- list od Marcela takiej treści:

'Kochany Karolu:

Posłuchaj pierwej, a potem sądź; bo musisz już pewno myśleć o nas niewiadomo co, że tak długo nie piszemy, pomimo żeś nas prosił w ostatnim liście o prędką odpowiedź.- Otóż słuchaj:

Najpierw dlatego tak długo nie pisaliśmy, bo nie mieliśmy czym zamarkować listu; nie dlatego abyśmy nie chcieli wydać tych 9, bo obiad za nie dostać można, tylko dlatego, bośmy wcale nie mieli tych 9. I jeszcze się gniewasz na mnie że nie odpowiedziałem? - Oj Karolu! My tu kiepskie czasy przeżyli, baaaa

nb: jeśli list
jest w polskie
to nie go
skończę!

kiepskiem wegetowaniu, musiał siedzieć z załamanemi rękami i słuchać jak mu w żołądku gra - to mnie spowodowało na wszystkie strony miny popodkładać,- ale żadna nie poszła w górę. Najpierw zrobiłem parę akwarelle i dałem za einen Spottpreis na Kunstverein tutaj,- potem zrobiłem naszej gospodyni córkom portrety, aby kto widział i mnie głupi dał się zrobić... chciałem koniecznie tych 30 f skądś dostać, aby skrzypce Rafałowi sprekurować. Tymczasem mi się nie udało, z Kunstvereinu do tej pory niema wiadomości, a za portrety, które już wiszą w ramach łakrych, nie wiedzą jak dziękować /chociaż wyprosiłem sobie jede Erkenntlichkeit/, ale nikt się nie pytał o cenę.

Więc jak ta biesa na nas nastała,nie mogłem się w żaden sposób do gospodyni ruszać - woleliby śmy byli pocherować się z głodu jak do niej się udawać.- Ale der Mensch denkt, Gott lenkt... Ja czwartego dnia leżę już osłabiony na sofie, a Rafał mi z łóżka powiada że jemu się słabo robi - ja kląłem na los za.... i poszedłem do gospodyni - ona nas wyratowała z głodu. Ale, jak wczoraj przekonaliśmy się, to tylko początek był, ein komisches Vorspiel zum Drama: Dostajemy wczoraj list z domu z pieniędzmi, pierwszy list z domu w Lipsku. Nie mogłem się doczekać i na ulicy czytałem,- ale włosy mi na głowie stają... co to gadać, co to powtarzać! tylko tyle wiedz że Tato do nas obydwuch razem, bez przemowy "moi kochani" etc. w krótkich słowach powiada że ostatni raz do nas pisze!- Niech Pan Bóg Pryni to zapomni!

Moje szczęście że nie posłałem robety te które tutaj zrobiłem, bo to są zwyczajne lekkie akwarelle, lepsze jak do tej pory robiłem, bo więcej rysowałem jak malowałem, ale, aby posłać do Lwowa na pokaz - to nie można. To, bez przesady, musi być dzieło wielkie, ukończone, przemyślane,- imponujące! To jedynie może mnie wyratować! Jeżeli Bóg mnie dopomoże do takiego dzieła, jeżeli On nie jest zagniewany na mnie i ja będę mógł takie dzieło posłać - to jestem wyratowany i mogę z czystym sumieniem i czołem na łono

moich kochanych, biednych rodziców wrócić - jeżeli zaś to przeklęstwo, które na mnie cięży - i ja nie znajdę w sobie tych sił, aby wykonać to dzieło, wtedy sobie w łeb wypalę, albo o mnie nikt nie będzie wiedzieć.-

Ale do tego czasu potrzeba, a moi Mecenasy już są na granicy cierpliwości. Niedawno ktoś komuś mówił że tylko ten rok mnie wspierać będzie, a Lewicki zaczyna zwątpiać o moim talencie.- I tak wszystko przeciwko mnie teraz się skupia, właśnie gdy powinienem mieć głowę najspokojniejszą! Ale to jest chwila decydująca,- tu się pokaże czy ja wart żyć na świecie i czy ja mam charakter siłę wolę?!

. . . . . .

Karolu! Ja Ciebie nie przeprosił za wszystko co musisz dla mnie wycierpieć, ale cóż to Tobie pomoże, jeżeli przytem pieniędzy nie będzie abyś mógł pozaspakajać dłużników - a ja niemam teraz pieniędzy, ale niezadługo sam im pozapłacam.- Powiedz mnie mój kochany Karolu czy nie mam napisać do Kakia i do drugich? Możeby to ich zaspokoiło? Powiedz mi co ja mam robić, a ja zupełnie Ciebie się będę trzymał.-

Co tam z Pepi? Nie śmiem nawet myśleć o tem wszystkiem - to mi po nocach nie daje spać, nawet w nocy czułem żem głodny. Nie umię ja żyć, nie umię... Z tylema ludźmi stykałem się w życiu razem, a żaden o mnie z szacunkiem nie wspomina - a o kochaniu ani mowy. Olesia przepreś że do tej pory nie dotrzymałem słowa i nie pisałem, ale moje usposobienie nie po temu, pocałuj wszystkich jaknajserdeczniej od nas a jeżeli pieniądze przyjdą, to na miłość boską zaraz mi przyszlij, abyśmy mogli rzeczy wykupić, bo chodzimy jak draby. Napisz mi także czy przyjedziesz i kto więcej i kiedy, wiele masz zrobionego w robotach. A odpisz prędko bracie i dosyć a scholmend pisz, bo dość kiepskich listów otrzymałem. Mój nowy adres: Dresdnerstrasse nro 63 III bei Frau Knauer.

To Państwa Wilkoszewskich będę teraz niezadługo pisał, bo trudno było mi do tej pory to zrobić."

A teraz drugi list z Lipska, bez daty, jak zwykle:

"Wtorek zaraz po obiedzie.

Kochany Karolu!

Wystaw sobie, ja do Ciebie znowu muszę pisać i to o pieniądze. My mamy teraz w kieszeni 2 talary!! A w policii nie byliśmy jeszcze, co nie wiemy ile kosztować może. Kawę kiepską w domu pijemy, stancię na miesiąc naprzód musieliśmy dać - ale obiad i podwieczorek musiemy zawsze płacić. Nam włosy na głowie stają gdy sobie pomyślimy co to będzie jak pieniędzy nie będzie - o jutrze ani myśleć. Musiałem wydać na niektóre rzeczy do rysowania, które tutaj są drogie, jeżeli tak w Dreźnie - to panam do nóg. Jemy obiady za 15 gr. /5 Silbergrosz/ taki o jakim w Monachium nie śniłem - kawa droższa ale dobra, mieszkamy w dwuch ciupach na 4 p. i oglądamy się za inną stancią, bo jak Rafał grać będzie miał na czem, to tutaj nie można zostać... Żeby on tylko miał na czem, to biedak! Bardzo cierpi bez skrzypców, a to trzeba 30 f. na wykupienie - ale co tam o skrzypcach myśleć, kiedy się niema co jeść. Wiesz, ta myśl mnie sprawia zawrót głowy, że my może za dwa dni nie mamy ani dutka w obcem mieście. Dlatego też Olesiu drogi, lasa alle Kinen sprengen i przyślij nam, staraj się, bo tu has nikt nie peratuje; od naszej gospodyni nie możemy żądać gdybyśmy mieli z głodu umierać, bo wynówiliśmy stancię, czego widać gniewała się,- sprzedać -słowo honoru - nie ma co. Uważże sam Kochenku czy nie byłoby nasze położenie okropne?-

Tak nam tu Lesa brakuje, takiego Lustrosia mit seinem praktischen Sinn, ale co! każden, moja największa antypatja byłaby mi tutaj wilkommen, tylko aby można do kogoś powiedzieć: "jak się masz, co tam robią".- Dlatego, kto ma przyjechać, niech przyjeżdża rędko, bo pieniędzy nie wyda więcej jak w Monachium, a jest miasto miłe i ciekawe. Muzeum co 4 dni otwarzone, a Delaroche, Delame i Vernet zasługują aby parę tygodnie tu zabawić.

Karolu drogi, co tam moje interessa, czy nie oblęgają Cię jeszcze? Jak to miło być w mieście, gdzie się jest w tym względzie spokojnym. Niema to jak być porządnym! Od teraz daleko mniej długów robię jak do tej pory.- Bądźże zdrów mój Ty, i oznajm zaraz Olesia i wszystkich innych o naszym stanie, może któren będzie miał choć cokolwiek, a posełaj tak jak Cię prosiłem: poste restante pieniądze, a list z oznajmieniem nas pod adresem Wintergartenstrasse No 5 4te Etage.

Napisz nam kiedy przyjedziesz, a my możemy Ci tanią stancią nająć, na tydzień dwa.- Bywaj zdrów Lubciu

Marcell"

I jeszcze jeden list z Lipska:

"Czwartek 18

Mało brakowało a byłbyś już przedwczoraj od nas list dostał, ale nie chciałem Cię nudzić tak często, i wolałem sprzedać burnus za bezcen i pod najprzykrzejszemi dla nas formalnościami, i odczekać jakiś czas na pieniądze Olesia. Dziś te pieniądze ku schyłkowi, trudno mi zatem dłużej milczeć, a nie mamy nic, coby my mogli sprzedać, albo zastawić. Jeżeli zaś Oleś nie wystara się do 15, to jest w najkrótszym czasie pieniędzy, to słowo honoru daję, nie wiem co to będzie. 20 mamy się ztąd wyprowadzić, a tu ani śniadania i inne małe rzeczy nie są zapłacone. Na przeprowadzenie także potrzeba będzie coś - a na życie?!! Karolu dalibóg znajdujemy się w najdjabelniejszym sosie i spuszczam się na Ciebie że z pewnością Olesiowi ten list przeczytasz, a koniecznie spodziewamy się pieniędzy, innego nie możemy się spodziewać, dlatego też na pewne rachujemy, że zaraz po odebraniu tego listu odeszlecie pieniądze, bo próżny list, to byłby głód.

List twój odebrałem i cieszyłem się nim, choć był za krótki trochę. Co Wy tam porabiacie, czy nie myśli nikt z Was tutaj przyjechać, bo my bardzo na tem cierpiemy że jesteśmy sami. Może Ostrosio, albo Rajchenberg?

A Ty kochany kiedy do nas zagościsz? Czy zacząłeś olejno malować swój obraz?- Wystaw sobie do czego ja się odważył - z biedy - zrobiłem akwarelle i oddałem na wystawę na sprzedaż, ale będę mógł czekać długo nim dostanę pieniądze, choć cena bardzo mała w porównaniu do tamtych: 20 talarów. Teraz robię drugi i trzeci obrazek - tylko do Judyty potrzeba mi koniecznie modelki - bo Rafał za chudy. On biedak cierpi bardzo że niema skrzypców, albo fortepianu bodaj, nima nic robić, nudzi się okropnie,- wczoraj, jak się dorwał fortepianu sąsiada, to grał do ciemnej nocy, a ja śpiewał... ale co ja tu gadam, a tu niema co jeść i butów niema. Wystaw sobie, ja chodzę w butach podartych, czy nie możnaby jakim sposobem dostać się do moich grubych, które zostawiłem?

A jeszcze jedno: jeżeli Olesio da pieniądze, to u fotografa są moje fotografie, które zostawiłem u niego, weź je, a jeżeli nie zechce dać, to poszlę Ci kartkę dla niego.

Bywaj zdrów, kochany i nie gniewaj się na twego Marcella.

Jak Matejko!

Pozdrawiam Was wszystkich serdecznie

Olesiu! Olesiu! oj Olesiu!

Takie się to dostawało listy za "monachijskich czasów". Marcelowe chowane były zawsze osobno w małej, płaskiej, mahoniowej skrzyneczce i głód jego, jego dziecinny krzyk o ratunek, rozdzierał Ojcu serce nawet po latach. Naturalna rzecz, że takie życie nie konserwowało, że nieubłagany los upomniał się w końcu o ostatni przyodziewek Marcela, ten w którym się tłukła jego znękana, niedokarmiona, niedościgana dusza artysty-ptaka, głodna radości i kochania, cudownie prosta i szczera, kajająca się w gorzkiej pokucie za swoje naiwne winy.

Cztery lata żył jeszcze Marcel od tamtaj, monachijskiej doby. Ratowano go pewno w suchotach, jak to wtedy był zwyczaj, żętycą,- ba nawet do Wenecyi wysłali rodzice biedaka, aby miał i "południe" lecznicze i piękno.

Ale już go ten pobyt nie cieszył. Sił nie miał na zwiedzanie. W lutym roku życie [illegible]. Gdy w 1866 w marcu umarł we Lwowie, Ojciec mój bawił na studyach w Paryżu i tylko w liście od Jakubowiczowej i jego odpowiedzi pani Fryni utrwalił się głęboki ślad tego ciosu. W liście pod datą 12/3 pisanym tego roku przez siostrę Tatka młodszą, Amelię do przyjaciółek Cyryli i Julii Płaszczakowych w Wiłkiejowie mam też świadectwo wystawione tej chwili. Silnie odczuwając ucisk moralny, gnietący kraj w przededniu powstania, wrażliwa i bardzo lotna umysłowo panna Rodnicka, tak się odzywa do bliskich sobie dziewcząt:

".... pisząc do Was chciałam żeby list był o treści bogaty - i w tonie humorze i spokojnie napisany. W przeciwnem usposobieniu nie chciałam pisać - bo wiem że i Wy macie swego żalu - na co ja mam dodawać; bo w smutku wyśli się to smutny kaszlen - tak jak w szczęściu nie wierzy się w nieszczęście - otóż i ja byłam przekonana że i Wy macie pewnie [illegible] tego i nie chciałam pisać o mojem. Na objaśnienie tego co powiedziałam, dodć gdy [illegible] czem Lwów mnie przywitał: pogrzebem Marcela Maszkowskiego- więcej Wam pisać nie potrzebuję."

Na grób Marcela z prostym, drewnianym krzyżykiem i blaszaną paletką z nazwiskiem i datami, stanęła rekrucznie ciemek cielony i paliło światło zamuzne. A gdy z latami krzyż zwróchniał, Tatko postarał się o nowy, blaszana paletka została odnowiona i świeżo opatrzona napisem. Pojechaliśmy z tym krzyżykiem na Łyczakowski cmentarz aby w Tatka obecności zostać ustawiony. Paletę sam przybił na nowo. Podczas wojny dopiero straciliśmy z oczu mogiłę, już jej teraz odszukać nie mogę. Przekopana niechybnie.

Ale po domu jeszcze pełno Marcela. Jego portret w żółtej konfederatce, cudny profil Achillera, ołówkowy portrecik profilu Ojca, karteluszki wątłe z karykaturami, rysunki Gretzgera, podobizna mistrzowska Jakubowicza, [illegible] wiele litografii Kriehubera, ojcowe żartobliwe rysunki, daguerety-

py, listy... I jeden jeszcze przedmiot od niego pochodzący: żelazne wieszadełko na zapałki z niezgrabnym motywem nietoperza, które gdzieś zawsze w pobliżu Tatka wisiało i miało nazwę "poczwary". Mogło to służyć równie dobrze na schowek dla zapałek, jak za jakąś czarnoksięską kropielnicę. "Poczwara" ocalała i wisi ze czcią należną na jednej z moich ścian. Przepadł natomiast kałamarz o wieczku z czterema rybkami, kałamarz po Marcelu, który mi służył całą młodość i był powiernikiem pierwszych moich wierszy, chowanych po schowkach przemyślnych, z których wszelako zawsze wydobyć je umiał Adaś i opatrzywszy wykrzyknikami czerwonemi, pękatemi jak balony, podrzucał na widniejszych miejscach mieszkania...

Z kałamarzem tym kochanym rozeszłam się po zamęściu i już go na Zaświeciu nie pamiętam.

. . . . . .

Niecierpliwi mnie samą chaotyczność tego mego gadania. Jak koronczarka, mam przed sobą rój klocków, każdy owinięty inną nicią. W miarę jak się wzór snuje, biorę to ten klocek, to drugi, z każdego ciągnie się nić odrębna wszystkie zosobna są potrzebne i co chwila znów się po ten sam sięga...

Po Marcelu najbliższym przyjacielem Ojca był Grottger. W życiu, równolegle do wysoczyzny i głębi swego ducha, był Arthur tej samej rasy co Marcel. O ile umysłowo górował nad nim o całe niebo i skalą talentu przewyższał go bez porównania, w stosunku do samego siebie, do sił i zapasów na życie od Boga wziętych, był takim samym rozrzutnikiem i "potał" sobą nieopatrznie jak tamten. W przeciwieństwie do nich obu, Ojciec mój, choć pełen humoru, świetny kompan do zabaw, młody i urodziwy, miał w sobie dziwnie wcześnie tę równowagę charakteru, ten spokój sądu i rozum, które tak cenili jego koledzy, o które nieraz w późniejszych latach Ojca, opierali się niejedni z środowiska w którem żył. Podobnie jak Marcel poddający się ślepo jego zdaniu w opresyi, tak i Grottger szukał nieraz towarzystwa

Ojca, aby się czy wyskarżyć, czy poradzić, czy choćby tylko wydyszeć w jego pobliżu po jakich szalonych tygodniach... Umysł Ojca jasny i precyzyjnie wyrozumiały, rozwiązał często poważnych, rozsądzał rożne przewlekłe zwady. I, o dziwo! szaleństwa serdeczne rozumiały się na tych cnotach - i po latach, kilka takich słów uznania, z jakiem Gretliger wymienił przed panną Basią Nowé nazwisko Karola Szaińskiego, jako jednego z najlepszych ludzi, jakich znał, człowieka jeszcze jej wówczas nieznajomego zupełnie, sprawiło że gdy jej go już po śmierci Gretligera przedstawił w swej pracowni Jerzy Filipski, odczuła uścisk jego dłoni jakby jakieś przekazanie z naświata.

Kult Ojca dla pamięci Gretligera był też czemś głęboko wzruszającem. Pamiętam,gdy karteny z albumu Jerzy chciał na wystawę którąkolwiek - Ojciec sam wkleił je pod szkło i nigdy żaden introligator nie tknął raz z niemi. Jem na gumowych poręczkach klisjki przytwierdzał je do paspartuów, sam taklejał tektury na plecach obrazu. Gdy ciężkie położenie materyalne i niedomagania Ojca skłoniło Basię do rozstania się z całym szeregiem tych rysunków w r. [illegible] - uważał to Ojciec jako moralną katastrofę, której nie przeboleje nigdy. Zwłaszcza gdy w r 1930 Karol Lanckoroński z Wiednia przysłał wybrać kilkoro z Gretligerowskich rysunków. Pamiętam wrażenie tej chwili w domu. Nad ranem w pokoju wisiała całymi karty "Wojny"- ów widmowy kolorowy stacmajacy jakąś konno jej nieziemską postać o zasuniętej na profil przyłbicy... Na pierwszym planie postacie artysty i muzy. Na tym jednym rysunku przestawił Gretliger własne swoje rysy artystyczne... Pamiętam ten obraz od chwili gdym zaczęła patrzeć i spostrzegać, w jego szybie odbijały się wszystkie świecidełka naszych choinek. Nie był nigdy przezroczysty na wyrost aż. Nie wogóle z tego co wisiało na naszych ścianach.

Portrecik Lanckorońskiego. Oczywiście nie było Basi obecnej, tylko sam Ojciec go wybierał. Wyjęte już naprzód karteny z albumu zostały mu poka-

~~zane, jako te jedyni~~

zane, jako te jedynie, które były do nabycia. Pamiętam wysoki, zabawnie krzykliwy głos mecenasa i w niezbyt pewnej polszczyźnie wygłaszane zachwyty. Byłyśmy obie z Mamą w przyległym do salonu pokoju i serca ściskała nam żałość okrutna. Czas jakiś trwało oglądanie, poczem wynikła rozmowa w której nie odrazu wyznałyśmy się. Wreszcie nie było wątpliwości. Pamiętam oczy Mamy gdy na mnie popatrzyła, rozszerzone strachem. Lanckoroński, obejrzawszy wszystko co było do nabycia, oświadczył Ojcu że nabyć gotów tylko ów pierwszy karton do "Boży", ten ze ściany, który do kupienia nie był. Tatko tłómaczył, przedstawiał. Bez żony oczywiście decydować nie mógł. Kupiec kaprysem magnata i zbieracza, uparł się. Wyszedł Tatko z salonu. Miał na twarzy wypieki i oczy strwożone, bezradne.. Niedomagał już wtedy często na serce. Prawie bez słów wydała Mama wyrok na obraz kochany.

Gdy znikł ze ściany, było w domu jak po pogrzebie....

. . . . . .

/Nb: Tu w rękopisie skreślone długie opowiadanie o Grottgerze, jako że zostało już zużytkowane po ściślejszem opracowaniu w "Scenariuszach" i przypisach do dzieła "Arthur i Wanda"/

WYKAZ (ku ułatwieniu!) grubszych zmian, poprawek, "przerzutów" i motywacja niektórych proponowanych retuszów.

(dotyczy "Quod libetu" Mamy)

Strona:

20 Jest mnóstwo małych ale ważnych stylistycznych poprawek. Na dobrą sprawę warto by całą stronę przepisać.

26 (sam dół strony) Zdanie to ma brzmieć : "Zaprosiła nas tam pani Ewelina z Siemianowskich.".itd

NB : o zmianę tę prosiła c.Lena Czatr. Jakieś rodzinne finazje, których nie rozumiem. Owa P.Ewelina (jej prababka) nie była pono ani właścicielką ani dożywotniczką Żurawna.

43 (sama góra) Tych 11 wierszy przepisanych wedle stylistycznych poprawek, może by było najprościej doklеić ?

45 Począwszy od 10 wiersza od góry 12 wierszy ~~xxxxxxx~~ tak jak powyższe -dokleić, przepisane wedle zmian.

NB : Zwrot " nędza doprowadzona do perfekcji" - tak można powiedzieć, " chlapnąć" -napisane razi i krzywi zupełnie stosunek Mamy do ludziej biedy.

45 (sam dół) W 8-u doklejonych wierszach są pewne stylst. zmiany. "Doklejka" najłatwiejsza.

47 (sam środek strony) Rozbity na krótsze, jaśniejsze zdania opis zabawy "w aptekę" Bardzo było brulionowe

48 NB. Szczegóły dotyczące Antoniny Szeptyckiej (które Mama wpuściła w tok opowiadania, straszliwie rozdymały i tak dość długie już zdanie. Przerzuciłam je więc (albo) w odnośnik (albo) gdyby miały Być na końcu książki aneksy- to tam.

48 14 wierszy od dołu przepisać czy dokleić wedle poprawek

50 i 51 (całe strony do przepisania)

52 (sama góra)

NB: Owa Fryderyka Moszyńska była napewno Ignacową, a nie jak Mamy mylnie podaje : Fryderykową. Była za to córką Fryderyka. To trzeba poprawić. Może zdążę dołączyć notatkę o tym zawiłym rodzinnym zakalcu Moszyńskich bo zabawny.

52 (7-y wiesz od dołu) poprawić "/wzdłuż" Na: W POPRZEK to językowe " przeoczenie.

54 (sam dół) ~~Czatry~~ Jury ostatnie wiersze na tej stronie trzeba by uzupełnić wedle doklejanek" (to ważne)

Strona -- 55(od góry)NB :
Tu się zaczyna stopiony przeze mnie z paru słowami " spięcia" -autentyczny tekst pamiętnika mojej Babci (Wandy Monné) szerszy i żywszy niż krótka i nie całkiemścisła wersja Mamy? Babcia wszystkie te szczegóły znała wprost do swego dziadka -owego Józefa- i dlatego takie żywe...Nie upieram się przy tym "podrzutku",ale myślę,że miałby tu sens(Mama n.p. wprowadza w tekst Quod libetu całe spłachcie autentycznych listów Maszkowskich,więc precedens by był...) Gdbyś jednak uznał,że to narusza autentyczność Q-t trzebaby z naszego maszynopisu wyrzucić str 55 i 6 wierszy od góry ze str 55 A - i zostawić wszystko tak jak jest w czystopisie. Gdybyś się jednak zgodził miapoby to te gorżkie następstwa,że trzebaby CAŁE obie strn 55 i 55 A przepisać , -xxxx

Wypisy z Maryli "Podlibetu"

str 15: /Staś Niewiadomski/ miał wtedy może lat szesnaście. Nosił długie włosy, były jasne i układały się pięknie... Ubrany chadzał ówczesną letnią modą prawie uawsze całkiem biało. Wydawał mi się przejmująco piękny, podobny do różnych "głównych" twarzy na obrazach i to podobieństwo złorzeczyło mnie w jego obecności w sposób przyjemnie przykry. Lubiłam kiedy grał przypatrywać się jego pochylonej głowie, której rysy niepokoiły mnie impociągały dziwnie. Raz - pamiętam, narwałam garść stokrótek. same główki bez ogonków, po dziecinnemu, i nasypałam tę skubankę na klawisze aby go uczcić. Nie domyślił się jednak dwacji i bez ceremonii strzepnął wszystko pod fortepian.

str 16: ~~xxxx

schodkach na ambonę, czyli podjum, na którem stojąc malował wyższe partje obrazu.

Cóż, lepiej widzisz?

Zobaczyła teraz za dużo. Ogromne, wytrzeszczone oczyma, brodate twarze, zawieruchę ludzi, koni, wszystko za blizkie, za wielkie...

Tak, teraz widzę - przyznałam, ale musiał dostrzedz że mi nieswojo, bo mnie znowu zniósł napowrót po schodkach, prowadząc brzegiem wzdłuż obrazu.

~~Cóż, lepiej widzisz?~~ Popatrz - mówił -wszyscy na górze, to Polacy, a ci na dole to Niemcy pobici! Musisz powiedzieć co ci się tu najlepiej podoba?

Ten biedny Niemiec, powiedziałam, pokazując na Lichtensteina. Błękitno-biała suknia i złota czupryna rycerza walącego się wstecz z konia na widza, zachwyciła mnie.

A bójże się Boga, Niemiec! - zgorszył się Matejko. a potem dodał żartem: Otóż to, znowu gust niewieści nie zgodzi się z polityką!

Całą tę rozmowę zanotowała Mama pokrótce w ówczesnym kalendarzu ale i mnie samej wrażenie i słowa, oprócz ostatniej refleksji o kobiecym guście utkwiły dziwnie wyraźnie w pamięci. W liście do Ujejskiego wraca Mama szerzej do tej scenki dobrze mi pamiętnej, ale i wtedy opuszcza ów żartobliwy okrzyk "A bójże się Boga, Niemiec!" - Wrócił mi on wspomnieniem po latach, na rozstajnej drodze życia, wobec dziwnie podobnej, zwichrzonej, złotej czupryny Niemczyka... Mój Lichtenstein nazywał się inaczej, ale przegrał tak samo...

Str 21: Wcześnie byłam obznajomiona z boskiemi sprawami, znałam wiele obrazów, pieśni, lubiłam oglądać procesje, ale wolałam że ani Pana Jezusa, ani nikogo z nieba nie można zobaczyć. Połową dzszy potrzebowałam zawze rozumieć i wiedzieć. Drugą połową wielbiłam tajemniczość i bajkę...

Str 34: Mnie samej nigdy nie było w tych bajaniach! Zostawałam zawsze na brzegu jako widz i słuchacz. Coraz bardziej zagospodarowywałam się w tej dziedzinie fantazji, gdy woli stawała mi się jakgdyby drugim światem i sprawiała żem miała życie rozdzielone na dwie połowy, jedną rzeczywistą, szarą, ciurą, urojoną, pełną barw i wspaniałości...

Nie rozumiem zupełnie czemu nie zwariowałam, lub nie zdziwaczałam doszczętnie, bo dziś nie ulega dla mnie wątpliwości, że połowę dzieciństwa i młodości spędziła w hypnotycznym transie, na marnotrawstwie nerwów szalonem i bezpożytecznem. Przychodziło mi zbyt łatwo, więc nie chciało mi sie tego spisywać, siedziało w pamięci płytko jak sny i przepadało bez śladu. Ja sama tylko miałam życie z niczem nie porównane, życie i wyżycie się w dziejach zmyślonych, ciekawych, malowniczych, w których roiło się od twarzy, postaci imionach i losach narzuconych mej wyobraźni jakby obcą siłą. Losy tych istot i mowa zdawały się nie bardzo należeć nawet od stopnia mojego rozwoju, gdyż dobrze pamiętam że się zdarzały wypadki w tym świecie, które były dla mnie niezrozumiałe, Zupełnie tak jakby się dziecko dorwało jakiejś książki o treści zawczesnej.

R ychło zarzuciłam zwyczaj gadania na głos tego co haczyk przywabił. Potem kryłam się z tem cudactwem coraz skrzótniej, podczas gdy samo narzędzie czaru ustalało swój kształt ostateczny. Był to drążek z leszczyny, prosty, długi na 22 cm, nieostrugany ze ślizkiej kory, do którego przymocowywałam mocną nicią zżynek sztywnego, białego papieru szeroki na półtrzecia centymetra. ~~Grubość drążka nie była też obojętna. Był tęższy niż salonowe świece do kandelabra~~ ścięty jak haczyk węziej ku końcowi i jak haczyk w połowie zagięty. Grubość drążka nie była też obojętna. Był nieco tęższy niż salonowe świece do kandelabra. Adaś tak wiele moich kręcideł w życiu wytępił że po wielu latach potrafił sporządzić dla żartu idealne, doskonałe, które jedno zachowało się w perepelnickim kantorku. Moje własne, ostatnie, oddałam już jako narzeczonemu Wacikowi, gdy powiadomiony o tem dziwie i słusznie o moje zmysły przerażony, wziął odemnie słowo, że nigdy w życiu nie tknę już więcej zaczarowanej pałeczki. Dotrzymałam i już trzydziesty piąty rok minął, odkąd złożyłam berło mojej młodości. Żal mi było za niem długo i przeszłam coś podobnego do choroby palaczy, co się wyrzekli narkotyku.

Na pociechę zaczęłam więcej wtedy pisać, bo poprzednio, zawsze z chwilą, gdym z ręki puściła mój drążek, ustawał doraźnie ów tajemniczy prąd, zostawał tylko zawrót głowy i silne drętwienie całego prawego ramienia. Myśli stawały się normalne i dorzexzne odrazu, zawisłe jedynie od przyczyn rzeczywistych i rozebrane z tysiąca kostjumów, które przed chwilą miałam na zawołanie. Ale i teraz, po tylu latach, wiem z całą pewnością, że ~~zkx~~ dośćby mi było ścisnąć na nowo "kręcidło", aby stare czarodziejstwo napłynęło mi do głowy z powrotem.

str 106, Jemu też / chłopcu czternastoletniemu, gdy M. miała lat siedem/ - doprawdy niewiem jak potrafiłam się po niemiecku wyjęzyczyć - uwierzyłam tajemnicę kręcidła. Pamiętam jego troskę i rozmowę z Mamą na ten temat. Wiem że doszli do przekonania że póki miewam gorączki, nie można mi tego bronić, ale lepiej aby się to działo rzadziej. Wymyślali więc oboje różne roztargnienia, odwodzące myśl od pokuśnego narzędzia.

str 11: ...Interesowało mnie że jest aż taka ładna. Ładność spostrzegałam przedziwnie wcześnie. Gdym patrzyła w lustro, podobałam się sobie, ale czyniłam to naprawdę bez niczego podobnego do próżności. Poprostu jak się widzi że coś jest czerwone albo niebieskie. Jedni są ładni, drudzy nie. Lepiej jeżeli są ładni.